

JERZY ANDRZEJEWSKI

# MIAZGA

Jerzy Andrzejewski

**Miazga**

«Public Domain»

## Andrzejewski J.

Miazga / J. Andrzejewski — «Public Domain»,

Miazga Jerzego Andrzejewskiego to przede wszystkim odważna, nowoczesna próba wywodzącej się z romantyzmu formy otwartej. Obejmuje fragmenty narracyjne, dramatyczne i poetyckie oraz pełniący funkcję scalającą dziennik autorski (datowany od 7 marca do 14 września 1970). Dziennik wprowadza element autotematyzmu, odsłaniając warsztat pisarski, oraz procesualizmu, czyniąc czytelników świadkami wahań i decyzji (niekiedy do końca pozostających w stanie niedokonania) dotyczących kształtu dzieła, rysunku postaci i przebiegu zdarzeń. Innorodnym składnikiem jest słownik postaci powieściowych, obejmujący różne formacje ideowe, klasy społeczne i typy biografii polskich: cały naród. Od pierwotnego zamysłu utwór miał stanowić bowiem portret zbiorowy społeczeństwa Polski XX w. To ono miało być najważniejszym odbiorcą (stąd opory autora przed wydaniem emigracyjnym), a więc również — zgodnie z ideą formy otwartej — tym, kto dopowiada sensy i wątki utworu. Tekst powstawał co najmniej dziesięć lat. Z końca maja 1960 r. pochodzi pomysł na obszerną monografię fikcyjnego artysty — protagonista zmieniał z czasem swoje nazwisko (lecz nie imię): z Adama Radomskiego na Ossowskiego, a w końcu na Nagórskiego. Zabierając się do opracowania tego tematu, Andrzejewski sięgnął do notatek z lat 1948/49 zawierających plan epickiej panoramy polskiego społeczeństwa, z biogramami, pokazaniem rozgałęzień i rodzajów powiązań między postaciami. W ten sposób zarysował się główny zrab utworu. Klamra, czyli ślub i wesele potraktowane jako okazja do narodowych konfrontacji — pojawiła się w związku z wystawieniem przez Andrzeja Wajdę *Wesela Wyspiańskiego* w Teatrze Starym w Krakowie (1963). W Miazdze do wesela co prawda nie dochodzi (jest to więc nawiązanie przez zaprzeczenie), a cała gra polega na przedstawieniu możliwości zdarzeń, zatrzymanych w czasie przyszłym niedokonanym. Andrzejewski naszkicował dwa warianty fabuły; posługując się ujęciami symultanicznymi oraz kolażem, dał literacką realizację aleatoryzmu, znanego bardziej jako technika i kierunek w muzyce współczesnej. Z założenia zarówno forma, jak i treść utworu miała być „miazgowata”: otwarta „ze wszystkich stron”, „niewydolna i niewykończona”, być przeciwieństwem ładu kompozycji zamkniętych, ku którym niegdyś skłaniał

się Andrzejewski. Również ton Miazgi pozostaje kapryśny: przechodzi od wzniosłości, liryzmu, pełnego literackich i mitologicznych nawiązań, do brutalności i groteski. Finalna część *Non consummatum* — stanowi diagnozę oraz ideowe zwieńczenie: niespełnienie i niemożność cechuje przedstawioną miazgę społeczną, która nie znajduje sposobu na krystalizację i scalenie, choćby wobec nowego sacrum wskazanego w Ślubie Gombrowicza, nazwanego „Międzyludzkim”. Tego spoiwa brakuje chyba najbardziej. Obiecująco zakrojona powieść, mająca być syntezą polskiej współczesności, była przez wiele środowisk oczekiwana z nadzieją. I dla wszystkich bodaj Miazga okazała się rozczarowaniem. Przede wszystkim nie dawała oczekiwanej zwartej syntezy na wzór XIX-wiecznych powieści realistycznych. Część ekscytacji towarzyszącej oczekiwaniu na wydanie całości wiązała się z wprowadzeniem do tekstu postaci rzeczywistych, takich jak: Gustaw Holoubek, Kazimierz Dejmek (reżyser inscenizacji *Dziadów* z 1968 r.), Andrzej Wajda (autor ekranizacji *Popiołu i Diamentu*, Andrzejewskiego), Zbigniew Cybulski, Marek Hłasko, „pisarz reżimowy” Bohdan Czeszko, późniejszy tłumacz dzieł Becketta Antoni Libera, profesor UW Andrzej Mencwel oraz — we wspomnieniach — Krzysztof Baczyński i powojenny wydawca jego dzieł Kazimierz Wyka. Jednakże dzieło literackie nie spełnia tych samych funkcji co serwis plotkarski: postaci łączą się w jedną lub rozdzielają i zmieniają; zresztą lektura „z kluczem” zwykle bywa jałowa. Ponadto oczekiwano chyba zbyt długo. Po wszystkich perypetiach, do których należała i kradzież rękopisu w Stuttgarcie, Miazga została ukończona tuż przed burzliwym końcem rządów Gomułki. Wydarzenia marcowe i pomarcowe porządki grają znaczącą rolę w przedstawionych (możliwych) wypadkach. Jednakże właśnie czas od ukończenia rękopisu do jego wydania okazał się okresem dynamicznych, nabierających przyspieszenia przemian historycznych. Chęć wydania książki w kraju w obiegu oficjalnym spełzła na niczym: Andrzejewski natknął się na mur cenzury. Wobec tego musiał przededefiniować swoje cele i pogodzić się z faktem, że możliwe publikacje dotyczą drugiego obiegu i zagranicy. Po raz pierwszy Miazga ukazała się więc w 1979 r. w Niezależnej Oficynie Wydawniczej Nowa, następnie w Londynie w 1981 r. (tytuł ang. *Pulp*), wreszcie w kraju w 1982 r., w wersji ocenzurowanej, w wydawnictwie PIW. Na pełne, nieocenzurowane wydanie krajowe czekano kolejne dziesięć lat, do roku 1992. Ostatecznie Miazga ukazała się więc w zupełnie nowej politycznie Polsce. Ale czy społecznie innej?

© Andrzejewski J.

© Public Domain

## Содержание

sobota, 7 marca 1970	7
niedziela, 8 marca	10
poniedziałek, 9 marca	12
wtorek, 10 marca	13
środa, 11 marca	14
czwartek, 12 marca	18
piątek, 13 marca	19
sobota, 14 marca	20
niedziela, 15 marca	23
poniedziałek, 16 marca	24
wtorek, 17 marca	25
środa, 18 marca	28
piątek, 20 marca	29
sobota, 21 marca	30
poniedziałek, 23 marca	31
poniedziałek, 23 marca	32
wtorek, 24 marca	33
czwartek, 26 marca	36
piątek, 27 marca	37
sobota, 28 marca	38
niedziela, 29 (Wielkanoc)	39
poniedziałek, 30 marca	40
Część 1. Przygotowanie	42
wtorek, 31 marca	43
wtorek, 31 marca	57
pod wieczór	59
środa, 1 kwietnia	60
piątek, 3 kwietnia	62
wieczorem	90
sobota, 4 kwietnia	96
poniedziałek, 6 kwietnia	97
Część 2. Prolog	98
Конец ознакомительного фрагмента.	101

# Jerzy Andrzejewski

## Miazga

sobota, 7 marca 1970

Po dniu słonecznym i prawie przedwiosennym wieczorem znów gwałtowna śnieżna zawieja. Wszyscy już bardzo zmęczeni tegoroczną zimą, jej uporczywym trwaniem wśród kapryśnych zmian, których tak wiele było w ostatnich miesiącach, gdy ciągu jednego dnia temperatura z kilkunastu stopni mrozu podnosiła się nagle w okolice zera, a potem równie gwałtownie odwilż z ciepłymi podmuchami wiatru przemieniała się w ostry mróz. Jeszcze chyba nigdy nie byłem tak bardzo, jak teraz, spragniony ciepła, słońca i zieleniejących drzew. Wiem aż nadto dobrze, że to może być tylko złudzeniem, lecz wydaje mi się, że wraz z wiosną i w mojej półmartwej roślinności coś się odmieni.

W ostatnim (10) numerze „Polityki”, w redakcyjnym artykule *Po wyroku*, obszernie cytaty z orzeczenia sądu w niedawno zakończonym procesie pięciu młodych intelektualistów, zwanym potocznie „procesem taterników”. Czworu z nich (Maciej Kozłowski, Jakub Karpiński, Maria Tworkowska oraz Krzysztof Szymborski) akt oskarżenia zarzucał „wejście w porozumienie z występującym w imieniu obcej organizacji Jerzym Giedroyciem w celu działania na szkodę Państwa Polskiego, a następnie w ramach tego porozumienia uczestniczenie w inspirowanej przez imperialistyczne ośrodki ideologiczno-dywersyjnej działalności kierowanego przez tegoż Giedroycia Instytutu Literackiego w Paryżu zmierzającej przez szkalowanie ustroju i naczelnych organów PRL do podważenia socjalistycznych zasad ustrojowych”, natomiast piątej oskarżonej, Małgorzacie Szpakowskiej, iż „w celu rozpowszechniania opracowała, sporządzała, a następnie kolportowała teksty i ulotki zawierające fałszywe wiadomości, nawołujące do przeciwstawienia się władzom państwowym i administracyjnym, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego”. Jak stwierdza „Polityka” – określenie roli paryskiej „Kultury” oraz Instytutu Literackiego zajęło znaczną część uzasadnienia wyroku Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Sąd po przeprowadzeniu przewodu sądowego i wysłuchaniu głosów stron uznał winę wszystkich oskarżonych, wymierzając im wyroki od czterech i pół lat do trzech lat<sup>1</sup>, działalność bowiem na rzecz Instytutu Literackiego w Paryżu uznał sąd za wysoce szkodliwą dla interesów naszego państwa, przeprowadzając zarazem następującą jej analizę. „W ostatnich latach »Kultura« paryska i jej naczelny redaktor Jerzy Giedroyc rozwinęli szczególnie ożywioną działalność. Zdając sobie sprawę, iż próby obalenia ustroju socjalistycznego siłą nie mają żadnych szans powodzenia, starają się rozkładać obóz socjalistyczny od środka, lansując slogany o ulepszaniu socjalizmu i socjalizmie demokratycznym. Aktywność »Kultury« na tym polu wzrosła szczególnie po wypadkach marcowych i wydarzeniach w Czechosłowacji. »Kultura« ma ambicje, aby stać się czołowym ośrodkiem antysocjalistycznym, a biblioteka »Kultury« jest głównym zapleczem wydawniczym antysocjalistycznej i antyradzieckiej literatury paszkwilanckiej... W »Kulturze« nie ukazał się ani jeden artykuł życzliwy socjalizmowi. Pismo to udostępniło swoje łamy kolaborantom i renegatom. Warunkiem działalności »Kultury«, jak każdego ośrodka dywersyjnego, było powiązanie z krajem. Oto tło kontaktów Jerzego Giedroycia z oskarżonymi... Prawo do krytyki w Polsce ma każdy obywatel. Oskarżeni nie chcieli jednak

---

<sup>1</sup> wyroki od czterech i pół lat do trzech lat – wyrok w tzw. procesie taterników wydano 24 lutego 1970; Maciej Kozłowski został skazany na 4,5 roku więzienia (po rewizji 3 lata), Jakub Karpiński na 4 lata (po rewizji 2 lata i 8 mies.), Krzysztof Szymborski i Maria Tworkowska na 3,5 roku (po rewizji odpowiednio 2 lata i 4 mies. oraz 1 rok i 9 mies.), Małgorzata Szpakowska na 3 lata więzienia (po rewizji 1 rok i 6 mies.); rewizja wyroków przez Sąd Najwyższy przyniosła ich obniżenie, a następnie część skazanych objęto amnestią uchwaloną jeszcze w lipcu 1969 z okazji 25-lecia PRL; jednakże Maciej Kozłowski przebywał w więzieniu do września, a Jakub Karpiński do czerwca 1971 r. Ponadto przesłuchiwani jako świadkowie Jan Krzysztof Kelus, Maciej Włodek i Urszula Sikorska byli przetrzymywani w areszcie bez procesu aż do marca 1970. [przypis edytorski]

skorzystać z tego prawa. Wybrali sianie fermentu, a na krytykę taką nie ma miejsca w naszym kraju. Krytyka musi bowiem budować, a nie burzyć. Oskarżeni mieli możliwość wypowiedzania się w prasie krajowej, której łamy są zawsze otwarte dla ludzi pragnących zaprezentować swoje poglądy. Zamiast legalnej dozwolonej krytyki wybrali jednak współpracę z paryską »Kulturą«. Dziś ponoszą konsekwencje takiego postępowania”.

W ciągu dnia próby, zresztą mało skuteczne, umknienia od rzeczywistości, przy lekturze *Podboju Peru* Williama Prescottta oraz nowego wydania *Nie tylko piramidy* Kazimierza Michałowskiego. Interesujące uwagi prof. Michałowskiego o przełomie, jaki się dokonał w sztuce egipskiej za panowania XVIII dynastii, gdy młody Amenhotep IV nie tylko zerwał z religią Amona tebańskiego i związanym z nim wielobóstwem świątyń egipskich, ale nawet przeniósł swoją stolicę na północ, gdzie na pustyni wybudował nowe miasto, nazwane przez niego „Horyzontem Atona”. Aton, czyli tarcza słoneczna, był odtąd jedynym bogiem, któremu należało oddawać cześć, a sam król zmienił swoje imię z Amenhotepa, co tłumaczy się jako „Amon spoczywa” na Achen-Aton, co znaczy „wspaniały jest Aton”. Echnaton, jakbyśmy dzisiaj imię jego wymawiali, kazał zacierać ślady innych bóstw i niszczyć kult Amona. Zerwał również z obowiązującym dotychczas hieratycznym rytuałem dworu królewskiego i uwolnił sztukę z odwiecznych więzów reguł i przepisów, którymi była spętana, każąc artystom portretować się wiernie: z jajowatą głową, opadającymi ramionami i wydatnym brzuchem. „Możemy sobie łatwo wyobrazić – pisał Michałowski – że pomimo przyzwolenia i inspiracji królewskiej, artystom przywykłym do pewnych schematów kompozycyjnych, do utrwalonego w kanonie kształtu postaci ludzkiej, nie mogło przyjść łatwo podporządkowanie się życzeniom króla. Całkowita swoboda w stosowaniu dowolnej formy przedstawiania nie była ułatwieniem, lecz znacznym utrudnieniem ich pracy. Taki eksperyment mógł się udać tylko dzięki biegłości i umiejętności, jaką osiągnęły wówczas stołeczne warsztaty rzeźbiarzy i malarzy. Na pewno najzdolniejszych zabrał z Teb Echnaton do swej nowej stolicy... W krótkim czasie artyści amarneńscy stworzyli całą serię pomników zgodnie z nowym duchem czasu. Powstały wielkie rzeźby faraona z całym niedostatkiem jego powłoki cielesnej. Jajowata czaszka, nieomal końska szczeka, chuda szyja, wąskie, opadające ramiona, wydatny brzuch – oto obraz tego niewątpliwie genialnego człowieka, który potrafił skruszyć tysiącletnią skorupę narosłych zwyczajów, przyzwyczajęń i konwenansów swego społeczeństwa, odważnie przeciwstawiając się potędze kleru i innych dostojników. Do największych arcydzieł zaliczyć jednak należy płaskorzeźby i kompozycje malarskie przedstawiające bardziej intymne sceny z życia dworu, np. król z królową Nefertiti na tronie w otoczeniu małych księżniczek, córeczka przy spożywaniu pieczonej kaczki lub malowidło przedstawiające dwie nagie księżniczki siedzące na poduszkach w swojej pałacowej komnacie”. Z dalszych jednak wywodów znakomitego egiptologa wynika, że rewolucja dokonująca się w sztuce usztywnionej nie jest sprawą prostą i wolność nie załatwia wszystkiego: oto motyw jajowatych głów, wydłużonych szczęk i obwisłych brzuchów poczyna się pojawiać w sztuce tego okresu we wszystkich nieomal rzeźbach i malowidłach. Anatomicznymi defektami faraona-reformatora zostają obdarzeni nie tylko najbliżsi członkowie jego rodziny, lecz również słudzy niosący dary czy ofiary. „Tak silne było u artystów przywiązanie do istoty kanonu – komentuje to zjawisko prof. Michałowski – że stworzywszy raz **naturalistyczny** obraz władcy, cechy jego ułomnej budowy ciała poczęli nadawać wszystkim postaciom. Tworzyli więc nowy kanon, będący wyrazem nowej maniery, w jaką sztuka amarneńska popadła... kształtowanie w sztuce postaci ludzkich na wzór anatomii ciała ludzkiego da się pojąć wyłącznie na tle odwiecznych przyzwyczajęń przedstawiania obrazu człowieka w ramach kanonu”.

Myśli, jakie mnie obległy w związku z tą lekturą, nie chce mi się relacjonować. Przeglądając dopiero co u nas wydaną książkę publicysty zachodnoniemieckiego, Joachima Festa *Oblicze Trzeciej Rzeszy*, natrafiłem we wstępie do rozdziału końcowego na zdanie z Tacyta: „nigdy nie było lepszych niewolników, nigdy gorszych panów”. Wydaje mi się, że w odniesieniu do rzeczywistości

współczesnej cytat ten powinien brzmieć: „Nigdy nie było gorszych niewolników, nigdy gorszych panów”.

Dowiadam się z radia zachodniego, iż prezydent Nixon złożył oświadczenie, w którym stwierdził, że amerykański plan lotów kosmicznych na najbliższe dziesięciolecie przewiduje pod koniec tego okresu wysłanie pojazdów bezosobowych do wszystkich planet układu słonecznego.

## niedziela, 8 marca

Jeden glimid i jeden phanodorm już od bardzo dawna zapewniają mi nie więcej niż trzy do czterech godzin twardego snu, reszta nocy upływa na wielokrotnym budzeniu się, owszem, zasypiam przeważnie ponownie, lecz w coś, co jest snem jakby rozrzedzonym, co jest płytkie i kruche, i nie daje pełnego odpoczynku. Jak zwykle na przedwiośniu, nawet tak złudnym jak obecne, rozbudzam się ostatecznie wcześniej niż porą zimową, dzisiaj wstałem zaraz po szóstej, lubię zresztą tę ranną godzinę, kiedy wszyscy domownicy jeszcze śpią i sam robię śniadanie, parząc w filiżance mocną herbatę i przygotowując kilka grzanek. Na dworze krajobraz zimowy, ale słońce.

M., który zawsze przynosi kupę krążących po Warszawie kawałów, opowiedział wczoraj, kiedy przyszedł na obiad, jeden wart utrwalenia. Do wiejskiego proboszcza przychodzi sekretarz gromadzkiego komitetu Partii z prośbą o wypożyczenie kościelnych ławek na partyjne zebranie. „Nie dam wam ławek – odpowiada ksiądz – ostatnim razem, jak wam pożyczyłem, wszystkie były zarzygane”. Na to sekretarz: „Nie da ksiądz ławek? To my w niedzielę na mszy żadnych datków nie będziemy dawać”, „A ja wam przemówień nie będę pisać” – krzyczy ksiądz, „Ach tak? – odpowiada sekretarz – w takim razie gównem się ksiądz od nas dowie na spowiedziach, co się w Partii dzieje”.

Całe popołudnie i wieczór przy lekturze *Dziennika* André Gide'a<sup>2</sup>, pobieżnie przerzucając fragmenty z różnych okresów, a zatrzymując się tym razem dłużej na latach 1928–39. Okazało się, że nie pamiętałem dość dokładnie wielu stron pisanych przez Gide'a bezpośrednio po powrocie z Konga i w okresie pracy nad *Edypem*. Jak zawsze, gdy sięgam po ten *Dziennik* – przejrzałem również *Ainsi soit-il*<sup>3</sup>, niezmiennie poruszony kilkoma zdaniami końcowymi, ostatnimi (na sześć dni przed śmiercią), jakie Gide napisał:

„Nie! Nie mogę obiecać, że wraz z ukończeniem tego zeszytu wszystko będzie zamknięte: będzie po wszystkim. Może zechcę jeszcze coś dorzucić. Dorzucić nie wiem co. Dorzucić. Może. W ostatniej chwili jeszcze coś dorzucić... Tylko, że kleją mi się powieki. Ale spać mi się nie chce. Wydaje mi się, że mógłbym być jeszcze bardziej zmęczony. Późno już, nie wiadomo która godzina nocy czy rana... Czy mam jeszcze coś do powiedzenia? Do powiedzenia jeszcze nie wiem co.

Moje własne położenie na niebie wobec słońca nie powinno sprawiać, bym mniej się zachwycał świtaniami”.

Wydaje mi się, że mój typ charakteru w większej mierze aniżeli odmiennie ukształtowane rodzaje ludzkich osobowości potrzebuje mocnych doznań, owych znaków życia manifestujących się nagłaco i w różnorodny sposób, niekoniecznie przyjazny, bowiem gwałtowne ciosy oraz stan zagrożenia mogą mną poruszyć równie skutecznie, jak dobrodziejskie dary losu. Jestem ulepiony z samych nieomal sprzeczności, wszystkim moim skazom i cnotom towarzyszą ich przeciwieństwa, pozostawiony samemu sobie nie potrafię korzystać z bodźców jednolitych, zdany jestem na nieustannie ścieranie się elementów sprzecznych i zawsze tak się ze mną działo i dzieje nadal, że skoro żywioł istnienia stygnie wokół mnie – samotna gra przeciwieństw mojej natury pogrąża mnie w obezwładniającą inercję, w stan martwej wegetacji. Kto wie, czy całe moje pisarstwo nie wynika z tej właśnie kondycji mego charakteru, ono bowiem było i jest jedyną wewnętrzną rzeczywistością, która

---

<sup>2</sup> *André Gide* (1869–1951) – pisarz fr., uznawany za jedną z najważniejszych postaci kultury eur. 1. poł. XX w.; autor powieści (*Immoralista*, *Lochy Watykańu*, *Falszery*, *Corydon*), a także sztuk teatralnych (*Saul*, *Edyp*), *Dziennika* (1939–50) i autobiografii *Jeżeli nie umiera ziarno* (1926); tłumacz (m.in. Shakespeare'a, Whitmana i Conrada), współzałożyciel czasopisma „La Nouvelle Revue Française”; zaangażowany w walkę z kolonializmem (por. *Voyage au Congo*, tj. „Podróż do Kongo”; 1927) oraz stalinizmem (por. *Powrót z ZSRR*; 1936). Laureat literackiej Nagrody Nobla (1947). [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *ainsi soit-il* (fr.) – niech się stanie; amen. [przypis edytorski]

moim sprzecznościom potrafi nadać twórczy sens, uniezależniając mnie od trucizn zewnętrznych. Gdybym nie pisał, mógłbym przy sprzyjających, burzliwych okolicznościach zostać awanturnikiem albo hochsztaplerem, bez nich tylko szmata.

## poniedziałek, 9 marca

Pogarda dla szmiry treściowej i artystycznej wydaje mi się równie nedorzeczna, jak nedorzeczna byłaby np. pogarda dla nawozu, który – być może – nie jest przyjemny w wyglądzie i w zapachu, jednak sprawia, że dzięki niemu świat roślinny uzyskuje bujną płodność. Zaryzykowałbym twierdzenie, iż większość dzieł wybitnych i uznanych za arcydzieła, zawdzięcza w pewnej mierze swoją znakomitość właśnie elementom szmiry, szmiry wczorajszej i współczesnej, bowiem to ona – łatwa, niecierpliwa i przypodchlebca nawet w buntach – w sposób najbardziej bezpośredni reaguje na rozległe manifestacje życia. Spłyca je, trywializuje i upraszcza! Oczywiście! Lecz w ostatecznym rozrachunku bywa dobroczynnym nawozem, bowiem tak zawsze było i tak dzieje się nadal, iż sztuka, ta z wysokich rejonów, żywi się nie tylko życiem, i nie tylko osobą samego artysty, żywi się także sztuką i to w jej najróżniejszych przejawach, także tych płaskich, jarmarcznych i durnych, chociaż do tych powinowactw wielcy twórcy nie lubią się zazwyczaj przyznawać. Powiedziałbym nawet więcej, powiedziałbym, iż nie domierzam arcydziełom, które nie pozwalają mi, dzięki ich skamieniałej doskonałości, odnaleźć zanikających ech oraz cieni natrętnej i wulgarnej szmiry. Wielki talent robi wszystko, co chce; geniusz tyle tylko, co może. Obawiam się, że to ostatnie zdanie komuś ukradłem, pojęcia jednak nie mam komu. Żeby jednak otrzymać rozgrzeszenie z tego przewinienia sięgnąłem do dzieł najlepszego mego spowiednika, ponieważ uwielbiam go z ironiczną czułością, sięgnąłem zatem do książki Tomasza Manna *Jak powstał „Doktor Faustus”*, i w niej bez trudu odnalazłem fragment, w którym Mann, relacjonując udział Schönberga oraz Adorna w kształtowaniu się jego koncepcji muzycznej twórczości Adriana Leverkühna, pisze (polskie wyd. s. 40): „Przedstawienie muzyki seryjnej i jej w dialogu zawarta krytyka, tak jak występuje w XXII rozdziale *Faustusa*, oparte są całkowicie na analizach Adorna, jak również i niektóre uwagi na temat późnych utworów Beethovena, występujące już wcześniej w powieści, w wynurzeniach Kretzschmara, mianowicie o duchowej zależności, jaką śmierć ustanawia pomiędzy geniuszem a konwencją. Te również myśli wydały mi się w rękopisie Adorna jakoś »osobliwie« znajome, a na temat – jakby to rzec? – czystego sumienia, z jakim włożyłem je, trochę zaledwie zmieniając, w usta memu jąkałe, mogę powiedzieć tyle tylko: z chwilą, gdy już przez długi czas uprawia się działalność intelektualną, zdarza się bardzo często, że myśli, które się niegdyś rozsiało na wiatr, powracają do autora, ukształtowane inną, młodszą już ręką, i przyniesione w inne okoliczności, przypominają artyście jego samego i własne jego sprawy. Sama myśl jako taka nigdy nie będzie mieć w oczach artysty wielkiej wartości jako własność! Zależy mu bowiem przede wszystkim na jej funkcjonalnej przydatności w duchowym mechanizmie jego dzieła”.

## wtorek, 10 marca

Po cóż się oszukiwać? Te zapiski z ostatnich trzech dni były robione na siłę, są czymś w rodzaju uniku. Krążą wokół sprawy najważniejszej, lecz jej nie dotykają. Strach? Zapewne. Ten sam paraliżujący strach, który od wielu tygodni wstrzymuje mnie przed zajrzeniem do teczek z maszynopisami *Miazgi*.

Od końca grudnia, gdy po trzech miesiącach pracy szczególnie intensywnej wątpliwości i rosnące z dnia na dzień zniechęcenie poczęły niszczyć wszystko, co napisałem i wówczas, i przed tym – moje życie jest nędzną wegetacją, jest nią pod każdym względem intelektualnym, moralnym, także i fizycznym. Tylokrotnie w życiu doświadczając podobnych załamań i upadków, znając dość dokładnie mechanizm zniszczenia, który z pełni zapału i przekonania, że to, co robię jest dobre, spycha mnie w ciągu kilku krótkich dni w dręczące zwątpienie, tak wiele, jak nieraz sądzę, o sobie wiedząc – nie umiem przecież tym klęskom zapobiec, ani do rozsądnej pauzy skrócić ich trwania. Gdybym chociaż potrafił wypełniać ów pusty czas zatrudnieniami sensownymi! Niestety, rozkład i zanik moich pisarskich kwalifikacji paraliżuje mnie całkowicie. Staję się dokładnie wysterylizowany i całkowicie bezbronny wobec rzeczywistości, w której egzystuję, zarówno mojej prywatnej, jak i tej drugiej: publicznej, nieporównanie od pierwszej rozleglejszej i zjadliwiej atakującej. W tych złych okresach są to jedyne sfery, na które jestem otwarty, a ponieważ obydwóm nie mam w sobie nic do przeciwstawienia – obie są koszarne, ranią i trują. Nie mając ludziom nic dobrego do dania, unikam ludzi, przecież nieraz nieomal się modłę, aby ktoś z tych, których lubię i cenię, zadzwonił i wyrwał mnie z udręczonej samotności, lecz gdy się to staje, rzadko, lecz się staje – szukam natychmiast kłamliwych pretekstów, aby się od spotkania uchylić albo je odłożyć. Każdy na ziemi ma takie niebo, czyściec i piekło, na jakie zasługuje. Moje martwe tygodnie i miesiące są moimi martwymi tygodniami i miesiącami. Jedyne blask urodzajnego życia, który mnie wśród nich nie opuszcza, to nawet w chwilach najgorszych z najgorszych przytomna świadomość, iż nigdy, w żadnych okolicznościach i pod żadnym względem nie jestem ofiarą. Trzeba mieć tyle skaz, ile mam ich ja, i tak wiele słabości, ile ich we mnie jest, aby nie chcąc utonąć i nie pójść na dno – zachować tę szczyptę dumy. Zresztą nie kosztuje mnie ona wiele, nie muszę o nią walczyć. Ta duma zawsze we mnie w sposób naturalny była i nadal jest. Być może jest również w tej świadomości coś z pokory? Być może. W moim jednak przypadku wolę mówić o dumie. Z dumy? Być może.

## Środa, 11 marca

Od paru dni drobna odwilż, szaro, brudno, pryzmy śniegu ciągnące się wzdłuż krawężników trotuarów skurczyły się i pociemniały, niektóre, jak np. ta przed naszymi oknami, po drugiej stronie ulicy, zwały torfu lub koksu raczej przypomina aniżeli śnieg.

Wczoraj wieczorem przyobiecowałem sobie, że zacznę dzień od lektury maszynopisu *Miazgi*. Od początku. Zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, że jeśli mam ruszyć dalej, muszę wpierv niejako na nowo przyswoić sobie to wszystko, co zrobiłem do tej pory. Przyswoić sobie? Ależ tak! Dosłownie. Wiele szczegółów, a również i całych scen, napisanych przed trzema czy czterema miesiącami zupełnie już w tej chwili nie pamiętam, inne zarysowują mi się w pamięci w takich kształtach, jakby były odbitkami prześwietlonymi lub niedoświetlonymi, lepiej widzę to, co miało być, albo określając w oparciu o pewną nadzieję: co ma być. Mogę w tej chwili powtórzyć za Adamem Nagórskim, gdy rozmyśla, słuchając na piątkowym koncercie symfonicznym *Pieśni wędrowca* w wykonaniu Haliny Ferens-Czaplickiej: chory już nie jestem, lecz zdrowy też nie jestem.

Pod wieczór sympatyczna Natalia B., która w czasie swego ostatniego pobytu w Helsinkach podpisała z wydawnictwem Kirjahtyma umowę na przekład *Miazgi*. Będzie to jej pierwsze tłumaczenie z polskiego, mam jednak zaufanie do jej inteligencji i językowej intuicji. Ta młoda dziewczyna, urodzona i wychowana w Finlandii, nie ma w sobie ani kropli krwi fińskiej, oboje jej rodzice są Rosjanami, zresztą urodzonymi z małżeństw mieszanych: rosyjsko-angielskiego i rosyjsko-francuskiego. Ona sama, przy całym naturalnym przywiązaniu do Finlandii, czuje się raczej Rosjanką, reprezentując sobą, o ile mogę sądzić przy znajomości tak krótkiej – zespół cech szczególnie interesujących i sympatycznych, a tak charakterystycznych dla Rosjan, których rosyjskość bez tradycyjnych oporów i zahamowań otwarta została na wpływy zachodnie. Udzielając wszakże tym cechom pełnej sympatii, na jaką z punktu widzenia ludzkiego zasługują, niepodobna nie pamiętać, że wszystko, co w kulturze rosyjskiej było naprawdę ważne i twórcze, stworzone zostało z elementów wyłącznie rosyjskich. Gogol i Szchedrin, Dostojewski i Tołstoj. A Iwan Groźny, Piotr Wielki, Katarzyna i Stalin.

W czasie dłuższej rozmowy o rosyjskim modelu komunistycznym, tak bardzo całą dialektyką polityczno-społeczną przypominającym reakcyjny i zaborczy model caratu, sięgnąłem do dawnych notatek, aby zapoznać Natalię B. z fragmentami kilku starych tekstów.

Hr. Aleksander Benkendorf, który brał udział w stłumieniu powstania dekabrystów i był szefem żandarmerii Mikołaja I, z końcem roku 1829 (a może z początkiem roku następnego), po konferencji z carem, wystosował do generał-gubernatora moskiewskiego, ks. Golicyna następującą odezwę, której tekst w aktach został opatrzonej własnoręczną oceną carską „bardzo dobrze”.

„W ostatnim numerze wydawnictwa »Teleskop« umieszczony został artykuł pod nazwą *Listy filozoficzne*, którego autorem jest zamieszkujący Moskwę pan Czaadajew. Artykuł ten, naturalnie już znany księciu, wzbudził w mieszkańcach Moskwy powszechne zdumienie. Mowa tu jest o Rosji, o narodzie rosyjskim, jego pojęciach, wierze, historii z taką pogardą, iż niepojętym jest, jak mógł Rosjanin poniżyć się do tego stopnia, czy coś podobnego napisać. Lecz mieszkańcy naszej starożytnej stolicy, zawsze odznaczający się czystym, zdrowym rozsądkiem, a przepelnieni uczuciem godności narodu rosyjskiego, od razu pojęli, że podobny artykuł nie mógł być pisany przez ich rodaka, który zachował w pełni zdrowe zmysły i dlatego – jak doszły nas wieści – nie tylko nie skierowali swego oburzenia przeciwko panu Czaadajewowi, lecz przeciwnie, wyrażają swe szczerze ubolewanie z powodu rozstroju nerwowego, jaki go dotknął, a który jedynie mógł być przyczyną napisania podobnych niedorzeczności. Otrzymało tu wiadomości, że współczucie z powodu nieszczęśliwego stanu pana Czaadajewa jednomyślnie podzielane jest przez ogół moskiewski. Jego Cesarskiej Mości podobało się, aby Księżę przedsięwziął należyte środki ku dostarczeniu panu Czaadajewowi wszelkiej

pomocy i opieki lekarskiej. J. C. Mość rozkazuje, aby Księżę polecił jego leczenie umiejętnemu medykowi, zobowiązując tego ostatniego do odwiedzania pana Czaadajewa koniecznie co rano, i aby wydane zostało rozporządzenie, iżby pan Czaadajew nie naraził się na szkodliwy wpływ obecnego, wilgotnego i chłodnego powietrza; jednym słowem, aby były zastosowane wszystkie środki ku poprawie jego zdrowia. J. C. Mość życzy sobie, aby Księżę co miesiąc donosił Mu o stanie Czaadajewa<sup>4</sup>”.

Nikołaj Karamzin<sup>5</sup>, na którego *Historii państwa rosyjskiego* uczyło się wiele pokoleń, występując przeciwko reformatorskim poczynaniom Aleksandra I, w memoriale *O starej i nowej Rosji* z roku 1811, złożonym siostrze cara, Katarzynie, skonstruował tezę, iż car nie ma prawa ograniczać swego samowładztwa.

„Gdyby Aleksander natchniony wielkoduszną nienawiścią do nadużyć samowładztwa jął pióro do przepisania sobie innych praw oprócz praw boskich i własnego sumienia, to istotnie cnotliwy obywatel rosyjski ośmieliłby się zatrzymać jego rękę i rzec: Cesarzu! Przekraczasz granicę twej władzy. Rosja nauczona długotrwałymi klęskami wręczyła przed świętym ołtarzem samowładztwo twemu przodkowi i zażądała, byś rządził nią w sposób suwerenny i niepodzielny. Testament ten jest podstawą twej władzy, innej nie masz, możesz wszystko, lecz nie możesz prawnie jej ograniczyć”.

Z przyczyn dialektycznie podobnych nie może obecnie ulec jakimkolwiek ograniczeniom wszechwładza partyjna, bowiem Partia otrzymała władzę z rąk przodującej klasy robotniczej, reprezentującej interesy całego narodu i w imię tych interesów najbardziej postępowych jest przez cały naród popierana. Ciasny krąg łańcucha się zamyka. Każde ogniwo tego łańcucha szczerze przylega do sąsiednich, żadnej szczeliny.

I wreszcie notatka na marginesie zjazdu Słowianofilów w Moskwie, w roku 1867. Jeszcze na pierwszym zjeździe wszechsłowiańskim w Pradze w 1848 roku Rosjan prawie nie było. Na 341

<sup>4</sup> Czaadajew, Piotr Jakowlewicz (1794–1856) – ros. filozof okresu romantyzmu, przyjaciel Aleksandra Puszkina; uznawany za prekursora nurtu **okcydentalizmu** w ros. myśli społeczno-politycznej (okcydentaliści, stając opozycji do ros. **słowianofilów** głosili potrzebę otwarcia Rosji na ozdrowieńczy wpływ kultury zachodniej). Myśl Czaadajewa ukształtowała się w duchu romantycznego antyrewolucyjnego konserwatyzmu (Friedricha Schellinga, którego poznał w 1825 r., księdza de Lamennais, Louisa de Bonnalda i in. myślicieli katolickich); koncentrowała się wokół próby stworzenia scalającej wizji historii umieszczającej powtórnie (po oświeceniowych przewrotach) Boga w dziejach świata. Postęp ludzkości widział nie w indywidualnych porywach, ale w postępowaniu zgodnym z oddziaływaniem Opatrzności (**prowidencjalizm**); występowanie przeciw tej boskiej sile uważał za prowadzące do chaosu. Wolę Opatrzności dostrzegał w rozwoju chrześcijaństwa, uznając katolicyzm za jego najdoskonalszą formę. Krytykując wybory dziejowe i stan współczesnej mu Rosji, twierdził, że u podstaw jej zastoju cywilizacyjnego i pewnego rodzaju niedookreślenia leży pozostanie przy prawosławiu, czego owocem jest izolacjonizm i wtórność kultury ros. w stosunku do Europy Zachodniej. Podobnie jak np. Joseph de Maistre postrzegał instytucję papieża jako symbol dawnej jedności chrześcijańskiej Europy oraz drogowskaz prowadzący ludzkość do przyszłego zespolenia, gdy zgodnie z wolą i działaniem Opatrzności u kresu historii powstanie Królestwo Boże na Ziemi. Również analogicznie do sabaudzkiego myśliciela politycznego za podmioty uwzględnione w Boskim planie dziejów świata uważał poszczególne narody, które powinny pracować wspólnie na rzecz realizacji planu Opatrzności; krytykując izolacjonizm i partykularyzm Rosji, wyrażał obawę, że może ona zostać wykreślona z szeregu narodów historycznych i pozostać na uboczu tego planu (konceptje i inspiracje filozoficzne Czaadajewa są niezwykle zbliżone do stanowiska Zygmunta Kraszińskiego, z tym że polski romantyk łączy je z absolutną apologią Polski). Czaadajew wyraził swoje poglądy historiozoficzne w pisanych po fr. w napisanym w l. 1828–1831 traktacie zatytułowanym *Listy filozoficzne* (właśc. „Listów o filozofii historii”: *Lettres sur la philosophie de l'histoire*), mającym formę ośmiu listów pisanych z prowincji do znajomej damy, Katarzyny Dmitriewny Panowej. Pierwszy z tych listów (datowany: 1 grudnia 1829) został opublikowany anonimowo w 1836 r. niewielkim w piśmie „Teleskop” (miało zaledwie 80 prenumeratów). List zawierał gorzką i ostrą krytykę Rosji, m.in. stwierdzenia, że pozostaje ona poza historią kierowaną przez Opatrzność, niby Boski eksperyment i przestroga dla innych: nie należy ani do Zachodu ani do Wschodu, nie reprezentuje sobą żadnej tradycji, niczego światu nie dała i nic się od niego nie nauczyła, jedynie jej materialna, mianowicie terytorialna wielkość każe ją dostrzegać na mapie świata. W efekcie publikacji i powszechnego oburzenia, które wywołała, na rozkaz cara Mikołaja I zdymisjonowano cenzora, który do niej dopuścił, czasopismo zamknięto, jej naczelnego redaktora, Nikołaja Nadieżdina zesłano do Ust'-Syzolska na Uralu (dziś: Syktywkar, stolica rep. Komi w Federacji Rosyjskiej), a autora osadzono w areszcie domowym, uznano za obłąkanego (podobnie jak adresatkę listów) i poddano przymusowemu leczeniu oraz objęto całkowitym zakazem publikacji. W 1837 r. Czaadajew został zwolniony z aresztu i „terapii” psychiatrycznej, ogłosiwszy *Apologię wariata*, łagodzącą jego stanowisko wobec roli Rosji w dziejach i zawierającą myśl, że cywilizacyjne zapóźnienie Rosji i model władzy w niej panujący paradoksalnie otwierają jej drogę do przyspieszonego rozwoju i zdystansowania innych narodów Europy Zachodniej, która pogrąża się tymczasem w rewolucyjnym chaosie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> Karamzin, Nikołaj Michajłowicz (1766–1826) – ros. pisarz i historyk; przedstawiciel sentymentalizmu w literaturze ros., twórca powieści historycznych (np. *Marta Borecka, albo Podbiecie Nowogrodu*, 1802), autor krajoznawczo-refleksyjnych *Listów podróżnika rosyjskiego* (1791–1792) oraz apologetycznej *Historii państwa rosyjskiego* (12 tomów wyd. 1816–1829). [przypis edytorski]

uczestników było 237 Czechów i Słowaków, 42 Jugosłowian, 60 Polaków i 2 zaledwie Rosjan, jeden z nich, Bakunin, przyłączył się do sekcji polskiej. Natomiast zjazd moskiewski odbywał się pod protektoratem rządu rosyjskiego, a Polacy nieobecni na zjeździe (od upadku powstania styczniowego trzy lata zaledwie ubiegły), wyklinani byli przez delegatów rosyjskich jako odstępcy sprawy słowiańskiej. Na bankiecie wydanym w Petersburgu wielki poeta rosyjski, Fiodor Tiutczew<sup>6</sup>, powiedział w swoim przemówieniu:

„Zachód zdjęty jest trwogą, drży na widok zebranej całej rodziny słowiańskiej... A między nami, o bracia, co za hańba! Spośród naszej słowiańskiej rodziny ten tylko uszedł nienawiści tylu sprzysiężonych przeciw nam nieprzyjaciół, kto względem swoich wszędzie i zawsze był zdrajcą i ohydny zbrodniarzem. Tylko jego, tego naszego Judasza, zaszczycają oni swymi pocałunkami”. (Julian Klaczko<sup>7</sup> w „Revue de Deux Mondes” z 1 września 1867).

Tiutczew nie był w swych poglądach odosobniony. Tacy wyznawcy i propagatorzy ruchu słowianofilskiego, jak Michał Pogodin<sup>8</sup> albo Jurij Samarin<sup>9</sup>, tworząc koncepcję o przeciwieństwach dzielących świat słowiański i łaciński, upadek Polski tłumaczyli jej wielowiekowym związaniem z „duchem latynizmu” („Jak dwie dusze, zawarte w jednym ciele, słowiańskość i latynizm wiodły i wiodą ze sobą dotychczas zaciętą walkę na śmierć i życie” – pisał Jurij Samarin w studium *Współczesne ujęcie polskiego zagadnienia*), natomiast w inspirującym udziale Rosji w rozbiorach Polski dopatrywali się cech wielkoduszności, Rosja bowiem – według nich – nie mogąc patrzeć obojętnie na zabłąkanie narodu słowiańskiego musiała mu podać pomocną dłoń.

Na podstawie moich osobistych kontaktów z lat ostatnich, a również i relacji o poglądach ludzi zajmujących nieraz dosyć eksponowane stanowiska, wydaje mi się, że rozumienie ciągłości w dziejach Rosji carskiej i porewolucyjnej staje się w Polsce coraz powszechniejsze. Ta właśnie ciągłość, stworzona i umocniona geniuszem Stalina, zrodziła fenomen bez precedensu w dziejach ludzkości. Historia zna wiele tyranii, despotyzmów i tryumfów reakcji. Ani jednak one same nie występowały wobec świata z hasłami demokracji i postępu, ani nikt się w nich nie dopatrywał symbolu wolności. Na przestrzeni minionego półwiecza Związek Radziecki może się poszczycić obu osiągnięciami.

<sup>6</sup> *Tiutczew, Fiodor Iwanowicz* (1803–1873) – ros. dyplomata, publicysta i poeta; autor wierszy filozoficznych, politycznych i miłosnych, pozostających pod wpływem romantyzmu niem., ale też prekursorsko symbolicznych, a także artykułów politycznych; przedstawiciel konserwatywnego ros. o zabarwieniu nacjonalistycznym, zwolennik panslawizmu, idei zjednoczenia wszystkich narodów słowiańskich pod przewodnictwem Rosji i utworzenia w ten sposób siły przeciwstawiającej się rewolucyjnemu fermentowi Europy Zachodniej; wychodząc z tego stanowiska, był zagorzałym przeciwnikiem emancypacyjnych dążeń Polaków. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *Klaczko, Julian* (1825–1906) – polski krytyk literacki, historyk sztuki i publicysta; ur. w Wilnie jako Jehuda Lejb, pochodził z zamożnej kupieckiej rodziny żydowskiej; uzyskał doktorat z filozofii na uniwersytecie w Królewcu w 1847 r.; brał czynny udział w wydarzeniach Wiosny Ludów na terenie Wielkopolski, a po upadku zrywu udał się do Paryża; w wyniku rozczarowań przemianami sytuacji politycznej w Europie, a także dzięki osobistemu wpływowi Zygmunta Krasińskiego (został nauczycielem synów poety oraz uzyskał jego poparcie przy wejściu w środowisko emigracyjne) stopniowo porzucił dotychczasowe stanowisko ideowe; zmienił również wyznanie na katolickie oraz nazwisko (1856); współpracował z polskim emigracyjnym monarchistycznym środowiskiem konserwatywno-liberalnym, tzw. Hotelem Lambert, został członkiem Komitetu Wydawniczego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, był współwydawcą „Wiadomości Polskich” w Paryżu, współpracował także z „Revue de Paris”, „Revue Contemporaine” oraz „Revue des Deux Mondes”. W hołdzie swemu protektorowi opublikował po polsku i po francusku monografię na temat twórczości Krasińskiego zatytułowaną *Poeta bezimienny* (1862; wersja fr. obejmuje również tło literackiej epoki i nosi tytuł *La poesie polonaise au dix-neuvieme siecle et le poete anonyme*). Podczas powstania styczniowego działał w dyplomacji, a po jego upadku osiadł w Galicji i stał się rzecznikiem współdziałania z rządem austriackim i działaczem krakowskiego środowiska konserwatywnego. W 1870 został austriackim radcą dworu przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w latach 1870–1871 był posłem na Sejm Krajowy z obszaru Galicji, następnie został członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie (1872); otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *Pogodin, Michaił Pietrowicz* (1800–1875) – ros. historyk, pisarz, dziennikarz; profesor Uniwersytetu Moskiewskiego (od 1826 r.); w l. 1835, 1839–1840 mieszkał we Lwowie, gdzie stał się animatorem ruchu moskalofilskiego (tzw. zwane kolonia pogodinowska); członek Petersburskiej Akademii Nauk (od 1841 r.); wydawca czasopisma „Moskowskij Wiestnik” (1827–1830) oraz „Moskwitianin” (1841–1856). W 1848 brał udział w Zjeździe Słowiańskim w Pradze, rozpędanym podczas tłumienia Wiosny Ludów. W l. 60. XIX w. stał się jednym z głównych twórców ideologii wielkoruskiej i panslawizmu. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *Samarin, Jurij Fiodorowicz* (1819–1876) – ros. historyk, działacz społeczny, publicysta; jeden z ideologów ruchu słowianofilskiego; zajmował się rozwojem stosunków społ.-ekonomicznych i narodowych w krajach bałtyckich oraz dziejami ros. cerkwi prawosławnej; w 1861 r. uczestniczył w przygotowaniu reformy uwłaszczeniowej na terenie Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

Nigdy w dziejach powszechnych nie udało się oszustwo na miarę tak ogromną i trwałą, nigdy też najbrutalniejsza przemoc, egoizm i cyniczne kłamstwo nie przybrały tak pięknych i wzniosłych masek, nigdy wreszcie tak ogromna ilość ludzi na całym świecie, w tym również i wielkich umysłów, nie uległa tak ślepym złudzeniom i nadziejom.

## czwartek, 12 marca

Wspomniałem wczoraj o geniuszu Stalina. Przez dłuższy czas jedną z najbardziej niewytłumaczalnych cech tej osobowości równie niezwykłej, jak przerażającej, wydawała mi się precyzyjna nieomyślność, z jaką ten Gruzin (ale urodzony w prawosławiu i wychowanek prawosławnego seminarium) zrozumiał i zrealizował rosyjską rację stanu. Nie istnieją wskazania dość wiarygodne i rozsądne, aby wątpić w szczerłość oraz autentyczność komunistycznych poglądów Stalina. Więcej, gdyby Stalin nie był komunistą z najgłębszego przekonania – niepodobna byłoby go zrozumieć jako twórcy nowoczesnego imperium rosyjskiego, tworzył je bowiem w zgodzie z dialektyką marksistowską, prawidłowo przyjmując za punkt wyjścia dla swoich poczynań ścisłe rozpoznanie wszystkich okoliczności, w jakich się znalazła Rosja porewolucyjna. To komunizm uczynił ze Stalina rosyjskiego męża stanu miary z pewnością nie mniejszej niż był nim niegdyś Iwan Groźny, a potem Piotr Wielki. Nie łudząc się, jak Trocki – i słusznie – iluzorycznymi perspektywami światowej rewolucji, Stalin po śmierci Lenina był jedynym bodaj spośród ówczesnego kierownictwa, który doskonale rozumiał, że zdobycze Rewolucji Październikowej dadzą się utrzymać wtedy tylko, gdy Związek Radziecki stanie się mocarstwem. Myślę, że wielu z wybitnych skądinąd przywódców partyjnych z owych lat dwudziestych i trzydziestych rozpieprzyłoby ten cały interes, gdyby doszli do władzy. Stalin stworzył (a może raczej odrodził) rosyjskie imperium. Cena, jaką trzeba było za to zapłacić, okazała się oszałamiająco wielka, lecz na dobro Stalina, jako męża stanu, trzeba zapisać, iż nigdy się nie wahał, aby owe wysokie koszty płaciły najwartościowsze jednostki, całe warstwy społeczne, bratnie partie, całe narody, rosyjskiego nie wyłączając. Lecz chyba nie brutalne i nieludzkie koszty przerażają przede wszystkim w tym gigantycznym przedsięwzięciu. Cała historia ludzkości spływa krwią i napiętnowana jest bezmiarem zniszczeń i cierpień. W dziele Stalina przeraża złowrogi stwór, który z tych ponad wszelką miarę kosztownych poczynań powstał. Nie zawsze mi się to udaje, lecz staram się na całokształt tych spraw patrzeć możliwie chłodno, nie rzucając na szalę wagi losu mojej własnej ojczyzny. Szala z podbitymi i uciemiężonymi jest dostatecznie obciążona. Naród rosyjski również na tej szali wegetuje. Siedzimy w jednej klatce.

## **piątek, 13 marca**

Mimo monotonnej szarości i braku słońca, poprzez tę szarość i bezsłoneczność wciskać się jednak poczynają podmuchy wiosny.

## sobota, 14 marca

Notatki do *Miazgi*. W jednym z brulionów, najstarszym, prawie w całości zapisanym, pod datą 12 stycznia 1963, więc w okresie, kiedy pisałem jeszcze w Oborach *Idzie skacząc po górach*, znajduję dość niejasny w tej chwili dla mnie tytuł: *Delegacja służbowa*. Lakoniczne zapiski poniżej: wesele w Jabłonie, zgubienie delegacji służbowej, wszystkie zjawy w noc w Jabłonie pokazują się Iksowi, w bocznym saloniku przypadkowo w towarzystwie dygnitarzy.

Nie umiem już w tej chwili zrekonstruować wydarzeń, które chciałem wówczas zgotować owemu Iksowi, gubiącemu delegację służbową i trafiającemu na jakieś przyjęcie weselne w Jabłonie.

Lecz na stronie sąsiedniej, pod datą 28 marca tego samego roku (również w Oborach) widzę notatkę: porzucenie pomysłu *Delegacji służbowej* na rzecz **Wesela** – 1) Zapowiedzi 2) Ślub cywilny 3) Ślub kościelny 4) Wesele w Jabłonie. Wyraźnie cieplej, jak w zabawie: ciepło, ciepło... zimno, zimno... Ale tylko cieplej, bo dokładnie nie potrafię wszystkich szczegółów złożyć. Andrzej Wajda dopiero pod koniec roku 1963 wystawił w Krakowie *Wesele* (byłem na tym przedstawieniu ze Stefanami Otwinowskimi przed samym Sylwestrem), lecz możliwościami teatralnymi, a także i filmowymi *Wesela* interesował się o wiele wcześniej, rozmawialiśmy na ten temat w staromiejskiej kawiarni „Gwiazdeczka”<sup>10</sup>, nie mógł to być jednak marzec, bo już było dostatecznie ciepło, żebyśmy mogli siedzieć na świeżym powietrzu, na dziedzińcu, pamiętam dobrze, że w trakcie jednej z rozmów właśnie na dziedzińcu „Gwiazdeczki”, powiedziałem Wajdzie, że po co zastawiać się nad ekranizacją *Wesela*, kiedy motyw wesela można umieścić we współczesności. Chyba dokładnie pamiętam, że w tym moim ówczesnym pomysle Panną Młodą miała być dziewczyna z „Mazowsza”<sup>11</sup>, a Panem Młodym – najpierw młody człowiek z rodziny arystokratycznej, później syn wysoko postawionego dygnitarza rządowego. Tytuł *Miazga* pojawia się po raz pierwszy przy dacie 28 sierpnia 1963, nie był jednak jedynym, ponieważ już później pojawiają się inne tytuły, zaczerpnięte z ludowych porzekadeł: *Gorzki płas* i *Ta wierzba jest moja*<sup>12</sup>. Ostateczny powrót do *Miazgi* oznaczony jest datą 30 listopada 1964, więc gdy po wyjątkowo intensywnej pracy w lipcu i w sierpniu roku poprzedniego miałem obraz powieści opracowany w ogólnym zarysie, a i większość postaci już z biografiami. Pierwotnie akcja miała się rozgrywać w sobotę 16 maja 1964, skoro jednak niecierpliwy czas począł pomykać szybciej niż moja od początku oporna książka wśród różnych utrudnień i kłopotów – przenieśliśmy czas trwania akcji na sobotę 15 maja roku 1965. Jak się później okazało, nie było to ostatecznie ściganie się z czasem. Niestety, nie potrafię już teraz odtworzyć pierwszych etapów *Miazgi*, jak powstawała, w jakim tempie i dokładnie kiedy. W moim posiadaniu jest tylko rękopis kontynuowany od schyłku roku 1965, kiedy ostatecznie zniechęciłem się do pisania na oddzielnych kartkach, przekładając nad ich zbyt obszerny format skromne i jakby intymniejsze stroniczki zwykłego brulionu.

---

<sup>10</sup> *staromiejska kawiarnia „Gwiazdeczka”* – istniejąca do dziś kawiarnia (bistro) przy ul. Piwnej 40/42 w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *Mazowsze* – Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”, powołany dekretem Ministerstwa Kultury i Sztuki 8 listopada 1948 r.; prowadzony przez kompozytora i miłośnika folkloru Tadeusza Sygietyńskiego oraz przedwojenną aktorkę filmową i kabaretową Mirę Zimińską-Sygietyńską zespół początkowo miał siedzibę w podwarszawskich Otrębusach w dworze Karolin, a do jego repertuaru należały piosenki i tańce w opracowaniu muzycznym Sygietyńskiego; 6 listopada 1950 r. odbył się premierowy występ „Mazowsza” w Teatrze Polskim w Warszawie; wkrótce „Mazowsze”, popularyzując polski folklor, zaczęło występować również poza granicami Polski: w ZSRR (1951), we Francji (Paryż 1954), w Stanach Zjednoczonych (1960). Zespół stał się ulubieńcem Polonii w wielu krajach, a także wizytówką Polski Ludowej; w 1953 r. solistka zespołu „Mazowsze”, Lidia Korsakówna zagrała w filmie Leonarda Buczkowskiego *Przygoda na Mariensztacie* dziewczynę, która zakochuje się w przodowniku pracy pracującym przy odbudowie stolicy; w 1999 r. zespół „Mazowsze” wystąpił w filmie Andrzeja Wajdy *Pan Tadeusz* w scenie finałowego poloneza. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> „*Gorzki płas*” i „*Ta wierzba jest moja*” – oba teksty: wyliczniki oraz absurdałnej piosenki czy wierszyka, pojawiają się dalej w tekście. [przypis edytorski]

Wyjeżdżając z początkiem listopada 1966 do NRF i przewidując, że spędzę później kilka tygodni w Paryżu (te tygodnie przeciągnęły się do czterech miesięcy) – zabrałem ze sobą wszystkie materiały do *Miazgi*. Już pod koniec parotygodniowego pobytu w Niemczech Zachodnich, gdy w drodze z Kolonii do Monachium zatrzymaliśmy się na obiad w Stuttgarcie, wydarzyła się przygoda, oględnie mówiąc: nieprzyjemna. Podczas kiedy jedliśmy obiad w rozległej restauracji mieszczącej się na wysokim piętrze nowoczesnego gmachu, z naszego auta zaparkowanego w pobliskim garażu podziemnym wykradziono część bagaży, m.in. moją maszynę do pisania oraz torbę, w której obok przyborów toaletowych i podręcznych drobiazgów znajdowała się teczka z rękopisem i maszynopisem *Miazgi*. Mimo licznych anonsów w prasie i przez radio nigdy już tej teczki nie odzyskałem. Pewnie skończyła swój żywot w jakimś śmietniku. Brulion z nowym rękopisem oraz dwa bruliony z notatkami znajdowały się na szczęście w walizce w bagażniku. Lecz los w tej nieoczekiwanej przygodzie i tak wykazał dla mojej książki wiele życzliwości: gdybym przed kilkoma miesiącami przed tym, ulegając wreszcie namowom Strykowskiemu, nie dał dla „Twórczości” kilkudziesięciu stron maszynopisu – strata poniesiona w Stuttgarcie nie ograniczyłaby się do trzydziestu czy czterdziestu stron, więc tych tylko, których nie było w maszynopisie złożonym bezpiecznie w „Twórczości”. Byłaby to katastrofa całkowita. Nie potrafiłbym zagubionego tekstu zrekonstruować, a wątpię, czy starczyłoby mi sił i umiejętności, aby jeszcze raz zaczynać wszystko od nowa.

Ponieważ Maryli W., która w charakterze tłumaczki (ale jak nieporównanie znakomitej!) towarzyszyła mi w podróży, również ukradziono torbę z podręcznymi rzeczami, pierwszy dzień w Monachium musieliśmy zacząć od najniezbędniejszych zakupów, byliśmy dosłownie bez niczego, bez szczotek do zębów, grzebieni, nocnych koszul, proszków nasennych. Maryla bez swoich kosmetyków, a ja bez maszynki do golenia. Nigdy jeszcze w ciągu równie krótkiego czasu nie zakupiłem tak wielu przedmiotów. Wracaliśmy do hotelu bardzo rozbawieni, lecz i leciutko zażenowani, bo obładowani rozlicznymi paczkami wyglądaliśmy na typowych obywateli kraju socjalistycznego, łapczywie zaspokajających swoje tęsknoty za luksusem zachodnim.

Jeszcze w czasie pobytu w Monachium dotarł do mnie październikowy numer „Twórczości” z fragmentami *Miazgi*.

Oto kilka słów wyjaśnienia, którym poprzedziłem tekst:

„Gdy przed wieloma miesiącami, jeszcze w połowie roku ubiegłego, zgłosiłem naczelnemu redaktorowi »Twórczości« chęć wydrukowania fragmentów powieści, nad którą pracowałem parę lat – nie przypuszczałem, że z tej dobrowolnie podjętej obietnicy nie będę się mógł wywiązać, i to w sposób, oględnie się wyrażając, cokolwiek żenujący. Jeśli powiem, że autor książki bardzo zaawansowanej i rozbudowanej, z solidnym zapleczem materiałów i notatek, znalazł się w pewnym momencie w ślepym zaułku i przebywał w nim dość długo, aby zwątpić w podjętą pracę, a wybrnął z tej nieprzyjemnej sytuacji wówczas dopiero, gdy znalazł dla powieści nową zasadę kompozycyjną (w konsekwencji chyba i myślową również) – powiem, prawdopodobnie, akurat tyle, aby został wyjaśniony ów przykry fakt, iż zapowiedź *Miazgi* utrzymywała się na okładkach »Twórczości« przez kilkanaście miesięcy. Doprawdy, trudno mi nie wyrazić moim przyjaciołom z »Twórczości« wyrazów podziwu i wdzięczności, iż w tej sytuacji, wywołującej sporo nie najprzyjemniejszych komentarzy, wykazali w stosunku do mnie i moich pisarskich kłopotów tyle wielkodusznej cierpliwości.

*Miazga* składa się z trzech części: *Przygotowanie*, *Prolog* oraz *Consumatum non est*. Część I pisana jest w czasie przeszłym, przeważnie w trybie warunkowym, odwołuje się zatem do sytuacji o tyle ryzykownych, iż tylko prawdopodobnych, bowiem niesprawdzonych, niestety, w rzeczywistości, która w częściach następnych, przede wszystkim w III, ułoży się całkiem odmiennie od wszelkich zamierzeń i projektów. Krótko mówiąc: do ślubu Konrada Hellera z Moniką Panek nie dojdzie, przyjęcie weselne w Jabłonnie się nie odbędzie. Ten krótki komentarz wydaje się w tym wypadku

szczególnie potrzebny, ponieważ sprezentowane<sup>13</sup> fragmenty (z konieczności ograniczona ilość powieściowych wątków jest w nich ukazana) nie zapowiadają jeszcze owej cokolwiek niedorzecznej i zawstydzającej katastrofy. Myślę, że przyzwoiciej będzie, jeśli już teraz oszczędzę czytelnikom zbędnych złudzeń. Trudno, wesela nie będzie!”

Wieczorem z dużym zainteresowaniem lektura *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika* Jamesa Hogga. Nie umiem ograniczyć palenia, choć kaszel dokucza mi coraz bardziej. O innej zmurze, o wiele dotkliwszej, wolę nie myśleć, przynajmniej dzisiaj, teraz. Dziewiąta zaledwie dochodzi, a czuję się tak znużony i rozbity, jakbym cały dzień ciężko pracował fizycznie.

Sołżenicyn podobno w jednej z ostatnich swoich wypowiedzi: „Przeczyście swoje zegary, bo nawet nie wiecie, jak świt jest blisko”.

---

<sup>13</sup> sprezentowane – właśc. zaprezentowane, przedstawione. [przypis edytorski]

## niedziela, 15 marca

Życiorysy, i to dość dokładne, niektórych postaci występujących w *Miazdze*, sięgają jeszcze końca lat 50., kiedy robiłem notatki do powieści, która miała być rodzajem biografii wybitnego i niedawno zmarłego pisarza, obecny Adam Nagórski występował wówczas jako Adam Ossowski, lecz zarówno jego pochodzenie, jak powiązania rodzinne, młodzieńcza miłość do zmarłej młodo na gruźlicę Elżbiety Kubiak, również i ogólna charakterystyka poszczególnych jego dzieł (np. książka o śmierci Leonarda da Vinci) już w tamtych odległych latach były ustalone. Rodziny Wanertów i Heryngów mają żywot jeszcze dłuższy, pochodzą z pierwszych lat po wojnie. Pamiętam dobrze, że pewnej nocy lipcowej w 1963, gdy miałem bardzo silną gorączkę, w ciągu kilku godzin niezwykle jasności umysłu wszystkie te dawniej wymyślone postacie poczęły mi się łączyć z nowo zarysowanymi, była to bardzo niezwykła noc, może tylko kilka razy w życiu danym mi było przeżyć podobnie gwałtowne rozbudzenie i sprawne działanie kreującej wyobraźni.

## poniedziałek, 16 marca

Dokuczliwy kaszel, spowodowany podrażnieniem krtani (chyba nie tylko na skutek papierosów), budził mnie w nocy kilkakrotnie, a gdy nad ranem rozbolał mnie ząb, nadający się już tylko do wyrwania, wstałem przed szóstą i po śniadaniu dokończyłem ostatnich kilkunastu stron *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika*, całkowicie podbity tym fascynująco groźnym i okrutnym arcydziełem. Cóż to za niezwykła książka! I jej autor: w młodości szkocki pasterz, samouk, współczesny Byrona, Waltera Scotta i Wodswortha, autor romantycznych wierszy wywodzących się z folkloru szkockiego, a również i wielu szmirowatych, podobno, powieści historycznych opartych na ludowych przekazach, przez przeszło sto lat zbywany w historiach literatury i biograficznych słownikach, jako kontynuator i naśladowca Roberta Burnsa, bez jednej wzmianki o *Wyznaniach usprawiedliwionego grzesznika*. Według informacji Anny Trzeciakowskiej, do której zadzwoniłem, żeby jej podziękować i za wybór tej zdumiewającej książki i za znakomity przekład, *Wyznania usprawiedliwionego grzesznika* uzyskały pewien rozgłos dopiero po II wojnie, gdy ukazały się w Anglii z przedmową André Gide'a.

U nas przekład Hogga ukazał się pod koniec ubiegłego roku, bodaj w październiku, i jak dotąd, nikt w prasie literackiej nie zasygnalizował tego wydarzenia, a niesprzedanych egzemplarzy *Wyznań* pełno, jak mi mówiono, w księgarniach.

## wtorek, 17 marca

Wczoraj cały dzień uporczywy i męczący kaszel, uniemożliwiający pracę, a również i lekturę wymagającą skupienia, sięgnąłem więc po *Królewską Wysokość* Tomasza Manna, książkę, którą zawsze odczytuję z łatwą satysfakcją, jakbym popijał młody i osobliwie rozkoszny (jedno z ulubionych określeń Manna) riesling. Natomiast nasilający się niebezpiecznie ból zęba udało mi się samemu zlikwidować, przeczyszczając igłą odsłonięty kanalik. W kwadrans po tym zabiegu, dokonanym przy pomocy środków cokolwiek prymitywnych, ból całkowicie przycichł, a niebawem i lekka opuchlizna dziąsła poczęła ustępować.

Dokumentalna warstwa dzieła literackiego nie ma zazwyczaj większego wpływu na jego wartość i trwałość. Jeśli nie posiada charakteru historycznego od początku, nabiera go szybko i jakkolwiek czytelnik obdarzony inteligentną wyobraźnią zawsze potrafi przyswoić sobie w sposób naturalny realia (a również i problemy) obce jego egzystencji osobistej – „bajkowy” w najlepszym wypadku charakter owej obcości nigdy w dziele sztuki nie bywa na tyle atrakcyjny, by, poza zaciekawieniem, nawet bardzo żywym, mógł rozbudzić w czytelniku głębsze oraz trwalsze wzruszenia i refleksje. Może się natomiast zdarzyć, iż wspomniana warstwa dokumentarna (np. tragedii greckich, *Don Kichota*, szekspirowskich tragedii, czy *Anny Kareniny*) stałaby się w odczuciu odbiorcy prawie całkowicie martwa, gdyby piękno sztuki oraz siła przeżyć ukazanych postaci, wplątanych w konflikty również dalekie od naszych doświadczeń współczesnych, nie była tak pasjonująca, iż sfery same w sobie obojętne odsłaniać poczynają wstrząsający obraz ludzkiej kondycji, zawsze – mimo ograniczeń historycznego kontekstu – odwołując się do naszych doświadczeń własnych, rozgrywanych w kontekście nawet skrajnie odmiennym.

Nic, zdawałoby się, bardziej obcego dla czytelnika drugiej połowy XX stulecia od materii dokumentarnej *Wyznań usprawiedliwionego grzesznika*. Wyłącznie w charakterze historycznego fenomenu możemy przyjmować surową, a przede wszystkim skrajnie pyszną i okrutną w swej fanatycznej bezwzględności koncepcję prezbiteriańskiej predestynacji, która w tajemniczej głębi jeszcze przed dziełem Stworzenia umieszcza nieodwołalne wyroki Stwórcy wyznaczające wszystkim ludziom z góry, na zawsze i bez względu na ich wolę oraz uczynki los potępienia lub zbawienia. A jednak niebywała artystyczna siła oraz psychologiczna wymowa, dzięki którym tak dramatycznie narasta i zagęszcza się ponura historia „wybrańca”, Roberta Colvana, sprawiają, że obca nam i niejako zastygła materia purytanizmu poczyna się na naszych oczach ożywiać i tak kształtować w trakcie lektury, a nade wszystko, gdy po przeczytaniu, pełni ciężkiego zamyślenia, książkę zamykamy, iż wymowa owej materii przekształca ją sama, odradza i zadziwiająco modeluje, odsłaniając te sfery fanatyzmu, nietolerancji, pychy, nienawiści i pogardy, które pod różnymi maskami istnieją i działają *hic et nunc*<sup>14</sup>.

W jednej z teczek z materiałami do *Miazgi* znalazłem następującą notatkę, spisaną przed kilkoma laty na marginesie lektury *Kronik* Stanisława Orzechowskiego:

„W roku 1551 Katedralna Kapituła krakowska, wbrew zwyczajowi ostatnich dziesięcioleci, a nawiązując do obowiązującego w średniowieczu prawa ścigania heretyków przez Kościół, wytoczyła proces niejakiemu Konradowi Krupce-Przeclawskiemu, szlachcicowi, który szlachectwo niedawno otrzymał był od Zygmunta Starego, oskarżając owego Krupkę o trwanie w błędach religijnych, co zresztą było prawdą, wieś oskarżonego Przeclawice w ziemi proszowickiej była jednym z ośrodków polskiego protestantyzmu. Wokół tego niebywałego, jak na owe czasy, procesu, rozpętała się gwałtowna burza, i gdy wreszcie dzięki uporowi biskupa krakowskiego, Andrzeja Zebrzydowskiego,

---

<sup>14</sup> *hic et nunc* (łac.) – tu i teraz. [przypis edytorski]

zapadł wyrok skazujący Krupkę na wyłączenie ze społeczności chrześcijańskiej oraz infamię i utratę majątku, sprawa oparła się o króla, Zygmunta Augusta, a gdy ten pod wpływem stronnictwa szlacheckiego wykonanie wyroku wstrzymał, cała afera stała się na sejmie w roku 1552. Na tym to sejmie hetman Jan Tarnowski, żarliwy katolik, potępił sądowe ingerencje kościelne i wymierzanie szlachcie kar przez sądy biskupie.

Między hetmanem i biskupem Zebrzydowskim doszło w senacie do ostrej wymiany zdań. Stanisław Orzechowski w swych *Kronikach* dokładnie tę scenę opisał. W pewnym momencie Zebrzydowski zawołał:

– Czemże więc, Tarnowski, w Polsce będę, jeśli około kacerstwa, biskupem będąc, zarządzać nie będę? Woźnym li, czy biskupem?

Na to odpowiedział Tarnowski:

– Przywoiciej by zapewne było, Jędrzeju Zebrzydowski, tobie w Polsce być woźnym niż mnie niewolnikiem”.

W związku z tą notatką: pani P., z pierwszego małżeństwa pani H., przed wieloma laty sekretarka Stanisława Mikołajczyka, podówczas premiera emigracyjnego Rządu w Londynie, opowiadała mi w swoim czasie, że gdy w październiku roku 1944 toczyły się na Kremlu rozmowy pomiędzy przedstawicielami Rządu Londyńskiego i Komitetu Lubelskiego, Stalin, zapytany przez biorącego udział w pertraktacjach Churchilla, czy zamierza narzucić Polsce ustrój komunistyczny, kategorycznie zaprzeczył, a po chwili dodał: „Komunizm Polsce akurat pasuje, jak krowie siodło” (*idiot jej kak karowie siedło*).

Relacja pani P. wydaje się wiarygodna. Zresztą niedawno potwierdził mi ją Iks, który jest dość dobrze zorientowany w politycznych kulisach; Iks, stary przedwojenny komunista, zanim w Polsce Ludowej robił karierę, a potem anty-karierę, przebywał był przed wojną w Związku Radzieckim i osiem lat przesiedział w jednym z najcięższych łagrów syberyjskich. Pomijając w sformułowaniu Stalina ironiczny akcent w stosunku do Polski, jest ono pod jednym względem niezwykle charakterystyczne: Stalin, co mu się zresztą często przytrafiało, w jednym lapidarnym zdaniu powiedział prawdę i skłamał.

Stalin miał rację mówiąc, że ukształtowany przez niego model komunizmu Polakom nie odpowiada. To prawda. Ten rosyjski model był i jest sprzeczny z najlepszymi tradycjami Polaków. Stalin pogardzał zapewne tymi tradycjami, lecz je rozumiał. Natomiast wielkomocarstwowe interesy rosyjskiego imperium wymagały, aby jego wpływy przesunęły się jak najdalej na Zachód i w osiągniętych granicach poczęły się utrzymywać i umacniać. W warunkach politycznych, jakie się wytworzyły w Europie po II wojnie brutalny proces politycznej rusyfikacji zwasalizowanych narodów (wśród nich również, a nawet przede wszystkim polskiego) musiał nastąpić nieuchronnie.

Wydaje mi się, że ludzie, którzy z mandatu rosyjskiego objęli Polskę władzę w 1945, nie można osądzać z perspektywy roku 1970. Myślę, że w przeważającej większości (i mimo braku kwalifikacji) byli to ludzie uczciwi, rzetelnie przejęci dobrem Polski, skoro jednak sfera polityki wymaga m.in. umiejętności trafnego przewidywania, stwierdzić by należało, że nie co innego, jak komunistyczna ideowość uniemożliwiła tym ludziom podjęcie trzeźwej oceny politycznej. Nie przewidywali przede wszystkim, jak mogę sądzić z wielu dawniej przeprowadzanych rozmów, że zarówno w Polsce, jak i w innych krajach tzw. demokracji ludowych, będzie się musiał powtórzyć stalinowski model. Nie przewidywali roku 1948, rozumując – zdawałoby się poprawnie z punktu widzenia marksizmu – że w nowym układzie historycznym będzie można uniknąć bezwzględności działania mechanizmów, związanych z układem historycznym minionym. Istotnie, obóz socjalistyczny po II wojnie światowej reprezentował pod każdym względem układ odmienny od sytuacji Związku Radzieckiego w dwudziestolecie międzywojennym. Lecz jądro rzeczy było to samo. Tego wszakże ponurego i groźnego jądra ludzie, kierujący ówczesną Polską, przyjąć do wiadomości nie mogli, byłoby to bowiem równoznaczne ze zdradą podwójną: obiektywną i subiektywną. Cóż zresztą mówić o tamtych latach odległych? Jeszcze dzisiaj, gdy tyle tabu zostało obnażonych i tak wiele najlepszych

wiar startych na miazgę, jeszcze dzisiaj i jakże wielu ludzi oczadzająca magia Rosji poraża ślepotą, deformując ich mózgi w sposób bezwzględny i często nieodwracalny.

Wieczorem Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel.*

## środa, 18 marca

*Z Naszego wspólnego przyjaciela:*

– Czyż moje opierzenie wygląda aż tak nieszczęśliwie? – zapytał Eugeniusz spokojnie, podchodząc do lustra. – Rzeczywiście, **jest** trochę nie tego... Ale pomyśl tylko: czy to noc dla pióropuszy?

## piątek, 20 marca

Wedle ludowego przysłowia ryba psuje się od głowy. Mimo akcesoriów, towarzyszących kultom jednostek, proces odczłowieczenia dwudziestowiecznych totalizmów też się koncentruje u samej góry. Trudny wybór, lecz gdybym wybierać musiał – wołałbym Kserksesa i Kaligulę od Hitlera i Stalina. Nieograniczony despotyzm pierwszych wsparty był władzą sakralną, dyktatura drugich – ideologią. Z dwojga złego wolę sakralność od totalnej ideologii. Wiele elementów złożyło się na ubóstwienie jednostki, lecz wśród tych złożonych przyczyn można również dostrzec pierwiastki ludzkiej tęsknoty i dumy, podobne egzystencjalnie rygorom, które skłoniły Prometeusza do uczłowieczenia się. Maksym Gorki łudził się w odniesieniu do swoich czasów, wołając, że „człowiek, to rzecz dumna”. Myślę, że pod koniec życia zrozumiał tę szlachetną pomyłkę. Przywódcy nowoczesnych totalizmów pozbawieni są sakralności, tego kreującego niegdyś elementu ludzkiego. Swoją zmitologizowaną nadrzędność zawdzięczają ideologii, ściślej: antyludzkim elementom ideologii. Siedem grzechów głównych totalizmu: nietolerancja, łamanie ludzkich praw, egoizm, pycha, zaborczość, kłamstwo, cynizm. Wbrew swoim transparentom totalizm brutalnie człowieka poniża, a gdy czyni z niego zdobywcę – czyni go również gwałcicielem i zbrodniarzem. Głęboka niewiara w człowieka spoczywa u podłoża tzw. kultu jednostki.

Na marginesie książki publicysty zachodniemieckiego Joachima Festa *Oblicze Trzeciej Rzeszy*.

Terror jest jedną ze szczególnie drastycznych sprzeczności totalizmu. Najsprawniej działa totalizm przy pomocy terroru. Terror paraliżuje społeczeństwo. Równa ludzi w dół, paraliżuje bowiem wszystkich (choć na inną modłę), zarówno katów, jak ofiary, potencjalnie każdy obywatel w reżimie totalnym może się stać ofiarą lub oprawcą, nieraz jeden krok wystarcza, aby znaleźć się wśród oprawców, a żaden oprawca nie może być pewien, iż nie zostanie pewnej nocy rozbudzony w charakterze ofiary. Lecz terror nie może działać *ad infinitum*<sup>15</sup>. Miecz, który ścina, wyszczerbia się i tępieje. W pewnym momencie przychodzi katastrofa od zewnątrz lub pod naciskiem okoliczności wewnętrznych terror musi zelżeć i przekształcić się w ucisk. Lecz z chwilą, gdy groza terroru przestaje społeczeństwo paraliżować, gdy rozluźnia się sztuczne napięcie, a rzeczywistość w porównaniu z poprzednią staje się mdła, nijaka i rozrzedzona – ludzie, wyzwoleni od strachu, wyprostowują się i choć płytko oddychają, ich oprzytomniałe oczy jaśniej poczynają dostrzegać zwyrodniałą konstrukcję ustroju oraz jego potężne wiązania przeżarte rozkładem. Wtedy zaczyna się początek nieuniknionego końca, choć błędem byłoby przypuszczać w podobnej sytuacji, iż koniec musi nastąpić w najbliższej przyszłości. Nie musi. Proces obumierania może być długi. Lecz u niewiadomego kresu agonii zawsze stoi i czeka śmierć.

---

<sup>15</sup> *ad infinitum* (łac.) – w nieskończoność. [przypis edytorski]

## sobota, 21 marca

Kalendarzowa wiosna i rano, po kilku dniach szarej, bezsłonecznej odwilży, jeszcze raz w tym roku zimowy krajobraz, drobny, spokojnie padający śnieg, drzewa gęsto oszronione.

Nie piszę, aby życie uporządkować i gładko wyjaśnić, przeciwnie! Piszę, żeby życie skomplikować i pokazać je trudniejszym i cięższym aniżeli się to wielu ludziom wydaje. Tylko trudny świat zmusza do oporu. Lecz cokolwiek złego mówię o istocie zwanej człowiekiem lub w jakiegokolwiek ciemne obszary pograżam ludzką dolę, a losom na tej ziemi odejmuję kuszące wartości, sam sens istnienia poddając nieraz w wątpliwość – fakt, iż zadaję sobie trud, aby podobne myśli utrwalić, dowodzi, iż wbrew temu, co o życiu mniemam, jestem po jego stronie, ponieważ wolność wyboru, bez której nie istnieje inspiracja twórcza i w ogóle twórczość, więc wolność wyboru, owa trudna i szcudra niepodległość duchowa jednostki, w samej swojej esencji wyraża akceptację życia.

Jałowa, lecz lepka nuda kłamstw, fałszerstw i przemilczeń, które dzień po dniu, z natrętnym uporem leją się ze wszystkich środków masowego przekazu. Przed wieloma laty mówił mi ktoś, nie pamiętam już kto, iż obóz koncentracyjny, więzienie oraz szpital zrozumieć mogą tylko ci, którzy w nich przebywali. Prawdopodobnie tak, a mówię: prawdopodobnie, ponieważ moje doświadczenia osobiste w tej mierze są żadne, nigdy nie byłem ani w obozie, ani w więzieniu, nigdy też nie przebywałem w szpitalu z powodu ciężkiej, unieruchamiającej choroby. Domyślam się jednak, iż mój współmówca chciał zaakcentować przede wszystkim **zamknięty** charakter rzeczywistości obozowej, więziennej i szpitalnej oraz szczególne reguły, które tymi sferami rządzą. Niewola również należy do rzeczywistości zamkniętych i nikt, kto jej osobiście nie zaznał, nie jest w stanie pojąć mechanizmu zakazów i ograniczeń oraz rozlicznych deformacji, którym ludzie żyjący w niewoli nieuchronnie podlegają. Wprawdzie charakter tych skrzywień i zniekształceń w różny sposób się manifestuje, zależnie od osobowości jednostki, przecież żalosnej degradacji uniknąć nie może nikt. W warunkach niewoli nawet najlepsi coś tracą, nie mogą siebie realizować wszechstronnie i na miarę swoich możliwości. I myślę, że właśnie ci najlepsi powinni nie zatracać świadomości tego stanu rzeczy.

## **poniedziałek, 23 marca**

Pierwszy naprawdę przedwiosenny dzień, sporo słońca, lecz podmuchy wiatru wciąż jeszcze chłodne. Andrzej M., z którym widziałem się po południu, opowiedział mi historyjkę wymyśloną podobno przed trzema laty przez Leszka Kołakowskiego. Wiele zabawek dziecięcych, składających się z drewnianych lub metalowych elementów konstrukcji, posiada na pudełku napis: „Zrób to sam”. Otóż w takim właśnie pudełku „Zrób to sam” – opowiadał Kołakowski – znajdowały się: dwie deseczki, młotek, gwoździe oraz 33-letni Żyd.

## poniedziałek, 23 marca

Wieczorem w radio pierwsze wykonanie III Symfonii Zygmunta Mycielskiego<sup>16</sup>. Słuchaliśmy razem z Marysią<sup>17</sup>, przejęci i wzruszeni pięknem tej muzyki. Żałowaliśmy, że Zygmunt nie ma u siebie w domu telefonu, abyśmy mogli natychmiast przekazać mu nasze wrażenia. Musieliśmy poprzestać na kilku słowach, które wysłamy jutro.

---

<sup>16</sup> *Zygmunt Mycielski* (1907–1987) – kompozytor, publicysta, pisarz i krytyk muzyczny związany z czasopismem „Ruch Muzyczny”; twórca dzieł symfonicznych, kameralnych oraz pieśni do słów autorów romantycznych (Norwida, Słowackiego) oraz współczesnych (m.in. prozy Iwaszkiewicza, wierszy Miłosza, Herberta, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Gałczyńskiego). [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *Abgarowicz, Maria* (1906–1971) – muzykolog; prywatnie żona Jerzego Andrzejewskiego. [przypis edytorski]

## wtorek, 24 marca

Ostatni rozdział monografii Askenazego o Walerianie Łukasińskim z dokładnym opisem 46 lat spędzonych przez niego w najcięższych więzieniach. Ten major 4 pułku piechoty liniowej Księstwa Warszawskiego od roku 1811, gdy miał lat zaledwie dwadzieścia pięć, należał do masonerii, w roku 1819 był współzałożycielem Wolnomularstwa Narodowego, a po rozwiązaniu tej organizacji stał się w roku 1821 współorganizatorem Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, którego celem miało być przyłączenie do Królestwa Polskiego dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej oraz obrona nadanej w 1815 roku przez Aleksandra I konstytucji. Aresztowany w 1822 skazany został przez sąd wojenny na 9 lat ciężkiego więzienia w Zamościu. Po zorganizowaniu buntu w więzieniu zamojskim podwojono Łukasińskiemu karę, a po wybuchu powstania listopadowego został wywieziony do twierdzy Szlisselburskiej, gdzie w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach, w całkowitym odosobnieniu pozostał do końca życia w roku 1868.

Dwa fragmenty z Askenazego:

„Nadeszła noc 29 listopada 1830 roku, wybuchła rewolucja w Warszawie. Zbudzić musiały Łukasińskiego płynące z miasta coraz bliżej, coraz potężniej, huki, strzały, dzwony na trwogę; zerwać się on musiał w ciemności i uciszając brzęk kajdan i bicie własnego serca, z zapartym oddechem chwytać te głuche odgłosy rozpętanej dokoła burzy; a jakież tej długiej nocy miotać się musiały uczucia, strach narodowej klęski, nadzieja zwycięstwa, przedsmak swobody, rozpacz bezsilności. Rozpacz tępa, śmiertelna, dopiero przytłoczyć go musiała, kiedy nazajutrz 30 listopada Wołyńscy w szyku bojowym, w widocznym już odwróceniu przed rewolucją, wystąpili z koszar, i wzięwszy go przemocą w środek szeregów, uprowadzili z sobą za miasto. Stąd, przy wyjściu wojsk rosyjskich z W. Księciem Konstantym z Królestwa, zabrano go, cofając się drogą okólną na Puławy i Włodawę. Po raz ostatni widziano Łukasińskiego we Włodawie, w nędznej siermiędze, z brodą po pas, ciągnionego pieszo na postronku, pod strażą konną z dobytymi pałaszami, jak go prowadzono precz z kraju, za Bug”.

I potem:

„Twierdza Szlisselburg, wznosząca masywne swe baszty tuż opodal rwistej Newy na nieprzystępnej skalistej wyspie burzliwej Ładogi, miała już wtedy sławę ponurą jako historyczne miejsce niewoli. Tutaj więzioną była pierwsza małżonka Piotra Wielkiego, carowa Eudoksja Fiodorowna, tutaj jego siostra, carewna Maria Aleksiejowna w mękach zakończyła życie, tutaj car Iwan Antonowicz zgładzony został. Tutaj inne jeszcze głośne w dziejach rosyjskich XVIII wieku przesunęły się postacie, Golicyń za Anny Iwanówny, Biron za Elżbiety Piotrowny, a obok nich mnogość niezliczona ofiar ostatnich szlacheckiego, mieszczańskiego, chłopskiego stanu, zawsze jednak w uznawanych za doniosłe, niebezpieczne i tajne w materiałach czysto politycznych. To było schowane cmentarzysko polityczne *par excellence*<sup>18</sup>, gdzie grzebano winowajców o winy stanu w najobszerniejszym znaczeniu słowa, i takim pozostało aż do końca, do swego zwinienia w czasach najnowszych. Podówczas, za Mikołaja I, przed paru dopiero laty, przeszło tedy wielu najwybitniejszych dekabrystów, bracia Bestużewowie, Pogodin, Juszniewski i inni. Nierównie jednak cięższy los od nich wszystkich czekał tutaj Łukasińskiego.

---

<sup>18</sup> *par excellence* (fr) – w najwyższym stopniu, w pełnym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

Na tydzień jeszcze przed dostawieniem Łukasińskiego do Szlisselburga, komendant tej twierdzy, generał-major Kołotyński, odebrał rozkaz sekretny naczelnika Sztabu Głównego J.C.M., hr. Czernyszewa, o tym najpierwszym, tak niezwykłym jeńcu polskim. Komunikował tu Czernyszew do ścisłego wykonania następującą wolę Najwyższą: mającego nadejść z Bobrujska »przestępcę z Królestwa Polskiego, Łukasińskiego, przyjąć i trzymać w twierdzy szlisselburskiej jako przestępcę stanu, jak najtajniejszym sposobem i tak, iżby oprócz komendanta twierdzy nikt nie wiedział nawet o jego nazwisku ani też skąd do więzienia przysłany został«. Skutkiem tego, po przybyciu Łukasińskiego do Szlisselburga w styczniu 1831 roku, przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności i zastosowano do niego najsurowszą, nawet tutaj względem nikogo niepraktykowaną już wtedy formułę zamknięcia. Umieszczono go mianowicie w podziemiu tzw. »Sekretarza Zamku«. Tak nazywała się starożytna masywna wieża, datująca się jeszcze z czasów szwedzkich, położona w pośrodku twierdzy szlisselburskiej, dziś zwana basztą Świetliczną i po części zamurowana, a już podówczas nigdy prawie nieużywana, opustoszała zwykle i szczelnie zamknięta. »Sekretny Zamek«, otwierany niechętnie, gdyż zbyt ponuro po nim tułały się widma, obejmował trzy kondygnacje kazamatowe. W kamiennej kazamacie górnej trzymana była ongi carowa Eudoksja, w dolnej męczył się i zginął car Iwan, a jeszcze niżej mieściła się kazamata podziemna, dość obszerna, a bardzo niska, przytłoczona granitowym sklepieniem, na ubitej gołej ziemi, chłodna, cmentarnie zaciszna: tutaj zamknięty, pogrzebany został Łukasiński. Trzymając się najściślej carskiego nakazu odcięto go zupełnie od świata i ludzi. Pilnującym go żołnierzom wzbroniono najsurowiej wszelkiej z nim rozmowy, w milczeniu podawano mu strawę, a w wypadkach koniecznej potrzeby wejścia do jego lochu nie inaczej jak w kilku razem wpuszczano tam strażników”.

Czternastoletni wyrok, jaki ciążył na Łukasińskim kończył się w październiku 1838 roku. Żadna jednak zmiana w jego losie nie nastąpiła. Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpatrywano możliwość zesłania wieloletniego aresztanta na Syberię, wkrótce jednak ten projekt został zaniechany. Stan, w jakim znajdował się ten straszliwie wynędzniały i zgrzybiały starzec nie nadawał się nawet na zesłanie. Dopiero w ostatnich latach życia nastąpiła w losie Łukasińskiego pewna poprawa. Przeniesiono go do jednej z izb dolnej kazamaty, otrzymał stół, przybory piśmienne, książki, czasem gazety, dowiadywał się powoli, co się stało na świecie i w Polsce w ciągu długiego czterdziestolecia, kiedy nie należał do żywych. Z trudem wystawiając się po polsku, już prawie półobłąkany, lecz z przeblyskami olśniewającej jasności, wciąż przepętniony żarliwym patriotyzmem przystąpił Łukasiński we wrześniu 1863 roku do spisywania rodzaju pamiętnika, będącego po części zbiorem luźnych wspomnień, po części wywodem rozmyślań politycznych, po części testamentem”.

„27 lutego 1867 roku – pisze Szymon Askenazy – nowy komendant twierdzy szlisselburskiej, generał-major von Grunbladt, złożył Aleksandrowi II raport następujący: „W.C.M. najpoddaniej donoszę, iż trzymany w powierzonej mi twierdzy sekretny aresztant Łukasiński dnia dzisiejszego z woli Bożej zmarł”.

Bliskość Świąt wydaje się wobec samego siebie dość wiarygodnym pretekstem, aby jeszcze trochę odłożyć rewizję tekstu *Miazgi*. Rewizję? Coś w tym rodzaju. Przede wszystkim sprawdzić posiadany maszynopis i na podstawie notatek ustalić porządek oraz ogólny zarys scen brakujących lub niedokończonych.

Na kolacji (doskonała zapiekanka z surowych kartofli i tartego sera, mocno przesycona czosnkiem, do tego bułgarskie czerwone wino) Markowie, Andrzej M. i Antek L. Uwzględniając, że my oboje z Marysią przekroczyliśmy sześćdziesiątkę, a Janusz (już oficjalnie od paru tygodni

usynowiony) dopiero za pół roku kończy lat piętnaście, natomiast Markowie i M. coraz odleglej mają poza sobą trzydziestkę, Agnieszka i Andrzej znajdują się z różnych stron połowy lat dwudziestych, a Antek w przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia jeden – stół, przy którym siedzieliśmy, miał charakter nieomal patriarchalny. Trochę Marysi i moich dawnych wspomnień, więc o zmarłych i jeszcze żywych (sporo o Leopoldzie Staffie), zawsze znakomite i równie znakomicie opowiadane historyjki Marka, Andrzej, którego nie tylko bardzo osobiście lubię, lecz i wysoko, dla jego niepokojów, ambicji, wiedzy i pokręconej po polsku inteligencji, cenię, w dobrej chyba formie, wewnątrznie rozluźniony i otwarty, w ciągu kilku godzin ożywiona, choć naturalnie chaotyczna rozmowa, ani razu nie zesłała na manowce polityczne. Na ostatek puściliśmy przedostatni long-play Beatlesów *The Abbey Road* i Antek, który potem wziął ze sobą tę płytę, żeby ją w domu przegrać na magnetofon, tak się rozochocił, iż przez całą prawie godzinę zabawiał nas, przegrywając na fortepianie i śpiewając stare piosenki z lat pięćdziesiątych. Miły Boże, jak bardzo ten niezwykły chłopiec przypomina mi Krzysztofa Baczyńskiego! To samo połączenie spontanicznego dzieciństwa z przedwczesną dojrzałością, ta sama skłonność do radosnej groteski, ludzako zbliżona nawet w przesadnych i nieskoordynowanych ruchach drobnej postaci, te same momenty nagłego zamyślenia i wejścia w siebie, chęć podobania się, szukanie towarzystwa starszych, obaj ukochani jedynacy, w pełni świadomi, że wysoko ponad miarę zwykłości różnią się od swoich rówieśników, Krzysztof miał olśniewający talent, Antek – szokującą w jego wieku wiedzę, ostrą i czujną inteligencję, lecz również niepokojącą potrzebę kształtowania siebie wedle wzorów swoich adoracji. Powiedział mi przed paroma dniami, że przed rokiem, gdyśmy się spotkali po raz pierwszy, napisał kilkadziesiąt stron **mojego** dziennika osobistego. Tak chciałbym go utrwalić w *Miazdze* jako młodziutkiego Antka Raszewskiego, boję się jednak, że mi się to nie uda, ponieważ pod każdym względem przeznaczony, aby stać się ośrodkiem zainteresowania – spełnić ma w *Miazdze* tylko rolę epizodu. Domaga się rozbudowania, lecz ze względu na całość nie mam prawa tego uczynić. Chyba musi w tym tekście pozostać ograniczony i niespełniony. Więc w rezultacie nijaki? Wolę odpowiedź odłożyć na potem.

## czwartek, 26 marca

Do wczesnego popołudnia, przy ostrym wietrze, częste nawroty śniegu i deszczu ze śniegiem. Potem prawie pogodnie.

Na umówione przed paroma dniami spotkanie Irenka Sz. (bardzo dawno niewidziana) przyniosła egzemplarz *Przygód człowieka myślącego*. Ta ostatnia powieść Marii Dąbrowskiej, ukazująca się w pięć lat po jej śmierci, pisana przez wiele lat i ostatecznie nieskończona (ponad 800 stron dużego formatu), rozeszła się w kilka dni. Ma razie odkładam lekturę na potem, ale wieczorem przeglądałem przypisy wydawcy, Ewy Korzeniewskiej, szczególnie z dużym zainteresowaniem i wzruszeniem fragmenty z *Dziennika* Dąbrowskiej, związane z powolnym, a także i mozolnym powstawaniem powieści. Dobra odtrutka po uprzedniej lekturze propagandowej broszury Witolda Fillera o naszej literaturze emigracyjnej. Ten małoduszny paszkwil, zatytułowany *Literatura Małej Emigracji* pomijając wiele błędów rzeczonych, nieświadomych lub tendencyjnych, skrojony jest dokładnie według modelu, obowiązującego w krajach bloku rosyjskiego, gdy na użytek propagandy wewnętrznej podejmuje się tzw. polemikę ideologiczną. Polemikę? To chyba zbyt wiele powiedziane, słowo (choć pochodzi od greckiego: *polemikos* – wojowniczy) nie wydaje się użyte właściwie. Jakże o polemice mówić, gdy wszelkie fakty niewygodne ocenia się jako kłamliwe i oszczercze, krytykę reżimu komunistycznego oraz ludzi reżim ten reprezentujących uznaje się za jednoznaczną z postawą antypatriotyczną i za zdradę narodową, a intencje ludzi, którzy nie chcą się pogodzić ze zwyrodnieniami systemu, sprowadza się do karierowiczostwa lub do wysługiwania się za pieniądze obcym, imperialistycznym agentom? Broszurę Fillera można opatrzyć wieloma przymiotnikami, świadomie przecież określiłem ją jako małoduszną, ponieważ mimo krzykliwej napastliwości, tak charakterystycznej dla komunistycznej walki ideologicznej, właśnie tchórzliwa małoduszność rodzi owo żenujące słowolejstwo, kształtujące formułki, które automatycznie, jak przy odruchach warunkowych wylatują spod piór lub z maszyn do pisania. Małoduszność, ta mieszanina bojaźliwości, lizusostwa i nienawiści, wprawia w ruch mechanizm kłamstwa, fałszów, przemilczeń, a przede wszystkim, żelazną regułę rosyjskiego imperializmu, iż wróg nigdy nie ma racji i przeciwnik musi być przewrotnym nikczemnikiem, w najlepszym razie powolną kukłą. Nie miałbym żadnych trudności, aby uruchomić w sobie ożywione działanie owego nieskomplikowanego mechanizmu, łatwym piórem mógłbym nieomal na poczekaniu sporządzić „demaskującą” i „druzgoczącą” krytykę moich własnych wypowiedzi.

Być może ludzie pokroju Fillera (a jest takich aż nazbyt wielu) przeżywają w związku ze swoją publiczną działalnością wiele trudnych i ciężkich konfliktów. Być może. Jeśli ich jednak gnębią takie czy inne zmory i nie zawsze im bywa słodko i łatwo – prace, które wykonują, nie wymagają od nich większego wysiłku umysłowego. Tania cena, jaką posiada w totalizmie wiele ludzkich wartości, stanowi – być może – dla wielu jednostek siłę szczególnie atrakcyjną, choć do charakteru tej atrakcyjności nawet przed samymi sobą nie śmieliby się przyznać. Soldy<sup>19</sup> handlowe odbywają się na świecie, jak wiadomo, dwa razy do roku. Wyprzedaż wartości humanistycznych po niżonych cenach trwa w totalizmie okrągły rok.

---

<sup>19</sup> *solda* – wyprzedaż. [przypis edytorski]

## piątek, 27 marca

Mimo zaostrzającego się od paru dni podrażnienia nerwu kulszowego i związanych z tym kłopotów z poruszaniem się, musiałem wyjść rano z domu, żeby zobaczyć się z panią G. Bardzo piękna pogoda, słońce, ciepło, a pod staromiejskimi murami, gdy szedłem na rynek Starego Miasta, prawie gorąco. Okazało się, czego się zresztą domyślałem, iż pani G. chodzi o pewne, tutaj wynikłe komplikacje w związku z jej prawami autorskimi po Marku H. Doradziłem, jak potrafiłem, nie przeceniając zresztą wagi owych komplikacji, łatwych, jak mi się wydaje, do załatwienia. Oczywiście, zarówno całej osobowości Marka, jak i jego książkom, wydanym poza krajem, daleko jeszcze do ułaskawienia, którego rozliczne oznaki mnożą się u nas ostatnio w prasie w stosunku do twórczości Gombrowicza, coraz częściej określanego jawnie jako wielki pisarz. Jeśli jednak surowa ocena Marka nadal publicznie obowiązuje, przybierając niekiedy formy drastycznie brutalne i kłamliwe (Filler w swojej broszurze pisze o nim na s. 32: „zbiegły w roku 1958 z kraju”, podczas gdy wiadomo dobrze, że Marek wyjechał z Polski legalnie, otrzymawszy stypendium zagraniczne), nie wydaje mi się, aby mogło to mieć wpływ negatywny na realizowanie w kraju praw spadkowych jego matki.

Zawsze, gdy widywałem panią G., uderzało mnie fizyczne podobieństwo Marka do niej. Dzisiaj tak samo, choć to podobieństwo nie budzi we mnie różnych, dość sprzecznych uczuć, jak niegdyś, przed wieloma laty, gdy Marek miał dwadzieścia lat i jeszcze nie był sławny, był na razie mało komu znanym autorem paru opowiadań, porywająco utalentowanym i mimo wszystkich swoich okropnych wad urzekającym urodą, sposobem bycia, fantazją, nadmiarem oszałamiającej w zetknięciu osobistym bujności. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka równie jak on w swojej młodości fascynującego (a tylko bardzo młodym go znałem), chociaż, zapewne dzięki tym swoim zadziwiającym czarom i kuglarstwu potrafił ludzi sobie bliskich przyprawiać o najczarniejszą rozpacz.

Nawet bez chłodnego zdziwienia obserwowałem samego siebie w czasie dość długiej rozmowy z panią G. Nic z dawnych uniesień, niepokojów i udręk, choć wtedy, dawno, prawie całkowicie wypełniły mi trzy lata życia, wszystko się gdzieś zapadło, rozsypało i obumarło, czasem tylko wspomnienia, lecz jeśli wspomnienia, to ścięte wrażeniem, że ja wspominający nic prawie nie mam wspólnego z tamtym wspomnianym. Miłość, miłosna choroba bywa zazwyczaj namiętym miotaniem się pomiędzy przeciwnościami szczęścia i klęsk, lecz ze wszystkich klęsk miłosnych klęską najdotkliwszą jest ta, którą przynosi zagłada miłości. Tylko ta klęska ostateczna już nie rani.

Wracając do domu wstąpiłem do księgarni i kupiłem kilka wydanych ostatnio książek; Margarete Riemschneider *Od Olimpii do Niniwy w epoce Homera*, dwa tomy szkiców Konstantego Grzybowskiego, Mariana Serejskiego *Europa a rozbiory Polski* oraz nowe powieści Romana Bratnego i młodego Piotra Wojciechowskiego, którego wydane przed paroma laty *Kamienne pszczoły* zrobiły na mnie dobre wrażenie.

## sobota, 28 marca

Wczoraj, po całym pięknym dniu, wieczorem zaczął padać deszcz, a wkrótce, gdy temperatura z 10°C spadła nagle aż do 0°C – zaczęła się zawieja i dzisiaj rano znów krajobraz zimowy. Krzyżowa „rwa” czyni mnie cokolwiek zniedołężniałym przy poruszaniu się, a siedzenie też po pewnym czasie staje się niewygodne i męczące.

Lektura książki Margarete Riemschneider *Od Olimpii do Niniwy w epoce Homera* ukazującej w sposób bardzo interesujący i inteligentny, jak różnorakie elementy kultury hetyckiej przenikały z Azji Mniejszej do Grecji, znajdując odbicie w wielu realiach *Iliady* i *Odysei*, chociaż bowiem akcja obu poematów rozgrywa się gdzieś w głębokościach XII wieku p.n.e., w istocie odzwierciedlają one, właśnie w rozlicznych realiach, świat drugiej połowy VIII wieku, współczesny Homerowi.

Naturalną cechą ludzkiej działalności jest dążność, aby przy minimum wysiłku osiągnąć maksimum korzyści. Jedynie działalność twórczą, zarówno naukową jak artystyczną, ożywia i kształtuje inspiracja odmienna. Twórca, zdążając do celu nie zawsze jasnego, nie tylko siebie nie oszczędza, lecz przeciwnie: dobrowolnie stwarza swoim poszukiwaniom trudności, w przekonaniu, iż oddalając osiągnięcie efektu końcowego oraz wikłając drogi dojścia i mnożąc przeszkody – uzyska ostatecznie więcej, aniżeli mógłby to dać wynik zdobyty w oszczędnie wykalkulowanym pośpiechu. Bez względu na odmienność ludzkich zatrudnień, wszystkie je charakteryzuje interesowność, jedynie interesowność twórcza nie liczy się z kosztami, znajdując niekiedy zadośćuczynienie wówczas nawet, gdy w wyniku maksymalnych wysiłków osiągnięte zostaje minimum korzyści.

## **niedziela, 29 (Wielkanoc)**

Przy wczesnym śniadaniu (zawieja, a śniegu napadało więcej aniżeli nocy wczorajszej), nie umiem już powiedzieć: drogą jakich skojarzeń zacząłem myśleć o Joasi O. i w związku z tym przyszedł mi do głowy pomysł opowiadania o dziewczynie (później już dojrzałej kobiecie), której całą młodość kształtował nieustanny bunt przeciw opiekuńczemu despotyzmowi dwóch bardzo silnych osobowości: babki i matki. Pamiętam jeszcze sprzed wojny jedną z glinianych rzeźb słynnego w tamtych latach świątkarza w Iłży: przedstawiała ona Trójcę Świętą i zapewne echo dawnych wyobrażeń ariańskich sprawiało, iż postacie Trójcy Świętej zostały skomponowane hieratycznie, na samym dole Chrystus, nad nim przygniatający go Bóg Ojciec, i na szczycie tej piramidy Duch Święty. W podobnym układzie: córka, matka, babka wyobrażam sobie te trzy kobiety. Bezustannie zagrożona w swoim „ja”, lecz równocześnie kształtująca się w tych codziennych zmaganiach – młoda dziewczyna całkowicie się odpręża, gdy, wyszedłszy za męża, w nowym swoim domu, przede wszystkim dzięki łagodnemu charakterowi zakochanego w niej męża znajduje zupełnie nową atmosferę. Wkrótce jednak poczyna sobie uświadamiać, że w tym bezkonfliktowym klimacie bez zgrzytów, spięć, a więc również i bez potrzeby zachowywania czujności – natura jej stopniowo przygasa i wysycha. Wreszcie Iks opuszcza męża, którego na swój sposób kocha, lecz który nie daje jej okazji do buntu. A może jeszcze później owa Iks spotka mężczyznę, który we wszystkim narzuci jej swoją wolę? I ona, niegdyś istniejąca tylko przez bunt, w uległości odnajdzie zaspokojenie? Przeciętność i nijakość, które właśnie poddania się potrzebują?

Przeglądając wczorajszą notatkę o działalności twórczej, wyróżniającej ją spośród innych sfer ludzkiego działania, odniosłem wrażenie, że bardzo tę diagnozę uprościłem. Czyż w działaniu miłosnym strona zakochana nie jest również gotowa do maksymalnych wysiłków, aby osiągnąć bodaj minimum korzyści? I jak często kochający, dążąc do zrealizowania swych pragnień, dobrowolnie utrudnia sobie osiągnięcie tego celu! A doświadczenia i poszukiwania świętych? Wydaje się zatem, że ową szczególną specyfikę rodzaju twórczego należy odnieść do każdej ludzkiej działalności, jeśli kształtuje ją żywioł kreacyjny.

## poniedziałek, 30 marca

W VII pieśni *Odysei*, we fragmencie z opisem wspaniałego pałacu króla Feaków, Alkinoosa, Homer podaje m.in. wygląd świeczników, znajdujących się we wnętrzu, gdzie wzdłuż ścian są siedzenia przykryte pięknymi narzutami: „A na dobrze ociosanych cokołach stali młodzieńcy trzymający w rękach pochodnie i przyświecali biesiadnikom przy nocnych ucztach” (przekład prozą Jana Parandowskiego).

W związku z tym szczegółem Margarete Riemschneider pisze w swojej książce: „Młodzieńcy, trzymający w rękach pochodnie, przypominają piękne urartyjskie świeczniki, których trzon uformowany był niekiedy w kształt dziewczęcych figur, niosących na głowie kapitel zdobny w liście... Wprawdzie przedmioty z brązu płynęły podówczas masowo ze wschodniej Anatolii do Grecji i Etrurii, wydaje się jednak, że Homer zna te świeczniki jedynie z opowiadań, których autorzy mają przesadnie bujną fantazję. Zgodnie z naszą wiedzą jest bowiem zupełnie wykluczone, by młodzieńcy trzymali pochodnie w rękach. Dźwigali na głowie czarę lub postumencik z kolcem, na który zakładało się świecę lub pochodnię”.

Zafascynowany tym obrazem świeczników chciałem zadzwonić do Andrzeja Wajdy, przyszło mi jednak do głowy, że podobny pomysł mógłby wykorzystać odpowiednik Andrzeja w *Miazdze*, więc Eryk Wanert, przygotowując dla telewizji spektakl *Prometeusza* Ajschylosa z Konradem Kellerem w roli tytułowej i młodym Łukaszem Halickim jako Hermesem. W kształtach homerowskich świeczników mógłby występować wieloosobowy Chór: młodzi mężczyźni z ciałami spatynowanymi na brąz lub złoto i może nie ze świecami albo pochodniami wbitymi na kolce, lecz z czarami wypełnionymi płonąca oliwą, ten ostatni pomysł podsunął mi Andrzej S., kiedy o tym wszystkim mu opowiadałem. Ponieważ z wielu względów ważna scena (nienapisana) rozmowy telefonicznej Konrada Kellera z Moniką Panek, zakończona (na parę godzin przed ślubem) zerwaniem ma się rozgrywać w studio telewizyjnym, podczas próby generalnej *Prometeusza* – podobny Chór w dalszym tle mógłby nieźle, jak mi się wydaje, współgrać z płaskim dialogiem telefonicznym, Keller-Prometeusz powinien go prowadzić jeszcze nierozcharakteryzowany, więc prawie całkiem nagi i z ciężkimi łańcuchami u rąk i stóp. Halicki-Hermes ze swoim kaduceuszem (nie zgubić wątku tego złotego kaduceusza!) też się powinien w tym momencie znajdować w dekoracji, ponieważ po skończonej rozmowie Keller ma mu powierzyć dość ważne zadanie.

W związku z tym pomysłem Chóru ogarnęły mnie wątpliwości, jaki tekst *Prometeusza* ma być ostatecznie wystawiony! Oryginalny czy w przeróbce Adama Nagórskiego? Do dzisiaj trzymałem się wersji pierwszej. Tylko raz jeden miał być w *Miazdze* wyeksponowany *Prometeusz Ajschylosa* Nagórskiego, napisany prozą i znacznie odbiegający od tekstu oryginału, mianowicie w części II (scena nienapisana), kiedy po powrocie z Filharmonii, z koncertu Haliny Ferens-Czaplickiej, Eryk Wanert u siebie w domu czyta z maszynopisu pierwszą scenę (Prometeusz, Hefajstos, Przemoc i Siła od dawna mam tekst tej sceny) dramatu Nagórskiego, żałując, że ze względów cenzuralnych nie mógł wystawić *Prometeusza* w tej właśnie wersji.

Chór młodzieńców, ucharakteryzowanych na starożytne świeczniki, z płomieniami rozświetlającymi półmrok górskiego pustkowiec oraz skałę, do której przykuty jest nagi Prometeusz, taki Chór lepiej, jak mi się wydaje, pasowałby do unowocześnionej wersji Nagórskiego. Przewidywałem, że oryginalny (okropne tłumaczenie!) tekst Ajschylosa dwukrotnie, nie! trzykrotnie byłby w *Miazdze* cytowany: w scenie, w której Łukasz Halicki po pewnym nieporozumieniu z Beatą Konarską wyskakując nagle z łóżka i własnym kaduceuszem przepowiada przed lustrem jedną kwestię Hermesa; drugi raz, gdy Konrad Keller, rozbudzony w noc przedślubną bólem zęba, rozmyśla o swojej roli; wreszcie po raz trzeci w części III (w ogóle jeszcze nienapisanej, a zarysowanej tylko w notatkach i w pamięci), z okazji próby generalnej w telewizyjnym studio, cytat miałby się w tym wypadku ograniczyć do fragmentu dialogu Prometeusza z Hermesem. Gdybym się zdecydował na wersję

Nagórskiego, musiałbym dopisać brakujący tekst. Ale to drobiazg, ostatecznie. Z realistycznego punktu widzenia ważne są wspomniane już obiekcje Wanerta, ze względów cenzuralnych *Prometeusz Ajschylosa* Adama Nagórskiego absolutnie nie mógłby się znaleźć na scenie lub w telewizji w kwietniu roku 1969. Pojęcia nie mam, jak z tych sprzeczności wybrnąć. Muszę jeszcze o tym pomyśleć. A przede wszystkim sprawdzić, czy jest coś wart tekst owej pierwszej sceny *Prometeusza* Nagórskiego, pisany latem ubiegłego roku, nie zaglądałem do niego od tamtej pory, więc słabo go pamiętam, właściwie prawie wcale.

## Część 1. Przygotowanie

Rzecz ma się dzieć w Warszawie Jabłonie, w sobotę 19 kwietnia 1969 roku oraz w nocy z 19 na 20.

Sceny najważniejsze:

godz. 12:00 – ślub cywilny Konrada Kellera z Moniką Panek w Urzędzie Stanu Cywilnego na Nowym Świecie. Świadkiem pana młodego jest Adam Nagórski, panny młodej – Eryk Wanert

godz. 13:30 – Adam Nagórski podejmuje nowożeńców obiadem u siebie w domu. Oprócz państwa młodych oraz Eryka Wanerta tylko Halina Ferens-Czaplicka i jej młody akompaniator, Aimo Immonen

godz. 17:00 – ślub kościelny u św. Marcina na Piwnej

godz. 18:00 – coctail u rodziców panny młodej

godz. 20:30 – przyjęcie w Jabłonie

## wtorek, 31 marca

Na obiad u Nagórskiego zaproszona jest jeszcze jego matka, Maria Nagórska-Sołtanowa. Zastanowić się natomiast, czy w tym rodzinnym obiedzie może uczestniczyć Aimo Immonen. Raczej nie. Wprawdzie Nagórski, doskonale orientując się w intymnym charakterze związku, jaki łączy jego siostrzenicę z młodym Finem, mógł, żeby jej zrobić przyjemność, zaproponować zaproszenie Immonena, wydaje się wszakże, że w tym wypadku znakomita śpiewaczka sprzeciwiłaby się podobnej propozycji. A może nie? Może względy rodzinno-towarzyskie uległyby w niej pragnieniu, aby przez te parę godzin mieć Aimo blisko, oszczędzając sobie w ten sposób dręczących domysłów, co – korzystając z wolnego czasu młody kochanek – może robić?

Ze szkicu Stanisława Lorenza *Jabłonna* (1961) oraz z przewodnika Kołodziejczyka i Werdy *Okolice Warszawy*:

„**Jabłonna**, wieś w odległości niespełna 20 km od Warszawy, na prawym brzegu Wisły, 5000 mieszkańców.

W XVIII wieku Jabłonna, w poprzednich stuleciach letnia rezydencja biskupów polskich, przeszła w ręce rodziny Poniatowskich. Miejscowość ta związana jest z osobą księcia Józefa Poniatowskiego. Z drugiej połowy XVIII wieku pochodzi pałacyk, wybudowany według planów Dominika Merliniego, twórcy Łazienek. Budowlę, spaloną w sierpniu 1944 roku przez cofające się wojska niemieckie, odbudowano według planów inż. arch. Mieczysława Kuźmy, przywracając jej dawny wygląd. Od 1953 reprezentacyjny Ośrodek Polskiej Akademii Nauk. (Od 1964 w lewym pawilonie, który nosił nazwę Królewskiego, bo tu miał się zatrzymywać Stanisław August w czasie pobytu u swego brata, Prymasa – ekskluzywny Klub Dyplomatów Ministerstwa Spraw Zagranicznych).

Pałacyk położony jest w pięknym i rozległym parku, gdzie w alei głównej wznosi się brama tryumfalna w formie wysmukłego łuku, ozdobiony figurami i z napisem Poniatowskiemu, wystawiona po jego śmierci przez jego siostrę, Marię Teresę Tyszkiewiczową. Po śmierci hr. Tyszkiewiczowej właścicielami Jabłony aż do ostatnich czasów byli Potoccy. Park sosnowy o powierzchni 30 hektarów, z domieszką jaworu, dębu, świerku, klonu, wiązu, modrzewia, grabu (rezerwat przyrody), a na łąkach pojedynczo rosnącej topoli nadwiślańskiej zawiera 200-letnie okazy drzew. Poza pałacykiem godna obejrzenia oranżeria oraz budynki dawnych stajen.

Główne wejście do parku zdobią dwie granitowe kolumny, pochodzące z zamku w Malborku. Na terenie samego osiedla zasługują na uwagę stara karczma klasycystyczna z końca XVIII wieku oraz budynek poczty z początku wieku XIX”.

Natomiast drugi świat obok: wieś, rozciągniętą na przestrzeni paru kilometrów, przecina dość ruchliwa szosa na Gdańsk, na północnym skraju wsi rynek z przystankiem autobusowym, kioskiem Ruchu, restauracją, cukiernią i paroma sklepami spółdzielczymi, pejzaż ukształtowany z ubóstwa i z brzydoty, charakterystycznych dla większości miasteczek i osiedli Mazowsza.

Według projektów pierwszych, zgodnych zresztą z sugestiami matki narzeczonej, prezesowej Zofii Panek, ślub Konrada i Moniki zaplanowany był na 15 maja. Skoro jednak z trzech filmowych scenariuszy, składanych w ostatnich miesiącach przez Eryka Wanerta, żaden nie został skierowany do produkcji i Wanert, nie mając na razie w filmie nic do roboty zaproponował Teatrowi Stołecznemu *Makbeta* we własnej scenografii i reżyserii, z Kellerem w roli tytułowej – Monika najoczywiściej pewna, że otrzyma rolę Lady Makbet, doszła do przekonania, że z wielu racji dowcipniej będzie i zgrabniej, jeżeli już na pierwszej próbie, a nawet przed nią objawi się światu w charakterze ślubnej małżonki Makbeta. Tak więc, zanim projekt Eryka Wanerta został ostatecznie zaakceptowany, zrezygnowano z miesiąca zakochanych, a także z dnia św. Zofii i w przewidywaniu, że próby z *Makbeta* rozpoczną się z końcem kwietnia, wyznaczono ślub na sobotę 19. Uwzględniając charakter

oraz położenie pałacyku w Jabłonie, gdzie wieczorem miało się odbyć wielkie przyjęcie ślubne na paręset osób, natura maja z pewnością lepiej aniżeli kwietnia sprostaby wszystkim propozycjom oraz układom towarzysko-dekoracyjnym, zwłaszcza tym w nocnym plenerze. Jakże to na przykład byłoby zgrabnie i dowcipnie – jeszcze raz posłużmy się ulubionymi określeniami Panny Młodej – gdyby taki oto zesłoroczny komunikat meteorologiczny z 15 maja powtórzył się i w roku obecnym:

„Nad Polską utworzyła się bruzda niskiego ciśnienia. Spowodowała ona dużą skłonność do burz, z których trzy przeszły wczoraj nad Warszawą. W rejonie Starego Miasta, Mariensztatu i na Powiślu obserwowano przy tym grad wielkości dużej fasoli. Wiele burz przeszło nad centralną i południową częścią kraju.

W Warszawie w godzinach rannych i południowych będzie dziś zachmurzenie umiarkowane, a po południu skłonność do burz i opadów pochodzenia burzowego. Temperatura około 22°C. Wiatry słabe o kierunkach zmiennych.

Słońce weszło dziś o godz. 3:42, zajdzie o 19:24. Imieniny obchodzą Zofia i Izidor”.

Wówczas:

krótka, lecz gwałtowna burza, która przeszła nad Warszawą i Jabłonią dopiero późnym wieczorem, a więc podczas weselnego przyjęcia, okazałaby się z wielu względów pożyteczna, odświeżyłaby przede wszystkim powietrze, po południu, a zwłaszcza pod wieczór bardzo parne, zatem towarzyskie wesołości, gry, gesty i miny, także pryncypialne dialogi, zwierzenia, plotki, aluzje, wspomnienia, wieloznaczne nastroje, wszystko rozegrałoby się w odświeżonym powietrzu znowu pięknej nocy majowej, w historycznych salonach pałacyku, ponieważ dzięki pootwieranym oknom mogłoby swobodnie napływać powietrze pachnące młodą zielenią i ziemią, również z parku, zrazu wilgotnym, szeleszczącym rosą oraz kroplami spływającymi ze starych dębów, grabów, wiązów i nadwiślańskich topoli, słowiki, które by przed burzą przycichły, znów podjęłyby swoje kłaskania, mocniej zapachniałyby bzy, księżyc w kiczowatej pełni powróciłby na wypogodzone i gwiazdami przyozdobione niebo, wtedy to właśnie, akurat przed północą, gdy prawie wszyscy goście wylegliby na dwór, zaczęłyby się rozgrywać owe szczególnie dekoracyjne a nieodzowne na wielkim polskim weselu korowody z duchami, oczywiście, gdyby nie lunął przed tym gwałtowny deszcz – rozległy trawnik rozpościerający się w dole, na tyłach pałacyku, niegdyś w ubiegłym stuleciu po prostu sadzawka, nie nasiąkłby jak gąbka wilgotnością, a znów bez połączenia księżycowej poświaty z trawiastą wilgocią, więc bez wzajemnego przeniknięcia się dwóch realnych elementów natury nie powstałyby warunki przyjazne dla elementu cokolwiek fantastycznego, nie wyłoniłby się więc najpewniej z owej topieli kształt nieruchomo i na wznak spoczywającego młodziutkiego żołnierzyka w hełmie, żołnierzyka z twarzą Krzysia Czaplińskiego, głęboka dziupla wielowiekowego dębu nie przemówiłaby nagle głosem Jana Nagórskiego, zmarłego w dramatycznych okolicznościach w Moskwie w roku 1937, wówczas, gdy po zaklęciu wypowiedzianym na tarasie przez samego Adama Nagórskiego:

ancki, ewancki gorzki płas,  
ede lipki, ele mąs,  
yki, byki gramatyki,  
klekaty nos.

ciele mele myć  
gdzie się mamy skryć?  
czy pod słomę, czy pod dach?  
wszędzie jednakowy strach.

więc, gdy na to dziecięce porzekadełko część szczególnie żwawo usposobionych gości rozbiegłaby się po parku, przenikniętym tajemniczymi cieniami i poblaskami, wszyscy bowiem chcieliby gonić wszystkich i wszyscy musieliby uciekać przed wszystkimi, wówczas —



Któż jednak mógł w marcu przewidzieć, jaką będzie druga połowa kwietnia? Kwitnienia bzów nikt się oczywiście, nie spodziewał, lecz młodej wiosny ze wszystkimi jej uroczymi a towarzysko dogodnymi akcesoriami – tego na pewno (albo prawie na pewno) można było oczekiwać. Zatem wydawało się, że ze strony natury nie zagrażają nowej ślubnej dacie szczególniejsze niebezpieczeństwa. I rzeczywiście wraz ze świętami Wielkanocy, więc w pierwszej dekadzie kwietnia, przyszło nagłe ocieplenie, Konrad i Monika z tygodniowego pobytu w Zakopanem, czy, jeśli kto woli, z ostatniej swojej podróży przedślubnej wrócili opaleni i promienni, jak bogowie, w Warszawie też było w miarę ciepło, ludzie szybko i z ulgą rozstawali się z ciężką zimową odzieżą, jeszcze parę dni takiego słońca, wspartego łagodnymi deszczami, a z krzepkiej witalności ziemi, niecierpliwie wezbranej płodnymi sokami, trysnęłaby obfita zieleń. Lecz oto nagle, akurat w połowie miesiąca, na skutek skomplikowanych i nie całkiem jasno przez meteorologów przewidzianych ruchów powietrznych prądów, ufnie się budzącą wiosnę ścięły chłody, gwałtowne zimne wiatry, potem śnieżne zawieje. W ten sposób przyroda złośliwie zakwestionowała obie starannie przemyślane toalety Moniki, zarówno tę, w której miała wystąpić w Urzędzie Stanu Cywilnego, jak i drugą przewidzianą na kościelny ślub u św. Marcina. Ostatecznie wątpliwości Panny Młodej w tej delikatnej materii rozwiął po męsku Pan Młody, zgrabnie się powołując na zasadę kontrastu w sztuce, głoszoną przy wielu okazjach przez Eryka Wanerta. Nikt natomiast wołał nie kwestionować racji, które w swoim czasie skłoniły były prezesową Panek do opowiedzenia się za majową datą ślubu. Zresztą ona sama w przededniu uroczystości, spoglądając na śnieżną kurniawę na dworze, powiedziała wspaniałomyślnie: trudno, stało się!, po czym dodała: zresztą teraz i w maju można się spodziewać wszystkiego najgorszego.

W „Życiu Warszawy” z 19 kwietnia komunikat meteorologiczny zatytułowany *Nowy niż atakuje* doniósł:

„Nadzieje na ocieplenie, które wiązaliśmy z ciepłym frontem nasuwającym się od wschodu – upadły. Front ten zamiast na zachód powędrował na północ i dotarł wczoraj w rejon Finlandii. Nad Polską przeważnie nadal chłodna cyrkulacja północna. Efektem tego była m.in. burza śnieżna nad Krakowem i obfite śniegi w Karkonoszach, gdzie spadło w ciągu dwóch dni prawie pół metra śnieżnego puchu.

Nowe nadzieje na ocieplenie budzi następny niż wędrujący od południa na północ przez Ukrainę. Ma on przynieść ocieplenie już dziś na krańcach południowo-wschodnich, ale z opadami deszczu. Na pozostałym obszarze będzie chmurno, chwilami przejaśnienia i roz pogodzenia oraz przelotne opady śniegu lub deszczu ze śniegiem.

W Warszawie pogoda ma być dziś lepsza od wczorajszej – więcej słońca, ale chwilami zachmurzenie wzrastające. Temperatura do plus 6°C. Wiatry słabe, północno-zachodnie.

Słońce weszło o godz 4:51, zajdzie o godz. 18:41. Imieniny obchodzą Apoloniusz i Bogumiła”.

Lecz złudność nadziei na lepszą pogodę wyjaśniło nazajutrz to samo „Życie Warszawy”, donosząc o kwietniowym nawrocie zimy w sposób zwięzły, lecz jednoznaczny:

„Obfite opady śniegu, a miejscami śnieżyce i zawieje śnieżne wystąpiły w sobotę na wschodzie kraju i w centrum. W Warszawie, Lublinie, Włodawie oraz

wielu innych miejscowościach prawie 10 cm warstwa śniegu i błota poważnie utrudniała ruch kołowy i pieszy. Temperatura spadła w wielu rejonach do około 0°C. Olbrzymie opady śniegu wystąpiły w górach. Na Kasprowym Wierchu notowano 11°C mrozu oraz pokrywę śnieżną grubości 155 cm”.

Tak więc, ze względu na powyższe okoliczności, wątki pewnych sytuacji towarzysko-dekoracyjnych będą się musiały najprawdopodobniej ukształtować nie całkiem po myśli niektórych weselników, już zjazdowi gości, więc owej tak ważnej na wszystkich dużych przyjęciach uwerturze wprowadzającej nieomal równocześnie misternie zinstrumentowaną mnogość tematów-postaci, na razie tylko na moment wyeksponowanych, aby później mogły rozwijać swoje wątki w duetach, triach, kwartetach, a również w partiach chóralnych, więc już owemu momentowi, gdy pomiędzy godziną 20:30 a 21:00 zajeżdżać będą w smugach reflektorów przed pałac w Jabłonnie rozliczne auta i limuzyny i z ich wnętrz, na gęstą zawieję, wirującą przy podmuchach wichury w nieco nierzeczywistym poblasku latarni wyodrębniających z ciemności fronton pałacyku oraz podjazd na podobieństwo trochę niedbale ustawionej dekoracji, wychodzić będą zaproszeni, aby natychmiast w nieskoordynowanym popłochu dopaść wnętrza, jednak też natychmiast ze wszystkich stron oblepieni mokrym śniegiem, a od skrawka ziemi, który będą musieli pieszo przebyć i od kamiennych stopni zagrożeni zdradziecką gołoledzią, więc w ostatecznym efekcie cokolwiek zadyszani i przepłoszeni, niezupewnie pewni swych koafiur i obuwia, o tak! niewątpliwie tym chwilom wieloinstrumentalnej uwertury, w warunkach, jakie zgotowała przewrotna natura, odjęta zostanie twa radosna lekkość, której wszystkim przybyszom aż w nadmiarze użyczyłby ciepły i wschodzącym księżycem rozjaśniony wieczór majowy; nieco później, gdy rozświetlone kryształowymi żyrandolami sale wchłaniać będą weselników i ogarniać ich przyjaznym ciepłem, jasnością i gwarem, a długie stoły, pełne zimnych mięs, ryb, sałatek, sosów, wiosennych nowalijek i przemysłnych zakąsek, sporządzonych w podziemnym królestwie mistrza Kubickiego, użyczą tłumnie się gromadzącym wokół jadła i napojów wspomagających kalorii – skażony w swym kształcie moment towarzyskiej uwertury szybko zostanie zapomniany, więc zanim się w te pożywne sfery czasu przyszłego niedokonanego ufnie zanurzymy, wypada choćby z kronikarskiego obowiązku wspomnieć, że ze względu na wiadome warunki atmosferyczne nie najlepiej chyba wypadnie również i scena od dawna, choć w tajemnicy opracowana przez prezesową Panek, mianowicie powitanie nowożeńców przez rodziców Panny Młodej, powitanie w pałacowym hallu chlebem i solą, złożonymi na srebrnej tacy, specjalnie w tym celu zakupionej w Desie, a sprzedanej przez pewnego arystokratę skoligaconego dość blisko z ostatnimi właścicielami Jabłonny, skomplikowane procesy myślowe doprowadziły eks-ambasadorową w Holandii do decyzji, aby dla wyeksponowania owej starej, ludowej tradycji wybrać nie dom własny, gdy państwo młodzi przybyli zaraz po ślubie w kościele u św. Marcina, lecz pałac w Jabłonnie, należy przypuszczać, że Monika, która nie lubi sytuacji nieprzewidzianych, bowiem w teatrze podobne sceny nie istnieją, a poza tym płatki śniegu będą jej topnieć na czole, rzęsach i policzkach, więc nie będzie szczególnie wzruszona ani zachwycona tą formą powitania, również faktem, że w pustym na razie hallu i ona z mężem, a zwłaszcza jej rodzice, znajdą się pod obstrzałem spojrzeń beczynnych na razie szatniarzy, lecz z drugiej strony Pan Młody z pewnością umiejętnie —

– Moje dzieci... – powie prezesowa, a jeśli nie dosłownie tak, to coś w tym rodzaju.

Na to Monika:

– Och, mamó! naprawdę jesteś wspaniała i wzruszająca, ale pozwól, że zanim się pożywimy, pójdziemy jednak do szatni.

Wówczas Pan Młody do obojga teściów:

Udziałem Waszej Miłości przyjmować  
Naszą powinność. A nasza powinność  
Jest wobec tronu i państwa jak dziecko,

Jak sługa, który, czyniąc to, co obroni  
Waszą Cześć, Waszą Miłość – czyni tylko  
To, co mu każe obowiązek.<sup>20</sup>

Po czym najpewniej sięgnie po kromkę spoczywającą skromnie w cieniu  
rumianego bochenka, poda ją oblubienicy do przełamania i nie jest wykluczone, że,  
chcąc się utrzymać w podjętej konwencji, powie na swoim słynnym szepcie:

Pozostań niewinna  
Poprzez niewiedzę – najdroższe pisklątko,  
Póki czynowi temu nie przykłaśniesz<sup>21</sup>.

Jednak wszystkie te wstępne cienie muszą się drobiazgami wydać wobec  
nieuniknionego zachwiania i zamącenia treści sięgających w wyższe sfery, wydaje  
się bowiem mało prawdopodobnym, aby śnieg i temperatura poniżej zera sprzyjały  
igraszkom i celebracjom w plenerze, stąd i słaba nadzieja na intymniejszą  
współpracę żywych z umarłymi, jakkolwiek pewne subiektywne dyspozycje takiej  
choćby osobowości, jak Adam Nagórski, pozwalają przypuszczać, że gdyby porą  
nieco późniejszą, więc dostatecznie fizycznie i duchowo rozgrzany, znakomity  
pisarz zdecydował się opuścić salony i wejść na pusty i kruchą warstewką śniegu  
pokryty taras, wówczas, wobec zimowego pejzażu niewydarzonej wiosny, cokolwiek  
dygocąc i wsunąwszy wrażliwe dłonie do kieszeni spodni, mógłby, lekko – być może  
– się chwając, złożyć w swojej nie najlepszej niemczyźnie następującą deklarację:

Ja wunderschönen Monat Mai,  
Als alle Knospen sprangen<sup>22</sup>.

a skoro by zaryzykował zejście z tarasu i znalazł się na skraju płaskiego i omszałego basenu  
martwej fontanny, wtedy jej zardzewiały kikut, ulegając natarczywej sferze subiektywnej autora  
*Natchnienia świata* mógłby przemówić, bo dlaczego nie? I wówczas:

**FONTANNA**

Na niektórych frontach walki z siłami wrogimi socjalizmowi...

**NAGÓRSKI**

To pan? Cóż za niespodziewane spotkanie! Przyszedł pan podyskutować?

**FONTANNA**

---

<sup>20</sup> *Udziałem Waszej Miłości (...)* co mu każe obowiązek. – fragm. tekstu dramatu *Makbet* Shakespeare'a w tłum. Krystyny Berwińskiej (wyd. Warszawa 1959). [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Pozostań niewinna (...)* przykłaśniesz – fragm. tekstu dramatu *Makbet* Shakespeare'a w tłum. Krystyny Berwińskiej (wyd. Warszawa 1959). [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *Ja wunderschönen Monat Mai, Als alle Knospen sprangen* (niem.) – jakże piękny jest miesiąc maj, gdy strzelają wszystkie pączki. [przypis edytorski]

...przeciwnik jest łatwy do rozpoznania, jest oczywisty – np. w polityce międzynarodowej. O wiele bardziej skomplikowany jest układ frontów ideologicznych, gdzie przeciwnik żeruje na trudnościach, jakie napotyka budowa socjalizmu i występuje pod postacią reformatora.

Wówczas Nagórski, z tęsknoty ku zwiększonej jasności, odwołałby się, być może, do łaciny. I stwierdziłby:

### **NAGÓRSKI**

*Novare cupio, ergo non sum*<sup>23</sup>.

### **FONTANNA**

Jeśli mówimy o zaangażowaniu, to mamy na myśli między innymi również zaangażowanie na tym froncie walki ideologicznej, na którym jedyną busolą może być więź z partią, poczucie solidarności z jej polityką.

### **NAGÓRSKI**

*Nego, ergo sum*<sup>24</sup>.

Po czym, jeśli by wciąż odczuwał twórczy nadmiar subiektywnych dyspozycji, a ziąb wiosennej nocy nie nazbyt zdąży mu dokuczyć, mógłby zgodnie zresztą z dobrowolnie podjętą grą – zakończyć i niejako podsumować cykl prelekcji o swoich miłościach, zapoczątkowany ubiegłej nocy, gdy w oczekiwaniu na sztuczny sen cofnął się był w odległe wspomnienia. Zatem z tarasu pałacyku księcia Pepi<sup>25</sup>, a wobec nagiego pejzażu w drętwej poświacie księżycowej, mgliście przenikającej spoza niskiego pułapu chmur, przemówić może mniej więcej tak:

– Proszę państwa! Jeśli raz jeszcze pozwalam sobie zabrać państwu kilka chwil cennego czasu, to jedynie dlatego, iż w mojej opowieści, być może przydługiej i nie zawsze dość przejrzystej, zbliżam się, a nawet – można to powiedzieć – osiągam koniec. Czy ostateczny, nie wydaje mi się to szczególnie ważne. A może? Kto wie? Przypnę, że chciałbym żyć długo, a nawet jeszcze dłużej. Więc może właśnie, że żywy i jeszcze, jak się zdaje, na fizyczny kres życia nieskazany w trybie doraźnym, może właśnie, jeśli żywy, sięgnąłem po słowo „koniec”, może ono jest najważniejsze? Ale koniec czego? Koniec miłości ku dziewczynie o dwuznacznym imieniu Nike? Czy koniec kochania w ogóle? Proszę wybaczyć takie nagromadzenie znaków zapytania, myślę, że nie powiem nic nowego, jeśli powiem, że gdyby ludzie szczerze wyrażali swoje myśli, większość ich musiałaby się kończyć znakiem zapytania. Jednak gdybym chciał powtórzyć za szekspirowskim Antoniuszem: „Tylko w uścisku znajdziesz godność życia” – nie musiałbym tego ciężkiego słowa przywoływać. Nie musiałbym? To też nie całkiem odpowiada prawdzie, proszę państwa. I w ogóle w moich prelekcjach oszukiwałam państwa, tak wiele opowiadając o miłościach, iż można by mniemać, że istotnie one stanowią dla mnie „godność życia”. Może się wydam państwu cokolwiek trywialny, muszę jednak stwierdzić, że niestety, a może na szczęście, miłość jest jak mydło, ubywa jej przy używaniu. Chcąc zatem z należnym dla państwa respektem, znaczy – chcąc sprezentować państwu prawdę rzeczywistą, naga, jak cię to potocznie mówi, powinienem był potraktować niektóre szczególnie sekwencje, zwłaszcza te ostatnie związane z osobą o dwuznacznym imieniu Nike, *hic et nunc*<sup>26</sup>, powinienem był te miłosne

---

<sup>23</sup> *Novare cupio, ergo non sum* (łac.) – pragnę odnowienia, więc nie jestem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Nego, ergo sum* (łac.) – Przeczę, więc jestem. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *książę Pepi* – książę Józef Poniatowski (1763–1813), generał, minister wojny i naczelny wódz Wojsk Polskich Księstwa Warszawskiego, marszałek Francji; zginął w czasie kampanii napoleońskiej w bitwie pod Lipskiem. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *hic et nunc* (łac.) – tu i teraz. [przypis edytorski]

parawany odsunąć, żeby nie przysłaniały, raczej nie tyle parawany, proszę państwa, nie najszcześliwiej się wyraziłem, powinienem był tak to państwu sprezentować<sup>27</sup>, jak w pewnym kawałku prozy, który popełniłem, kiedy Nike po raz pierwszy, lecz nie ostatni ode mnie odeszła, tam w tym kawałku prozy mówi Orfeusz: „Więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje...”, zatem, w dążeniu do nagiej prawdy, powinienem był usunąć ten mur, przekroczyć ścianę mego życia, ponieważ dopiero poza nią, dookoła i ponad nią wznoszą się ściany prawdziwe, a ja schroniłem się w cień własnej, aby nie widzieć tamtych, oczywiście! mogłem szukać innej ucieczki, mogłem znaleźć inną ścianę mego życia, urojoną wolność, mogłem, ile mogłem, lecz to, co mogłem, mogłem dobrowolnie, więc dobrowolnie zachorowałem na miłość, żeby nieuleczalnie chorować na wszystkie rzeczywiste i urojone przejawy miłosnej choroby, przywiązany klęczącymi kolanami do podnóża ściany mego życia, aby tamtych ścian nie widzieć, bo tamtymi otoczeni, wszyscy się gdzieś, proszę państwa, skrywamy, czy pod słomę, czy pod dach, a tamte ściany, proszę państwa, rzeczywiste, chociaż wzniesione z elementów irracjonalnych, tabu i demony, sakralne kłamstwa i oszustwa —

Wydaje się, że skomplikowane wątki, eksponowane przez Nagórskiego z niewątpliwym zaangażowaniem, lecz i z widocznym wysiłkiem, powinny się w tym momencie tak zagmatwać, iż mówca, nie znajdując dla nadmiaru treści odpowiedniej formy, a może i wśród nerwowych falowań treści cokolwiek bezradny, poczuje się po prostu zmuszony do zamilknięcia, a wówczas cisza cennego rezerwatu przyrody, jaką usłyszy, powinna go wyrwać litościwie z dręczącego kręgu subiektywnych dyspozycji, skłonić do kilku głębszych wdechów i wydechów oraz do przetarcia chustką lekko spoconego czoła. Byłby zatem, przynajmniej na razie, koniec weselnego intermezza w plenerze, autor *Karolinki* oraz *Ostatniej godziny* najrozsądniej chyba by postąpił, gdyby, nie narażając się dłużej na możliwość ciężkiego przeziębienia, wrócił na salony do społeczności. Tak też najpewniej i uczyni, być może nawet nie pamiętając, lub pamiętając mgliście, że przed kilkoma zaledwie minutami rozmawiał z zardzewiałym kikutem martwej fontanny.

A na salonach, szczególnie w tym największym, spiętym u szczytu kopułą niebiańską z gwiazdami, skąd z okrągłej galeryjki na niebiańskich wysokościach widać za dnia Wisłę luźno i leniwie płynącą u niskiego horyzontu wśród płaskich piasków i wiklin, więc na salonach historycznego pałacyku, w uśmierconą wiosnę-niewiosnę, skoro się ma dalej odbywać ryzykowna penetracja wieloznacznych możliwości czasu przyszłego, Adam Nagórski, na podobieństwo szklanego spodka, służącego niegdyś jego starzającemu się ojcu do przywoływania duchów, nagle i mediumicznie w podobną grę wprowadzony, przywoła prawdopodobnie cień zapomnianego poety baroku i z myślą o tytule przyszłej powieści, bo zafascynowany magią słów, nie odmówi sobie satysfakcji:

I my, co ziemię małą, małe morze mamy,  
A myślą górnołotną nieba się tykamy,  
Cień niestetyż i marę zostawim po sobie.  
Cień z nami w grób, cień wiecznie stróżem w naszym grobie.

Ale próżno wspominać cień naszego wieku  
I igrzysko niestałej fortuny człowieka:  
Ten, który z cienia powstał, świat nieogarniony,  
Będzie z nami w cień drugi znowu obrócony —<sup>28</sup>

<sup>27</sup> *sprezentować* – zaprezentować, przedstawić. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *I my, co ziemię małą, małe morze mamy (...)* z *nami w cień drugi znowu obrócony* — – fragm. wiersza Daniela Naborowskiego *Cień przypisany* ks. JM Januszowi Radziwiłłowi, *podczaszemu naonczas W[ielkiego] Ks[ięstwa] L[itewskiego]. A[nno] 1607*. [przypis edytorski]

więc z należnym respektem oczekując, iż z doświadczeń znakomitego pisarza, z doświadczeń koniecznych związanych z młodziutką osobą o dwuznacznym imieniu Nike, wyniknie kiedyś, być może, romans zatytułowany *Cień drugi*, skoro zatem chwiejne wkraczanie w sfery cienia drugiego ma się z pleneru przenieść na salony – może się na salonach zdarzyć, że wśród ponad rzeczywistą miarę rozlicznych scen oraz sytuacji odbędą się i następujące:

prezes Polskiego Instytutu Prasowego (PIP), Leopold Panek, już po kilku kieliszkach i głodny, bo mimo paru lat ambasadorowania i uczestniczenia w minionym dwudziestopięcioleciu w wielu przyjęciach oficjalnych nigdy nie zdołał przywyknąć do jedzenia na stojąco, a poza tym trochę zagubiony w tłumie ludzi, spośród których mało kogo zna osobiście bliżej, więc głodny i z podgęszczonym szmerkiem w skroniach przystąpi do Nagórskiego powracającego akurat z tarasu, wydaje się bowiem rzeczą mało prawdopodobną, aby u siebie w domu, na coctailu urządzonym zgodnie z ustaloną chronologią uroczystości zaraz po ślubie u św. Marcina, podjął, jako gospodarz, podobną rozmowę, mógł ją sobie co najwyżej wyobrazić. A teraz powie:

– Wie pan, panie Nagórski, że my się znamy bardzo dawno, szmat czasu.

Nagórski, ponieważ zostanie tą kwestią zaskoczony, strzepnie z rękawa marynarki resztki skroplonego śniegu i odpowie raczej z dystansem:

– Czy tak?

– Pan, oczywiście, nie pamięta. To był rok trzydziesty, może trzydziesty pierwszy.

– Rzeczywiście dawno. Bardzo mi przykro, panie prezesie, moja pamięć nie jest najlepsza.

– Pan mi wtedy położył rękę na ramieniu.

– Ja?

– Obaj mieliśmy po dwadzieścia lat i bujne włosy, ale pan był ten lepszy i jak mi pan położył rękę na ramieniu, to właśnie dlatego, że się pan uważał za lepszego, chciał mi pan dać do zrozumienia, że dziewczyna, z którą tańczyłem, nie jest dla mnie odpowiednią partnerką.

– Czy pan się przypadkiem nie myli, panie prezesie?

– Ja się na pewno nie mylę, położył mi pan rękę na ramieniu, podszedł pan do nas, kiedy tańczyliśmy, i położył mi pan rękę na ramieniu.

– Gdzie to było?

– Nie pamięta pan, panie Nagórski?

– Niestety.

– Pan miał rację, bo to faktycznie była partnerka nie dla mnie. Pan miał rację, że pan mi położył rękę na ramieniu.

– Jeśli istotnie tak było, jak pan mówi, panie prezesie, chyba racji nie miałem. To nie było zbyt uprzejme.

– Panie Nagórski, co się będziemy po tylu latach bawić w uprzejmości? Starczy, że panu mówię, że pan miał rację. A wie pan, czemu pan miał rację?

– Słucham.

– Dziewczyna, z którą tańczyłem, nazywała się panna Wanert.

– Alicja.

– A ja byłem w czarnym pożyczonym garniturze i rękawy miałem za krótkie i koszulę przynajmniej o dwa numery na dużą.

– To było w towarzystwie?

– Pan był we fraku, wszyscy panowie studenci byli we frakach albo smokingach. Bal Politechniki.

– Rzeczywiście czasy prehistoryczne.

– Dla mnie tylko historyczne, a ja historię dobrze pamiętam.

– Cóż, jeśli po tylu latach znaczy cokolwiek przeproszenie...

– Teraz pan sobie przypomniał, że mi pan położył rękę na ramieniu?

– Niestety, bardzo mi przykro, ale nie.

– Widzi pan, a ja pamiętam! Bo to pan położył mi rękę na ramieniu, a nie ja panu.  
– Słusznie. Ale, jeśli jak pan mówi rzeczywiście popełniłem ten gest niezbyt uprzejmy i położyłem pana rękę na ramieniu, może usprawiedliwi mnie trochę fakt, że Alicja Wanert była wówczas moją narzeczoną.

– A, i pan był zazdrosny o mnie, panie Nagórski!

– Wkrótce potem Alicja została moją żoną. Naprawdę, bardzo dawne czasy.

– No, widzi pan, panie Nagórski, jak się to wszystko jedno z drugim albo łączy albo nie łączy. Pan mi położył rękę na ramieniu, pan był we fraku, pan się ożenił z panną Wanert...

– Dość szybko się rozeszliśmy.

– A ja u jej ojca, wielkiego przemysłowca, pana Karola Wanerta...

– Karol Wanert był stryjem Alicji.

– Wszystko jedno. A ja u jej stryja, wielkiego przemysłowca, pana Karola Wanerta, głupiej posady za trzysta z czymś złotych nie mogłem dostać, choć miałem dyplom magistra chemii w kieszeni i dziury w butach. Pan miał rację, panie Nagórski, że mi pan położył rękę na ramię.

– Jeśli pan tak uważa.

– To nie ja uważam, to jest obiektywna prawda historyczna.

– Jeśli tak, to muszę stwierdzić, panie prezesie, że ma pan teraz tę wyższość nade mną sprzed trzydziestu kilku lat, że gdy pan kładzie obecnie ludziom rękę na ramieniu, są to gesty w duchu jak najbardziej demokratycznym.

I chyba po tej kwestii znajdzie sposobność, aby rozejrzawszy się po sali powiedzieć:

– Przepraszam, panie prezesie, ale właśnie widzę, że pani Frens-Czaplicka przywołuje mnie niecierpliwie.

– Ta słynna śpiewaczka?

– Właśnie. Zresztą dość bliska moja kuzynka.

– Ba! My teraz z panem też jesteśmy poniekąd rodziną. Nie wiedział pan, panie Nagórski, kogo pan poklepywał.

– Niestety, z klepaniem zwykle tak bywa, panie prezesie.

Halina Frens-Czaplicka i Adam Nagórski.

– Jestem.

– Nie gniewaj się...

– Ależ skąd! przeciwnie, jestem ci wdzięczny, marzyłem, żeby zakończyć tamtą rozmowę.

– Polityka, jak zawsze u was?

– Gorzej, wspomnienia.

– Przykre?

– Głupie.

– Więc przykre.

– Prawdziwe. Jak się bawisz?

– Wiesz, przed przyjazdem tutaj byłem u mamy pożegnać się.

– Dawno nie byłem u twojej mamy, nie jestem dobrym bratem. Jak się czuje?

– Fizycznie chyba nieźle. Ale odniosłam wrażenie, że ona w ogóle nie pragnie ludzi widywać, nawet najbliższych.

– Myślisz?

– Nie wiem, może się mylę, tyle lat się nie widziałyśmy. Przywiozłam jej adapter i kilka moich najlepszych nagrań, leżały tam, gdzie je położyłam, adapter też nienaruszony. A kiedyś, pamiętam, bardzo lubiła muzykę. I mój śpiew też lubiła. Jedyne człowiek, o którym mówi z ożywieniem, to profesor Wnuk.

– To rozumiałe, Halinko. Ostatecznie Wnuk, żeby zebrać i wydać twórczość Krzysztofa poświęcił wszystkie swoje najlepsze umiejętności, nawet coś więcej, bo serce, a serce uczonego, wiesz, co to jest serce profesora?

– Ja to rozumiem, kochany, ale trochę było mi przykro. Dla mamy czas się zatrzymał ze śmiercią Krzysia. Dla niej Krzyś jest wciąż młodziutkim chłopcem.

– Dziwisz się? Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się w Rzymie w czterdziestym ósmym roku, opowiadałem ci dużo o Krzysztofie i jak bardzo go w czasie okupacji pokochałem.

– Pamiętam.

– Myślę, że on dla mnie też miał wiele najlepszych uczuć. Chyba też mnie po swojemu kochał. I popatrz, nigdy nie byłem na Powązkach na jego grobie. I żadnego wspomnienia nie napisałem i nie napiszę.

– Czemu to mówisz?

– Powiedziałaś, że dla twojej mamy pozostał chłopcem.

– Ja też nie mogę sobie wyobrazić, że gdyby Krzyś żył, miałby teraz prawie pięćdziesiąt lat.

– A widzisz! O której nasz samolot?

– Wcześniej. Ósma z minutami.

– Szkoda, że cię tu mieliśmy tak mało.

– Muszę, we wtorek śpiewam w Hamburgu.

– A potem?

– Oslo i Helsinki.

– I dalej?

– Na razie nie ma dalej. Nie wiem, może się zabiorę do pisania pamiętników.

– Już ci to mówiłem parę razy, Halinko, ale wczoraj wieczorem naprawdę śpiewałaś cudownie.

Chyba jeszcze lepiej, a może po prostu bardziej wzruszająco, niż kiedy cię słyszałem w Rzymie. Nigdy nie zapomnę twoich *Pieśni wędrowca*, zwłaszcza tej czwartej o niebieskich oczach.

– – – – – po wtorkowym recitalu 15 kwietnia, w piątek drugi występ Haliny Ferens-Czaplickiej. W pierwszej części koncertu symfonia g-moll, 183 Mozarta, Halina śpiewa *Lament Ariadny* Monteverdiego oraz arię z drugiego aktu *Orfeusza* Glucka<sup>29</sup>, w drugiej części: *Pieśni wędrowca* Mahlera oraz druga suita z *Daphnis i Chloe* Ravela. Tłumy, owacje, kamery telewizyjne, błyski fleszów, kwiaty i ów szczególny nastrój (na tym koncercie należy być: jak wygląda słynna na całym świecie rodaczka, tu znana tylko z nagrań?; jaką będzie miała toaletę?; bardzo już stara?; pewnie się kończy i dlatego zdecydowała się zaśpiewać w kraju; och, znałem ją jeszcze, kiedy zaczynała śpiewać, Didur wrażał ją za najlepszą ze swoich uczennic, widziałem ją w '39. roku w *Carmen*, już wtedy była fantastyczna; doskonale znałem jej ojca, Olgierda, to był wielki internista, ale nigdy nie przypuszczałem, że z tej małej, chuderlawej Halinki wyrośnie taka duża Ferens; widziałas tego jej akompaniatora, śliczny chłopak, mógłby być jej synem, nie?), jaki zazwyczaj panuje w Filharmonii na gościnnych występach największych sław światowych. Na bis Halina Ferens śpiewa Bacha *Komm süsser Tod* i Händla *Begrüßung*.

Nagórski siedział z matką w dziewiątym rzędzie. W odpowiednim momencie usiłował wytłumaczyć jej, że podobny wieczór może się okazać nazbyt męczący, zwłaszcza wobec jutrzejszych obowiązków towarzyskich, ale starsza pani (rocznik 1884) postawiła jak zwykle na swoim i sprawiła, że sławny syn przyjechał po nią na Krakowskie Przedmieście, wsparł męskim ramieniem, gdy trzeba się było wspiąć przy wejściu po marmurowych schodach, troskliwie w szatni wyłuskał z futra i nawet z pewnym rozrzewnieniem się uśmiechnął, gdy wyprostowana, z dostojnie siwą głową, drobna i wzruszająco krucha w wieczorowej sukni z czarnego aksamitu i z zalotnie staroświecką aksamitką na szyi kroczyła przez rozległy hall prawie dziewczęcymi kroczkami u jego boku, krokami chyba nie nazbyt odmiennymi od tych, którymi niegdyś, bardzo, bardzo niegdyś obdarowywała była Ofelię, Rozalindę i Norę, i w pewnym momencie w jej oczach, już na co dzień wyblakłych i zmatowiałych, zapalił się naraz ów ciepły, wibrujący blask, który w pradawnych czasach przysparzał

---

<sup>29</sup> Gluck, Christoph Willibald Ritter von (1714–1787) – niem. kompozytor okresu klasycyzmu; opera *Orfeusz i Eurydyka* (*Orfeo ed Euridice*) powstała w 1762 r. [przypis edytorski]

jej, słynnej Kellerce, ulubienicy Warszawy, tyle hołdów i uwielbień. I ten sam blask rozjaśnił jej pomarszczoną, drobną jak piątka twarz, gdy Konrad Keller, oczywiście w towarzystwie Moniki, prezentując podobny, tyle że autentyczny gatunek oczu, pochylił się, aby wbrew swym zwykłym obyczajom ucałować rękę ciotki, jeszcze mimo pewnych zniekształceń artretycznych przechowującą kształt dawnej urody.

Nagórskiemu źle się słuchało, w ostatnich czasach odwykł od koncertów publicznych. Za to ze względu na wyjątkowość wielu elementów, które złożyły się na ten wieczór, nie mógł się nie poddać wspomnieniom, luźno i leniwie kojarzonym. Lecz tylko raz, kiedy w drugiej części koncertu Halina zaczęła śpiewać czwartą z *Pieśni wędrowca*, ową skargę miłosną: „Błękitne oczy mojej najdroższej, które wysłały mnie w daleki świat” (*Die zwei blauen Augen von meinem Schatz, Die haben mich in die weite Welt geschickt*), więc tylko raz jeden podczas tego śpiewu, gdy głos Haliny w sposób szczególnie przejmujący wzniósł się w szepcie ponad przyciszony akompaniament orkiestry, wyniknęło w nim wspomnienie Nike, prawie bezosobowe, bo bezkształtne i bezgłośnie, niezwiązane z jakąkolwiek sytuacją, musiał się przez moment skupić, aby spośród minionych nocy i dni, głosem Haliny jak smugą światła w ciemnościach prowadzony, wyszukać cielesną formę dla zjawy; szukał jej po omacku, wciąż przy miłosnej skardze Haliny-wędrowca, potykając się o niewykończone, zbyt słabo lub tylko fragmentarycznie wywołane strzępy, cień uśmiechu, ramion, cień przymkniętych powiek, cień szeptu, cień oddechu, echo zanikające, aż wreszcie, gdy skuszony ciekawością sprawdzenia mechanizmów własnej pamięci-niepamięci zdołał uśmierzyć ów chaos, Nike ukazała mu się taką, jaką zapamiętał, kiedy się przed paroma zaledwie tygodniami, w drugi dzień Wielkanocy, rozstali w Kazimierzu, w gniewie, który w oboju wybuchnął gwałtownie i brutalnie, lecz narastał był powoli, żywiąc się nimi jak ukryty pasożyt, więc ujrzał naraz maskę zniekształconą złością i nienawiścią (kiedy z końcem roku ubiegłego Nike zniknęła nagle na kilka tygodni, napisał fragment pracy, który później głęboko ukrył na spodzie biurka:

„Mówi Orfeusz: więc stojąc przed murem, który nie istnieje dla świata, ponieważ mnie przydzielony, we mnie tylko i bez trzech sprawdzalnych wymiarów istnieje, stojąc zatem przed murem nierzeczywistym, lecz dla mnie jak najbardziej prawdziwym, stojąc, a raczej klęcząc, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze trenu dla Eurydyki, klęcząc zatem liturgicznie u podnóża mego muru, ściany mego życia, wiem, że kiedy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza spełzną z niej, z tej ściany mego życia, ostatnie poblaski zachodzącego słońca – przyjdą Furie, zwane za czasów mego dzieciństwa Bachantkami lub Menadami, przyjdą i rozszarpia mnie. Nie wiem dokładnie, kiedy się to stanie, za sekundę, godzinę, miesiąc czy rok. Czas, jaki mi pozostał, nie należy do mnie. Korzystam z niego, lecz nad nim nie panuję. Wiem tylko tyle, że w pewnym, niewiadomym momencie, gdy poprzedzone powolnym stygnięciem powietrza ostatnie poblaski zachodzącego słońca spełzną z muru, u którego niewidzialnego podnóża klęczę, aby przydać obrzędowego charakteru tej mojej skardze, skardze mego trenu dla Eurydyki, przyjdą Furie i rozszarpia mnie. To się stanie gdziekolwiek, może wśród głuchych drzew nadwiślańskiego parku, może w zaułku ciemnej staromiejskiej uliczki, może dla odmiany w oślepiających reflektorach obcego krajobrazu, a najpewniej w scenerii bardzo zwykłej, więc po prostu w moim pokoju teraz pustym, niegdyś pełnym Eurydyki. Również obojętne, w jakich kształtach Furie się wyłonią, gdy chłód i mrok nastaną, mogą, na przykład, spaść bezszelestnie z nieba w kombinezonach komandosów albo otoczyć mnie nagle półnagimi ciałami chłopów trackich, pijanych winem i dmących w podwójne piszczałki, może to być również specjalny pluton mimów w cielistych trykotach, z twarzami białymi, jak gipsowe maski, obojętne czas i miejsce egzekucji, obojętny kształt Furii, wiem bowiem, że jakkolwiek czas mi pozostał, nigdy nie

zdołam wypowiedzieć rzeczy najważniejszej, mojej miłości do ciebie, Eurydyko!”)  
– pomyślał: te gusła, te czasy już się skończyły i nigdy nie powrócą, już mnie nie ranią i nie niepokoją, już nie jestem chory, lecz chyba i zdrowy nie jestem – – – – –

Nagórski po chwili:

– A swoją drogą o pamiętnikach powinnaś rzeczywiście pomyśleć serio.

– Też tak sądzisz?

– To egoizm przemawia przeze mnie, Halinko. Im się staję starszy, tym mniej mnie książek pociąga, ale pamiętniki zawsze. Chciałbym przeczytać twoje.

– Ja nie o tym myślałam. Och nie, nic nie mów, to niepotrzebne. Nie jestem szczególnie mądra, ale zawsze miałam i nadal mam bardzo dobry słuch. Siebie też słyszę. Słyszę przede wszystkim wysiłek...

– Twoi słuchacze go nie słyszą.

– Ale ja go słyszę, Adam. To wystarczy. Nie widziałeś Aima?

– Poszukać go?

– Chciałabym już wrócić.

– Zawołam go zaraz.

– Nie, po co? Niech się bawi.

– O ile się nie myślę, młodzież okupowała bar w piwnicy.

I nie jest wykluczone, że przyjdzie mu w tym momencie myśl całkiem prawie niedorzeczna, że któryś z młodych przywiózł ze sobą Nike. Więc poblednie, lekkie pulsowanie serca poczuje w krtani i chociaż będzie wiedział, że niezupełnie może być pewien swego głosu, powie:

– Jeżeli byś miała ochotę, możemy zejść razem. To może być zabawne.

Na to Halina Ferens, jakby się znalazła na estradzie wobec szczelnie wypełnionej widowni, lekkim i trochę niecierpliwym gestem odrzuci głowę do tyłu i w tej postawie zastygnie, ponieważ głęboki ukłon, jaki dopełniał zazwyczaj ten inicjujący gest, tu, w rozmowie intymnej, nie znajdzie zastosowania, pozostanie zatem w tej pozycji trochę nienaturalnej dzięki niedokończeniu i powie o wiele za głośno, jakby w osobie znakomitego pisarza miała przed sobą nie kuzyna, lecz rozległą salę koncertową:

– Zabawne? Myślisz? Obawiam się, że tylko dla nich.

A po chwili już zwyczajnie, chyba nawet z akcentem serdeczności:

– Nie kochany, co cesarskie, zostawmy cesarzowi, a co boskie Bogu.

Natomiast Nagórski, wciąż niedorzeczną nadzieją usztywniony, więc trochę bez sensu:

– Cóż my wiemy o bogach?

– Twój Leonardo z *Ostatniej godziny*...

– On też nie wiedział, może nawet mniej w tej materii wiedział niż inni. Tak już zdaje się jest, Halinko, że im więcej wie człowiek o życiu, tym mniej w nim rozeznania w miłości, czy, jak ładnie powiedziałaś, w sprawach boskich. Natura jest przewrotna i lubi się manifestować poprzez gwałtowne skrajności, lecz w istocie natura zawsze dąży do równowagi i gdy bywa dla człowieka szkodra aż w nadmiarze, bogacąc jego umysł i świadomość, bierze równocześnie zawistny, a może po prostu roztropny odwet, mącąc intymną kondycję wybrańca służebnym rozkładem, ba! nawet zawstydzającym niewolnictwem.

– Nie wiem, Adam...

– Ja też wielu rzeczy nie wiem.

– Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

– Że mówię jak zakochany?

Spadkobierczyni międzynarodowej glorii, uświęconej nazwiskami Patti, Melby, Sembrich-Kochańskiej i Callas, z pewnością roześmieje się w tym momencie bardzo głośno i bardzo szczerze, jakby to była dziesiąta rano i w jej paryskim mieszkaniu na *avenue Marceau*, Aimo Immonen, w zgniózliozelonym golfie i w dzinsach z czarnego sztruksu, ale bosy siedział przy fortepianie, a ona

lekkomyślną i przewiewną, poranną tkaniną owinięta od ramiom aż po stopy, z głową lekko do tyłu przechyloną, lecz spod czujnie wpełzniętych powiek (trochę obrzmiałych) dostrzegając nagość tych młodzieńczych stóp, których kształt oraz gatunek skóry poznały na pamięć jej wargi, wyrzuciła z nie dość jeszcze po nocy rozluźnionego gardła pierwszą partię przedwiczonych tonów — — — — —

W głębi sali z niebiańską kopułą z gniazdami u szczytu, przy stole z trunkami, Stefan Otocki, Beata Konarska oraz Łukasz Halicki.

Stefan Otocki (ogromny, zwałisty, z twarzą tapira):

– Dzieci, ona ma siły kosmonauty, ta Ferens!

Beata Konarska (drobna, z bardzo jasnymi włosami opadającymi na ramiona, podłużne, zielonkawe oczy):

– Myśli pan, dyrektorze, że poleci na Księżyc?

Stefan Otocki:

– Daj wam, boże, takie siły na stare lata, moje dziatki.

Łukasz Halicki (wysoki, wysportowany brunet):

– Nie damy rady, panie dyrektorze, my jesteśmy sfrustrowani, szybko wysiadziemy, sumienia mamy wilgotne.

Beata:

– Buty mnie bołą.

Łukasz:

– Pan rozumie, panie dyrektorze, nic się nie dzieje spontanicznie i przyszłość nie rodzi się automatycznie.

Beata:

– A mnie życie obrzydło, słońce mi obrzydło, czuję się, jak w beczce nabitej gwoździami.

Otocki:

– To wszystko głupstwa, moje dziatki! Nie martwcie się, ja z was zrobię wielkich aktorów.

Łukasz:

– A co by pan zrobił, panie dyrektorze, gdyby pan miał milion dolarów?

– Milion?

– Też nie wiem, może bym muchy głodził między oknami? — — — — —

Leopold Panek:

skoro prezes Panek, opuszczony przez Adama Nagórskiego, zostanie sam i w bliskim sąsiedztwie tróki: Otocki, Beata Konarska oraz Łukasz Halicki, jeszcze się wzmocni paroma koniakami (a chyba to uczyni), wówczas w blasku kryształowych żyrandoli, w tłumie i w gwarze, naraz się znajdzie – być może – w małej i już pustej o tej późnej wieczornej godzinie salce taniej mleczarni przy placu Teatralnym (teraz tym miejscu stoi nowoczesny blok, w którym mieszka Konrad Keller), za oknem śnieg i mróz, siedzą przy stoliku na wprost siebie, on w cienkim paletku z Kercelaka, duże i zsiniałe z zimna dłonie chowając pod marmurowym blatem stolika, ona w brajtszwancach z szerokim kołnierzem skunksowym, obca i daleka, prawie nieosiągalna w pochmurnej, gniewnej urodzie, milczą oboje nad szklankami stygnącej herbaty, a w obrotowe drzwi wejściowe wplątuje się akurat człowieczek w podniszczonej bekieszy, o twarzy smutnego gryzonia wyłaniającej się mizernie spod wymiętego kapelusika, jest tak pijany, iż ledwie się na nogach trzyma i skoro raz wprawił w ruch owe zdradzieckie drzwi wejściowe, już się nie może z ich coraz szybszego obrotu wyślizgnąć, nie może ani do środka wejść, ani na ulicę wyjść, i tak dobrych kilka minut kołuje tym zamknięciu ogłupiały, z przerażeniem w szklistych oczach, drobnymi rączkami wykonując niedokończone gesty, aż wreszcie, prawdopodobnie przypadkiem, silniejsze zachwianie się wyrzuca go na ulicę, za zaśnieżony i pusty trotuar, i tam, jakby się ostatecznie poddał niewidzialnej sile, jeszcze chwilę obraca się wokół własnej osi drobnymi kroczkami, mówi półgłosem: panno Zosiu, chce pani zostać moją żoną? i po chwili milczenia Zofia mówi z odległej przeszłości, przy stoliku mleczarni

„Nadświdrzańskiej” z obrotowymi drzwiami, odgradzającymi to miejsce, tutaj, od śnieżycy wirującej na dworze, na placu Teatralnym, mówi: pan, panie Leopoldzie, chce mnie poślubić? i mówi: będę szczęśliwy, panno Zofio, a ona: dobrze, ja się zgadzam, ale jeżeli kiedykolwiek wypomni mi pan, nigdy – przerywa żarliwie – przysięgam, że nigdy, lecz ona, jakby go nie słyszała i tylko w swoje wnętrze, wypełnione hrabiowskim pomiotem była wsłuchana: ja panu chcę zaufać, ale gdyby mi pan to powiedział za rok, czy za trzydzieści lat, odejdę, to będzie nasze dziecko, panno Zosiu – mówi i może się zdarzyć, że gdy to mówi zacierając pod stolikiem zmarznięte dłonie, przechodzący obok Stefan Raszewski, kto wie, czy nie w mundurze generalskim, aby w okolicznościach weselnej zabawy raczej przeszłość bojową i patriotyczną ofiarność przypomnieć zebrany, na drugi niejako plan usuwając swe obecne funkcje sekretarza KC, więc w mundurze generalskim (choć nie jest to całkiem pewne), korzystnie podkreślającym jego mocną, męską sylwetkę, zatrzyma się i przyjacielsko klepnie go po plecach.

– I co, stary! – powie – kiedyśmy siedzieli w lipskich bagnach, nie wyobrażałaś sobie, że twoja córka będzie miała takie wesele? szkoda tylko, że ci takiego zięcia wyszukała.

## wtorek, 31 marca

Ponieważ już po ukończeniu *Przygotowania*, w trakcie pracy nad częścią II wyłoniła się potrzeba stworzenia kilku postaci związanych zarówno ze Stefanem Raszewskim, jak i z Leopoldem Pankiem – nie zapomnieć, żeby te osoby wystąpiły w części I, trudno przypuścić, aby Panek nie zaprosił na przyjęcie weselne najbliższych przyjaciół, nawet uwzględniając, że pani Zofia nie obdarza tych ludzi żywszą sympatią.

Więc: Antoni Formiński – prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Józef Halicki – sekretarz KC, ojciec Łukasza, Kazimierz Jaśko – redaktor „Panoramy Tygodnia”, Wojciech Konopka – pisarz, Marian Krystek – sekretarz KW w Warszawie oraz pułkownik Władysław Pasięka z MSW.

Niestety, nie widząc tych ludzi dość wyraźnie, znając jedynie wykonywane przez nich funkcje, a mało co o nich wiedząc od strony ludzkiej – pojęcia na razie nie mam, w którym miejscu i w jaki sposób wprowadzić ich na weselne przyjęcie. Mgła na mózgu, żadnego pomysłu. Wydaje mi się, że poza Formińskim, który z racji swego stanowiska zna większość zaproszonych gości, pozostali (a Wojciech Konopka?) powinni się trzymać raczej razem. Stefan Raszewski z wielu względów, zarówno osobistych (bo zajęty Panną Młodą), jak politycznych z pewnością nie będzie swym wiernym przyjaciołom poświęcać nazbyt wiele czasu. Co najwyżej jedną wódkę z nimi wypije. Formiński i Krystek, a szczególnie Jaśko znani są ze swoich brutalnych wystąpień zeszłorocznych w czasie wypadków marcowych i po nich. Zdają sobie sprawę, że większość zebranych odnosi się do nich w najlepszym razie z rezerwą. Podejrzewam, że Wojciech Konopka, zdając sobie z tego stanu rzeczy sprawę, w ogóle w Jabłonie się nie zjawi. Możliwość spotkania obu Halickich: ojca i syna? A dyrektor Otockiego? W zasadzie Otockiego lubi podobne kontakty, nawet ich szuka, lecz w obecnym układzie towarzyskim raczej wolałby się nie afiszować z ludźmi tak jednoznacznie politycznie. Stefan Raszewski to co innego, Raszewski jest sekretarzem KC. Trudno, nic w tej chwili nie wymyślę.

Kłopoty, jakie sprawiają postaci epizodyczne pozostające w tle, bywają nieraz większe od trudności związanych z osobami pierwszoplanowymi, te drugie bowiem działając – określają się i kształtują w działaniu. Przypomina mi się znakomite powiedzenie naszego dawnego znajomego właściciela mydlarni na Bielanach, Bieńka, który, gdy w czasie Powstania trudno było nieraz powziąć jakąś decyzję, mawiał: „Trzeba wyjść i zobaczyć, czy jest sytuacja, czy nie ma, a kiedy nie ma sytuacji, trzeba wyjść sytuacji naprzeciw”. Zauważyłem niejednokrotnie, że nawet najlepszy dialog, jeżeli nie jest związany z określoną sytuacją i z sytuacji nie wynika staje się sztuczny, zaprogramowany.

Więc zapamiętać, aby dla całej szóstki przyjaciół Raszewskiego i Panka (dla niektórych może z osobna) wymyślić konkretne sytuacje. Choćby uboczne, peryferyjne, lecz sytuacje. Wykorzystać postaci już ukształtowane, gdy wiadomo, kto jest kto. W zetknięciu z taką postacią, z jej wypowiedziami i odruchami postać słabo jeszcze zarysowana musi z konieczności ujawnić własne cechy charakteru. Tylko ludzie o dużej samoświadomości potrafią rozszyfrowywać i rozumieć innych. Stąd pozorny paradoks: introwertycy w sposób bardziej czujny i chłonny aniżeli typy ekstrawertyków otwarci są na ludzi i świat.

Mimo nie najlepszego samopoczucia (dla odmiany znów, po paru dniach śniegów i zimna, wspaniała pogoda słoneczna, a temperatura podniosła się do 12°C) cały ranek, od dziesiątej do drugiej, nad maszynopisem *Miazgi*, z wyobraźnią raczej leniwą i ospałą, zresztą na razie działającą przy samym brzegu, więc dość powierzchownie wciągnięty w nurt fikcji, co sprawia, że bez żywszego zadowolenia natomiast solidnie, jak mi się wydaje, wykonuję strona po stronie to, co jest od paru tygodni zaplanowane, świadomie sprowadzając pracę do drobnych poprawek stylistycznych oraz wynotowywania w *Dzienniku* stron i sytuacji brakujących, a także momentów notorycznie wątpliwych. Skoro gnuśna wyobraźnia drzemie, trudno przewidzieć, co by zdziałała w stanie

ożywionej pobudliwości. Nastroje skrajne nie towarzyszą zazwyczaj sprawności rzemieślniczej. Do tekstu, który na nowo odczytuję po kilku miesiącach, kiedy do niego nie zaglądałem, nie mam właściwie żadnego stosunku: ani mi się podoba ani nie podoba.

## pod wieczór

Jednak zbyt zaabsorbowany myśleniem o *Miazdze*, żebym się mógł zdecydować na którąś z współczesnych, czekających na przeczytanie książek. Ostatecznie sięgnąłem po *Iliadę*, którą chyba po raz pierwszy od czasów uniwersyteckich przeglądałem przed paroma dniami w związku z lekturą książki Margarete Riemschneider.

W pieśni XXI wspinały opis rzezi, gdy Achilles, mszcząc śmierć Patroklesa, pustoszy szeregi Trojan. I przejmująca śmierć syna Priama, młodego Likaona. Nie dość rozwścieczonemu Achillesowi, że w okrutny sposób morduje bezbronnego i błagającego o litość młodzieńca, miecz topiąc w jego brzuchu, jeszcze do trupa wrzuconego w rzekę woła:

Leż pomiędzy rybami w wilgotnej krainie!  
Niech piją krew bezpiecznie, która z rany płynie.  
Nie złoży cię na marach matka rozkwilona  
Skamander do morskiego zanieś cię łona,  
Gdzie z czarnych wyskoczywszy wałów potwór wodny,  
Twym ciałem, Likaonie, nasyci brzuch głodny.

Wszystko, co w oparciu o greckie mity stworzyła sztuka późniejszych wieków, wydaje się mdłe i pozorne w porównaniu z gwałtownymi namiętnościami, krwawością i okrucieństwem starożytności. Może jeden Pasolini osiągnął tę surową prawdziwość w *Edypie*. Jak szkoda, że nie mogę zobaczyć jego *Medei*!

## środa, 1 kwietnia

Jeszcze w związku z zanotowanymi wczoraj kłopotami: pokusa, zresztą nie nowa, aby się nie krępować (nie jest to w tym kontekście czasownik najwłaściwszy) i wykorzystać do własnych potrzeb postacie autentyczne. Nie wiem na ogół żadnych złudzeń wobec „złodziejskiego” charakteru pisarstwa, mało też skrupułów, gdy w sposób mniej lub bardziej jawny korzystam z realiów, związanych z ludźmi żyjącymi. Właściwie w ciągu wielu lat, gdy piszę i publikuję, dwie tylko osoby poczuły się przeze mnie dotknięte: nieżyjący już dyplomata, który w swoim czasie, obrażony za żonę, wystosował do mnie dość ostry list, sądził bowiem, że świadomie i w złośliwej intencji obdarzyłem jego nazwiskiem mało sympatyczną postać kobiecą w *Popiele i diamentach* i drugim był Witold Gombrowicz, sądząc po listach, które otrzymałem od niego z początkiem roku 1967 (byłem wtedy we Francji), głęboko dotknięty pewnym fragmentem *Idzie skacząc po górach*, fragmentem – przynajmniej to – świadomie z mojej strony prowokującym go, a poza tym naprawdę zrozumiałym tylko dla niego samego i bardzo małego grona szczególnie bystrych czytelników. Sprawdziłem i przed nieporozumieniem z Gombrowiczem, i również po nim, że nawet ludzie bardzo dobrze znający *Dziennik* tego wielkiego pisarza nie zorientowali się, że pewna kwestia wypowiedziana przez jedną z postaci mojej powieści jest dosłownym cytatem z *Dziennika*. Sprawa wydaje się ostatecznie dość błaha, wciąż jednak tkwi we mnie przykra zadra, że Gombrowicz tak bardzo poczuł się dotknięty moim sztubackim figlem i że nigdy w cztery oczy nie będę już mógł wyjaśnić mu zarówno moich intencji w tym wypadku, jak i mojego stosunku do jego osoby i jego twórczości. Nic już nie odmieni faktu, że moje stosunki z pisarzem, którego z żyjących polskich pisarzy najbardziej podziwiałem (ale równocześnie jak często mnie drażnił i irytował!), zawsze, jeszcze przed wojną, układały się niedobrze.

Wracając do skrupułów: ogarniają mnie one wówczas, gdy wchodzę w sferę polityki. Cóż prostszego – dać się beztrosko ponieść zabawowemu żywiołowi sztuki i np. Formińskiego ukształtować na „obraz i podobieństwo” Iksa, o którym jeden z jego przyjaciół mawiał przed kilkanaście laty, iż tak się przyzwyczaił do pływania, że nawet pierdoli pływając. Lecz Formiński, ulepiony z zawilej i dramatycznej (jak nieomal wszystkie życiorysy polskich komunistów) biografii Iksa, także z jego towarzyskich uroków, i z jego rozbrajającego cynizmu, i z jego wielokrotnych małżeńskich związków z dziewczynami, które mogłyby być jego córkami (ostatnia jest nawet młodsza), zawsze nie na samych szczytach, lecz niezmiennie od dwudziestu pięciu lat na wysokim, kierowniczym stanowisku – taki Formiński jako postać epizodyczna, sprezentowany<sup>30</sup> tylko w swych życiowych realiach, więc od zewnątrz, musi być odczytany jako wyraz łatwej satyry, ponieważ w takim powierzchownym skrócie odjęte mu zostaną te wszystkie elementy, które równoległe do działania, a nieraz przeciw niemu kształtują najbardziej intymne życie jednostki. Czy Iks posiada niekiedy świadomość, że mimo zewnętrznych pozorów przegrał w istocie życie? A jeśli tak, co wtedy odczuwa i myśli? Ugniata go zbliżająca się starość? Czuje wstręt do frazesów, które tak często wygłasza i publikuje? Nie obmierzała mu konieczność owego bezustannego „pływania”, aby się nie potknąć, nie poślizgnąć, nie popaść w niełaszkę, nie zlecieć z wysokiej drabiny?

W ubiegłym tygodniu, na pewnym dosyć licznym, choć prawie w ostatniej chwili zaimprovizowanym przez gospodarza zebraniu towarzyskim spotkałem Igreka, którego widuję rzadko, lecz znam od wielu lat, lubiąc go i ceniąc. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że jego poglądy osobiste nie zawsze się pokrywają z wypowiedzianymi publicznie, nie przypuszczałam jednak, że aż tak radykalnie. Nawet dla mnie, tak świadomego rozdwojenia rozczepiającego miliony Polaków, prawie półgodzinna rozmowa z Igrekiem była rewelacją. Nie chciałbym tego zjawiska, powszechnego

---

<sup>30</sup> sprezentowany – zaprezentowany; przedstawiony. [przypis edytorski]

w stroju totalnym, nazywać dwulicowością lub oportunizmem. Korzystając z maksymalnej niezależności, jaką w obowiązujących tutaj warunkach może jednostka osiągnąć, niezależny przede wszystkim finansowo, więc niezmuszony do zarabiania na życie wbrew przekonaniom, niezmuszony do brania udziału w życiu publicznym wbrew sobie – nie czuję się uprawniony do bezkompromisowego osądzania tych wszystkich, którzy z takich czy innych względów muszą (nieraz chcą) żyć i działać w ściślejszym przymierzu z przymusem, aniżeli ja. Nie byłbym zresztą pisarzem, lecz kamiennym tłukiem, gdybym – dostrzegając ogrom zniszczeń trawiących naszą egzystencję narodową w jej społecznych i moralnych przede wszystkim wartościach – nie potrafił jednocześnie i nie umiał dostrzec, jakie konflikty wewnętrzne prowokuje owo godne pożałowania rozszczerzenie świadomości, ile gorczy osiada na kłamiących wargach, i jak trudne i ciężkie mogą być (choć nie zawsze muszą) samotne godziny nawet tych, których opatrzone do znudzenia twarze znamy z pierwszych stron dzienników, z kronik filmowych i z transparentów.

Naprawdę, wielką bym miał ochotę ubrać Formińskiego w kostium Iksa, a dla redaktora *Panoramy Tygodnia*. Kazimierza Jaśko, wypożyczyć odzież u dr K.K. Może tak i zrobię, lecz nie wcześniej niż znajdę dla nich **szansę**.

I gdy odejdzie blaskiem orderów rozświetlając blask sali z niebiańską i rozgwieżdżoną kopułą u szczytu, prezes Panek powtórzy zapewne, lekko mamrocząc: to będzie **nasze** dziecko, nie – ona na to blisko przy chłodnym stoliku z marmurowym blatem, w brajtszwancach, nad szklanką wystygłej herbaty, pochmurna i obca, a trochę dalej: w głębi salonu, wielka i tęga, w nazbyt wydekoltowanej sukni, otoczona kilkoma młodymi aktorami (wśród nich Łukasz Halicki?, a może raczej nie młodzi aktorzy, lecz red. Jaśko i sekretarz KW, Krystek?), mówi przy zimnej herbacie: Leopold, to nie jest i nigdy nie będzie **nasze** dziecko, więc on zacierając pod stołem zmarznięte dłonie: kochasz go?, i gdy ona, ciemna i pochmurna, milczy, on mówi z żalem: mnie nigdy nie pokochasz, jak jego, wówczas ona: bo pana, panie Leopoldzie, nie umiałabym zniechęcić, i po chwili: panem mogłabym gardzić, ale nie nienawidzić, teraz – będzie mógł w tym momencie pomyśleć Panek – teraz to zrobię, tak, zrobię to, muszę to zrobić, i skoro wypije jeszcze parę koniaków (młodzi: Beata oraz Łukasz z bliskiego sąsiedztwa już najpewniej znikną), wówczas cokolwiek niespodziewanie dla samego siebie brnąc po kolana w grząskim błocie, z ciężko dyszącym Stefanem (pseudonim w Gwardii Ludowej „Feliks”, po Dzierżyńskim) na plecach, brnąc przez ciężkie błoto w ciemności skamieniałej puszczy, chrzęszczącej chrapliwymi oddechami, pójdzie poszukać Ksawerego, brnąc po kolana w ciężkim trzęsawisku, i ostrożnie stąpając po gładkiej i śliskiej tafli pałacowej posadzki, nie wydaje się wszakże, żeby go odnalazł, Ksawery w tym stadium weselnego przyjęcia, znudzony salonami i podążając kapryśnymi śladami Marka Kurana, poszuka zapewne towarzystwa młodych, a ci już od dość dawna – jak to zdążył zauważyć Adam Nagórski – ściągają do piwnicy, przyozdobionej freskami z czasów księcia Poniatowskiego, gdzie normalnie funkcjonuje jadalnia dla gości pensjonatowych, a dzisiaj bar obsługiwany przez pana Edka z nocnego „Bristolu”, niegdyś w prehistorycznych czasach zaufanego lokaja Karola Wanerta, więc gdy prezes Panek, nigdzie na salonach syna nie znajdując, zdoła się wydobyć z ciemnych bagien i trzęsawisk, aby zejść krętymi schodkami na dół (a uwzględniając stan ducha, w jakim się znajdzie, wchodziłby równocześnie po szerokich, marmurowych schodach, pałacu królewskiego w Hadze, usztywniony tużurkiem, z gardłem wyschniętym i z dłońmi spotniałymi, aby złożyć za chwilę listy uwierzytelniające królowej Julianie) i tam, w piwnicy, od razu ogarnięty rozwydrzonym zgiełkiem big-beatu (zespół „La Da Co” w komplecie: Leszek Bogucki – kierownik zespołu, śpiew, Krzysztof Lazarowicz – śpiew, Michał Otocky – gitara i śpiew, Jacek Lasota – gitara, Marek Soja – gitara basowa, Ryszard Pajak – perkusja; poza tym wokół baru m.in. Ksawery, Marek Kuran, dziewczyny Michała Otockiego: Jola, Magda, Zula i Mirka, o których mówi zwykle „moje zwierzęta”, także Aimo Immonen, Beata Konarska, Łukasz Halicki i Maciek Zaremba, ulubiony aktor Wanerta, chociaż ostatnio znakomity reżyser część swych sympatii i nadziei przeniósł na Halickiego) —

## piątek, 3 kwietnia

Wczoraj mimo dwóch kaw i pierwszego z serii zastrzyków (wit. B plus tenofosphan), zbyt cały dzień ospały, żeby pracować. Wcześniej się położywszy, spałem prawie dziesięć godzin, co mi się już od dawna nie zdarzyło. Całą noc musiał padać śnieg, bo rano, wciąż przy gęstej śnieżycy, świat dosłownie zasypany, drzewa uginają się pod szadzią, Boże wielki, kiedy się ta zima wreszcie skończy?

Zastanowić się, czy wśród młodych nie powinien się również znaleźć Antek Raszewski. Ale chyba nie. W skorzystaniu z zaproszenia przeszkadzałyby mu przede wszystkim świadomość, że byłby na tym przyjęciu gościem głównie w charakterze syna swego ojca, poza tym nazbyt jeszcze świeże są w nim przeżycia związane z Magdą Jackowską po wczorajszym koncercie w Filharmonii; na tej scenie z części II potknąłem się jeszcze w styczniu, mdło mi się robi na myśl, że za ileś tam dni będę musiał do niej dotrzeć i coś z nią zrobić. Nie mogłem się również do tej pory zdecydować, w którym momencie umieścić tekst eseju Antka o *Ostatniej godzinie* Nagórskiego (*Nie cofa się ten, kto związał się z gwiazdą*):

w części II, kiedy Celina Raszewska po powrocie z koncertu czyta ten tekst? czy raczej dopiero w części III, gdy otrzymuje go Adam Nagórski? Ale to sprawa do rozstrzygnięcia na potem.

Natomiast nie zapomnieć, że jako **postać** zupełnie się zagubił najmłodszy syn Panków, Gustaw. W *Życiorysach* mam tylko krótką informację: ur. 12 IX 1949 w Białymstoku, syn Leopolda Panka i Zofii z Motylów. W notatkach także żadnych bliższych informacji. O ile mnie pamięć nie zawodzi, w maszynopisie straconym w Stuttgarcie, była scena, w której Gustaw późną nocą z piątku na sobotę wraca pijany do domu i rozmawia z Moniką, która akurat odebrała telefon od Konrada Kellera, rozbudzonego dotkliwym bólem zęba, zupełnie jednak wyleciały mi z głowy szczegóły tej sceny. Ponieważ tamta wersja rozgrywała się w roku 1965, Gustaw miałby zaledwie lat szesnaście, wydaje mi się jednak, że był urodzony wcześniej i akurat zdawał maturę. Teraz ma lat prawie dwadzieścia, brakuje mu do dwudziestki pięciu miesięcy. Co z nim zrobić? Udany, wykolejony? A jakieś dzieci powinni też mieć Furmiński, Jaśko i pozostali prócz Halickiego, który ma Łukasza. Nie jestem w nastroju do „rodzenia”.

– chyba się cofnie, spłoszony widokiem rozochoczonej młodzieży, a jeśli nie zdąży uczynić tego w porę i zostanie zauważony, z pewnością Marek Kuran dostrzeże go pierwszy i w takim razie, choćby dla zrobienia na przekór Ksaweremu, nie odmówi sobie wygrania tak nieczęstej sytuacji i zawoła dość głośno, aby przekrzyczeć wrzawę big-beatu:

– Prosimy, panie prezesie, do nas!

Wówczas Panek wobec tych młodych, rozognionych twarzy i ciszy, jaka naraz w piwnicy zalegnie, nie będzie się już mógł wycofać, będzie zatem musiał ociążałemu ciału, z trudem się wydobywającemu z gęstych lipskich bagien, nadać niejaką godność, a twarzy ojcowsko-koleżeńską swobodę i powiedzieć głosem, którego brzmienie jemu samemu będzie się musiało wydać nieco fałszywe:

– Cześć! jak się panowie bawicie?

– *Who's it, Luke*<sup>31</sup>? – spyta Aimu Immonen, obejmując Łukasza Halickiego za szyję.

– Jeden z bohaterskich twórców naszej ludowej ojczyzny – odpowie Halicki.

– *Go with me to Paris, Luke. Madame Ferens will make a great artist of you*<sup>32</sup> —

---

<sup>31</sup> *Who's it, Luke* (ang.) – kto to jest, Łukaszu. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *Go with me to Paris, Luke. Madame Ferens will make a great artist of you* – Jedź ze mną do Paryża. Pani Ferens zrobi z ciebie wielkiego artystę. [przypis edytorski]

– Prometeusz, *panimajesz*<sup>33</sup>? A Hermes *eto ja*<sup>34</sup>.

– Słuchaj, stary – wepchnie się pomiędzy nich Maciek Zaremba – moja żona od trzydziestu godzin rodzi i nie może urodzić. Co ja mam robić?

Natomiast Marek Kuran, lekko swymi ładnymi, choć trochę niespokojnymi, oczami zezując w stronę wyraźnie zażenowanego eks-asystenta przy katedrze historii filozofii współczesnej, a i z uśmiechem chłopięco przymilnym powie coś w tym rodzaju:

– Wie pan, panie prezesie, co się stało?

– Gdzie? – spyta niechybnie Panek.

Na to młody poeta:

– W autobusie pospiesznym D, dzisiaj o dziesiątej rano.

– Niestety – wówczas prezes PIP-u – komunikacja to nie mój resort.

Marek Kuran:

– Wiem, panie prezesie, ale w potężnym królestwie socjalistycznej prasy, która też jest swego rodzaju zaplanowaną komunikacją, a nawet komunią, dobrze jest wiedzieć, co się dzieje u sąsiada, nie? Otóż to było tak: pewien czteroletni chłopczyk, bawiąc się dziś rano w żołnierza, wsadził sobie na głowę nocnik, ale manewrował nim tak nieostrożnie, iż niebawem cała jego głowa w hełmie uwięzła, wtedy przerażona matka, gdy jej wysiłki uwolnienia syna okazały się daremne, owinęła nocnik ręcznikiem i pośpiesznym autobusem D pojechała z dzieckiem do Ubezpieczalni. W autobusie, panie prezesie, chłopczyk, wyglądający na ofiarę ciężkiego wypadku, przez całą drogę, choć w odstępach przerywanych ciszą, skarżył się głosem głucho, lecz i donośnie się wydobywającym spod zamaskowanego naczynia: dusno mi, ciemno mi, pić mi się chce!

Nie wydaje się, aby Panek, gdy po momencie ciszy, rozlegną się wokół śmiechy i chichoty, przyłączył się do ogólnej wesołości, raczej z kamienną twarzą, jakby siedział za swym biurkiem w Polskim Instytucie Prasowym lub na akademii, za stołem prezydialnym, powie:

– Mam nadzieję, że w Ubezpieczalni poradzono sobie z tym przykrym wypadkiem, nasze szpitalnictwo stoi na wysokim poziomie, mamy wielu dobrych i ofiarnych lekarzy.

Wtedy młody autor *Leukocytów* (rocznik 1946) czując wokół atmosferę wzrastającego napięcia, spyta:

– Ile forsy, panie prezesie, wyciąga teraz miesięcznie facet w randze ministra, ale tak ze wszystkim, z dodatkiem?

I nim Panek zdąży odpowiedzieć, tamten:

– Chyba jednak mniej niż pewien czteroletni ogier francuski imieniem Match, kupiony niedawno w Anglii przez British Bloostock Agency za 250 000 funtów, już nie mówię o tu obecnych, my jesteśmy młodzi, dwulatki, ale kogo z tych na górze i w ogóle w Polsce kupiono by za taką cenę? A wie pan, panie prezesie, ile ten ogier wygrał forsy w czasie swojej kariery na torach? Prawie dwa miliony nowych franków, znaczy czterysta tysięcy dolarów!

– Ten gówniarz, Kuran, ma podobno talent – powie później Panek, gdy ponownie zetknie się ze Stefanem Raszewskim.

Na to Raszewski:

– Talent to nie wszystko, zresztą i z oceną talentu lepiej poczekać.

– Właśnie, gówniarz za dużo sobie pozwala.

– Wiem, nie on jeden, ale całe zagadnienie na tym stoi, że oni nie są tacy mądrzy, jak o sobie myślą, a my nie tacy głupi, jak oni sobie wyobrażają. Gdzie są te młode geniusze, w piwnicy?

Panek:

– Mówię ci, Stefan, gówniarz za dużo sobie pozwala.

---

<sup>33</sup> *panimajesz* (ros.) – rozumiesz. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *eto ja* (ros.) – to ja. [przypis edytorski]

– Nie szkodzi – odpowie Raszewski – im więcej narozrabia, tym prędzej podpadnie. Nie bądź naiwny, Poldek. Wróg, jak już nic nie może, mobilizuje gówniarzy, znamy to.

A ponieważ Panek wciąż nie będzie pewien partyjnej oceny przyjęcia w Jabłonie, z pewnością zapragnie, aby ktoś bardziej od niego w tej drastycznej i skomplikowanej sprawie autorytatywną całą rzecz przyjaźnie naświetlił, zatem zgodne byłoby z jego stanem ducha, gdyby właśnie teraz, w owej żmudnie, a i cokolwiek niefrasobliwie kształtującej się przyszłości, Stefan Raszewski zechciał się okazać dobrym starym kumplem i szczerze, jak w partyzantce, z własnej inicjatywy w sedno sprawy wszedł i męsko stwierdził:

– Powiem ci, Poldek, w zaufaniu, że z twoim weselem były kłopoty.

– Nie? – z nieszczerym zdziwieniem zaniepokoił się Panek.

Raszewski:

– Dobrze wiesz, stary, że towarzysze z kierownictwa nie lubią takich historii. Jak mnie pierwszy raz powiedziałeś o Jabłonie, ja na to nic, ale pomyślałem sobie, że to może nie przejść.

– Jak to nie przejść?

– Tobie! O ciebie, Poldek, chodzi. Rany boskie, jesteś jak ślepa kura, naiwniak, nawet nie wiesz, ile ryje dokoła ciebie i świnię chcieliby ci podrzucić. Takie jest życie, Poldek, naprostuj się!

– To moja żona wymyśliła, wiesz, jaka ona jest. Mnie te szopki nie bawią.

– Wiem.

– No więc?

– Mówię ci, ślepa kura jesteś. Gówno widzisz. Towarzysze z kierownictwa dobrze wiedzą, jaki jesteś. Ale co z tego? Co im miałem powiedzieć, kiedy spytali, ile wesele twojej córki będzie kosztować! No!

– Keller wszystko płaci, ja grosza nie dałem.

– Nie dałeś, powiadasz?

– Przysięgam, Stefan!

– Ty mi nie przysięgaj, bo ja lepiej od ciebie wiem, co dałeś, a czego nie dałeś. Po to jestem, żeby wiedzieć. Ty istotę zagadnienia zrozum!

– Niby co?

– Ech, ty! zmendziałeś, stary, co ci w tej starej głowie chlupie? Gdybym nie był twoim starym kumplem, to bym ci dał w dupę takiego kopa, że byś się, stary, do końca życia nie pozbierał. Co ty mi bajasz, kto za to wszystko zapłacił? Z takimi, jak ty, ja mam robić politykę? Pierdolę was wszystkich. Wiem, kto zapłacił. I co z tego?

– Rany boskie, Stefan, czego się gniewasz?

– Nie płacz, ja jestem spokojny, jak drut. A ty sobie załaduj w tę zrogowaciałą łepetynę: dla towarzyszy z kierownictwa sprawa tak stoi, że na wesele córki starego i zasłużonego towarzysza urządza się przyjęcie w Jabłonie, czort z tobą, kto płacił, kto nie płacił! Jest przyjęcie? Jest. Duże przyjęcie. I kto ma być na tym zasranym kiblu? Gówno, artystyczno-intelektualne gówno. Ale nie tylko. Jeszcze towarzysz Panek z małżonką i kilkunastu przyjaciół z aparatu i z rządu. Przed wszystkim ja! Stefan Raszewski! Nie wygłupiaj się, stary! Znasz mój telefon! No! Kto cię dzień po dniu ustawia? Jeżeli jesteś durniem, nie rób z siebie większego i nie preparuj takich historii jak ta, za moimi plecami.

– Stefan! – jęknął najpewniej w tym momencie Panek – ja już czasem wysiadam, już nie mogę, sił nie starcza.

– Siedź na dupie, póki siedzisz, i mądrzejszych od siebie słuchaj.

– Siedzę, Stefan, ale co ja takiego zrobiłem? To nie moja wina.

– Przestań pierdolić!

– Zmęczony jestem, Stefan.

– Chcesz w mordę?

Więc się najpewniej w tym momencie Panek, jeszcze przed chwilą osłabły i w sobie sflakowaciały, wyprostuje.

– Bij, Stefek – powie z determinacją – bij!

Wówczas Raszewski całkiem spokojnie:

– Słuchaj, stary, ile miesięcy musiałyby pracować robotnik, nauczyciel albo urzędnik z twego resortu, żeby takie wesele córce zafundować?

– Czy ja wiem? Rok, może więcej?

– No więc! Elita się bawi, taka gadka pójdzie na Polskę, a jak elita się bawi, znaczy szasta forszą, a jak szasta forszą, znaczy łatwo jej forsa przychodzi i łatwo leci, a to nie może zrobić dobrego wrażenia i słusznie nie robi dobrego wrażenia, zwłaszcza teraz, zastanów się, stary, dwudziestopięćciolecie, wybory do sejmu, trudności ekonomiczne i w ogóle cała złożona sytuacja międzynarodowa, w naszym obozie też, co ci zresztą będę mówić, sam chyba wiesz.

– Jasne.

– Więc ci krótko powiem, owszem, były w kierownictwie opory, nawet duże, słuszne opory, ale ja, zanim miałem referować całą sprawę, gruntownie wszystko sobie przedyskutowałem, i tak, i tak, no więc obiektywnie: ocena strat, szum dokoła tego, gadanina, przesadna gadanina, jak zawsze, dobra! szum jest, pokisi się, poskwierczy i wygaśnie, sprawa znów nie taka pryncypialna, żeby sąd i smród długo pozostał, ale oczywiście samego faktu szkodnictwa negować ani nie doceniać nie należy. A drugie pytanie: czy tylko szkodnictwo może z tego wynikać, może i jakieś pozytywne elementy dadzą się znaleźć? I przy wnikliwszej analizie okazało się, że owszem, takie pozytywne elementy są, trzeba je tylko umieć rozpoznać. Wiesz, stary, jaka jest sytuacja w tej całej zaszrannej kulturze? Niedobra, wciąż niedobra. Daliśmy im w marcu w dupę, ale poniektórzy z nich mają twarde tyłki, dużo za twarde, jak na budowę socjalizmu. Otóż obiektywnie oceniając sytuację, trzeba sobie jasno powiedzieć, że w pewnych okolicznościach korzystniejszy bywa koniak niż wielogodzinna dyskusja. Teraz, stary, już nie te czasy, żebyśmy potrzebowali kogokolwiek przekonywać, w obecnej sytuacji interesuje nas przede wszystkim dokładne rozpoznanie, informacja, pogłębienie naszej wiedzy o środowisku, o tych czy innych osobnikach ze środowiska, a ratować, zbawiać, na siłę wyciągać z błędnych albo wręcz wrogich poglądów, to już nie ten etap, dwadzieścia pięć lat ciężkiej orki mamy za sobą, to coś znaczy, teraz samym talentem nikt nam nie zaimponuje, to już nie jest dla nas legitymacja, stać nas na to, żeby zrezygnować z różnych panów Nagórskich i kilkunastu innych, którzy sobie wciąż wyobrażają, że w tym kraju można swobodnie uprawiać ideowe sobiepaństwo, rzecz więc w tym, żeby wiedzieć, jak głęboko i gruntownie kto jest chory, owszem, wiemy dużo, ale nie zaszkodzi, jak będziemy wiedzieć jeszcze więcej. Kiedy wróg pije i się bawi, władza się umacnia. Kapujesz teraz, stary, dlaczego wesele twojej córki przeszło?

– Ty masz głowę, Stefan!

– Każdy ma głowę, trzeba tylko głową myśleć w sposób prawidłowy, co poniektóre tutaj znakomitości mają w głębokiej pogardzie. No, stary, można powiedzieć, że nagadaliśmy się za wszystkie czasy, ale teraz koniec, kropka! jesteśmy na weselu, a nie na konferencji, trzymaj się! aha, jeszcze jedno przy okazji. Jak się układają twoje stosunki ze starszym synem?

– Prawie go nie widuję.

– Wiesz, mnie on osobiście ani grzeje, ani ziębi, ale ty jesteś moim starym kumplem, zajmujesz odpowiedzialne stanowisko, powiedz mu więc kiedy przy okazji, żeby on na siebie uważał, po marcu tylko ze względu na ciebie nie wyciągnęliśmy wobec niego wszystkich konsekwencji i tylko zdjeliśmy go z asystentury.

Panek (z pewnością cokolwiek błędąc lub czerwieniejąc):

– Znów robi coś nie tak?

– Co on robi nie tak, jak robią normalni mężczyźni, to ty, jeżeli nie jesteś ślepy, powinieneś wiedzieć najlepiej. Ale to mnie nie obchodzi, to nie mój resort. Powiem ci nawet więcej: jak on już

taki jest i lubi się otaczać chłopaczkami, to zamiast prowadzić z nimi tak zwane dyskusje ideowe, niech lepiej gada z nimi o dupie. Przekaż mu to.

– On mnie ma za nic, Stefan.

– To sprawa jego i twoja. Ale niech uważa, żebyśmy go nie musieli ciachnąć po jajach. Byłoby mi przykro, stary, ze względu na ciebie. Cześć stary! poszukam panny młodej.

W związku z tym, co o działalności Ksawerego Panka mówi Raszewski, zwrócić uwagę, że ten wątek ważny w obecnej egzystencji Ksawerego całkiem został zagubiony, dzięki czemu obraz Ksawerego, usuniętego po marcu na margines życia publicznego, zawężił się jednostronnie do utrapień erotycznych, co zresztą Raszewski chętnie by widział. Nie zapomnieć zatem, że jeśli nie w części I; to koniecznie w części II trzeba będzie wyeksponować bliskie powiązania Ksawerego (również jego rolę inspirującą) z młodzieżową grupą poetycką „Atentat”, która gromadzi młodych zamieszanych w wypadki marcowe, usuniętych przeważnie z wyższych uczelni, a również i mających poza sobą w kilku przypadkach wielomiesięczne śledztwo w więzieniach. Koniecznie wrócić do tej sprawy przy scenach w części II, w których występuje Ksawery Panek.

Więc Panek, z samym sobą w tym momencie pozostawiony, już prawie trzeźwy, choć daleki od wewnętrznego opanowania, raczej żony niż pierwotnego poszuka i dzięki podobnemu układowi sytuacji w sposób niejako ostateczny nie odbędzie się owa zamierzona pierwotnie w podjudzających oparach alkoholu intymna rozmowa ojca z synem, ów trochę szokujący dialog, który zgodnie z ryzykownymi i desperackimi intencjami ojca przebiegłby, gdyby mógł przebiec, zapewne tak:

Ojciec:

– I cóż, mój **synu**, bawisz się, jak widzę.

Syn:

– Przy pewnym nadużyciu fantazji można to nazwać zabawą.

– **Tutaj** powinieneś się świetnie bawić, jesteś przecież u siebie.

– O ile się nie mylę, to w świetle światopoglądu naukowego każdy obywatel Polski Ludowej w każdym miejscu jest u siebie w charakterze gospodarza.

– Zostaw te niewybredne kpinki dla swoich studentów.

– Zapomniałeś, że już od roku nie zatruwam studenckich umysłów.

– Moje informacje, niestety, tego nie potwierdzają.

– Towarzysz Raszewski?

– O tym później, nie tutaj i nie teraz, na razie przyjmij do wiadomości, że ja mówię poważnie, ponieważ tu, w Jabłonie, jesteś u siebie w sensie dosłownym, chociaż jeśli chodzi o prawną stronę, to dosłowność jest trochę nadpsuta. Jeszcze nie rozumiesz? Niestychane! A podobno mówią o tobie, że jesteś taki inteligentny.

I chcąc bezbłędnie osiągnąć zamierzony cel, powiedziałyby krótko, lecz za to dobitnie:

– Hrabia!

Syn:

– Upiłeś się!

Ojciec:

– Jasne: dlatego powierzam ci rodzinną tajemnicę. Trzydzieści parę lat temu twoja matka powiedziała, że gdybym kiedykolwiek tę tajemnicę zdradził, to mnie porzuci, a ja wówczas przysiągłem, że nigdy tego nie uczynię. Jak widzisz, nie dotrzymałem przysięgi, przekonamy się teraz, co twoja matka uczyni.

A cóż Syn? Najprawdopodobniej, tak nieoczekiwanie w trzydziestym trzecim roku życia podłączony do arystokratycznego rodowodu, nagle w skomplikowanych elementach dziedziczności odmieniony i mglistą magią historycznego podmuchu objęty, z zastępem hetmanów, biskupów, kanclerzy, wojewodów i kasztelanów u ramion, więc z zastępem wygłuszającym swym szumem

i blaskiem pogłos baniek z mlekiem przetaczanych każdego ranka do sklepiku ulicy Zielnej prostackimi rękoma ojca matki, dziadka Motyla, a równocześnie i ku obiektowi swojej miłości biegnący pospieszną myślą, świadomy wrażenia, jakie ta uszlachetniająca odmiana uczyni na Marku Kuranie, powiedziałby zapewne tak:

– Szkoda, że nie złamałeś przysięgi wcześniej, oszczędziłbyś mi w ten sposób wielu lat wstydu i odrazy.

Że jednak ze wspomnianych już przyczyn trudno przypuszczać, aby ta melodramatyczna scena mogła dojść do skutku, prezes Panek, skoro go opuści Stefan Raszewski, odszuka, jak to zamierzył, żonę, a chyba nie przyjdzie mu to trudno, bowiem jej monumentalną sylwetkę w wieczorowej sukni o cokolwiek nazbyt ryzykownym dekolcie łatwo będzie mógł dostrzec nawet wśród gęstego tłumu, więc, gdy się to stanie i po takich czy innych poczynaniach natury towarzyskiej znajdą się w naturalnie dyskretnej małżeńskiej intymności, ona, objąwszy go uważnym spojrzeniem swych ciemnych i pochmurnych oczu, spyta:

– Co się stało?

– To był twój pomysł z tą hecą tutaj – powie. – Nigdy się nie liczyłeś z moim zdaniem.

– Raszewski ci zmył głowę? Nie bój się, nic ci się nie stanie, jemu na tobie zależy, potrzebuje takich oddanych przyjaciół, jak ty.

– Ciszej! – syknie.

– A cóż w tym złego, że Raszewski potrzebuje przyjaciół? Wszyscy o tym wiedzą.

– Dzieci też pięknie wychowałaś, trójka reakcjonistów.

– Ach tak? A ja zawsze myślałam, że na ich światopogląd, jak wy to nazywacie, wpłynęło przede wszystkim to, że od dziecka patrzyły na ciebie i na różnych twoich towarzyszy i koleżków.

– Jeżeli tak sprawę stawiasz, to muszę ci przypomnieć, że i one, a przede wszystkim ty, tak, przede wszystkim ty raczysz zapominać, że właśnie moim towarzyszom i mnie zawdzięczasz wszystko! Od tej kiecki począwszy, a na tytule prezesowej kończąc, żadne zwierzę nie pluje do miski, z której żre.

– Jednak zawsze musi wyleźć z ciebie cham!

– Jasne! a największy cham, wiesz, kiedy ze mnie wyszedł? Kiedy ci zaproponowałem małżeństwo i temu jaśnie bękartowi dałem swoje chamskie, robotnicze nazwisko.

Gdy zapadnie pomiędzy nimi milczenie, on rzuci po chwili krótkie i wyzywające:

– No!

– Wydaje ci się, Leopoldzie...

– Teraz możesz dotrzymać swojej przysięgi. Nie pamiętasz? W „Nadświdrzańskiej”, na placu Teatralnym, miałaś na sobie brajtszwance, pożegnalny prezent jaśnie pana hrabiego.

A ona rzeczywiście niczego nie pamiętając:

– Wydaje mi się, Leopoldzie, że w nastroju, w jakim się znajdujesz, najlepiej zrobisz, wracając do domu. Nie powinieneś w tym stanie pokazywać się ludziom.

– Naprawdę nie pamiętasz? Kłamiesz!

– I nie zapomnij wozu odesłać z powrotem.

Czegoś mi w tym miejscu brakuje. Ale czego? Może Leopold Panek, rzeczywiście mając tego całego wesela dość i czując się źle, powinien, zanim odjedzie, natknąć się na swoich przyjaciół, sam, w towarzystwie żony? A może sytuacja tak się powinna ułożyć, iż gdy go jeden z kelnerów zawiadomi, że auto już zajechało – zrezygnuje z wyjazdu i zostanie? Ale co z nim potem robić? Gdyby został, nie mógłby całkiem zniknąć, nawet uwzględniając, iż wszystko to nie **dzieje się**, lecz tylko **mogłoby się** dziać w kapryśnie płochych sferach czasu przyszłego niedokonanego. Kłopot.

A w innych rejonach salonów dojdzie najpewniej do spotkania Celiny Raszewskiej z Adamem Nagórskim i chyba zbędny byłby wysiłek, zmierzający do sprecyzowania okoliczności, w jakich się

to stanie, wystarczy wyrazić przypuszczenie, że spotkania poszuka Celina i również ona, skoro się znajdą sami, odniesie wrażenie, że Nagórski albo zupełnie nie będzie sobie zdawać sprawy, z kim rozmawia, albo – jeśli nawet dotrze do niego jej nazwisko – nie zdąży w związku z tym dokonać paru istotnych skojarzeń, wciąż jeszcze pod wrażeniem rozmowy z Haliną Ferens-Czaplicką. Więc gdy po wymianie kilku obojętnych zdań Raszewska utwierdzi się w tym przeświadczeniu, powie wprost:

– Pan się jednak nie domyśla, kim jestem. Nazywam się Raszewska, Celina Raszewska.

Po czym, wciąż w jego spojrzeniu nie dostrzegając rozeznania, dorzuci nieco ciszej:

– Siostra Elżuni.

I w tym momencie tak się chyba z Nagórskim stanie, iż na ułamek sekundy wpadnie jakby w ogromny lej, w obszar wirujących ciemności, i nawet trudno przewidzieć, jakie w trakcie owego zanurzenia, względnie spadania, jakie obrazy zarysują się w jego świadomości tak nagle i niespodziewanie zmaconej i czy, na przykład, w miejsce odpornej wskrzeszeniu twarzy Elżbiety nie wyłoni się nim twarz Nike, w każdym razie to gwałtowne poruszenie obszarów ciemności, to zanurzenie, względnie spadanie poruszy go dostatecznie mocno, aby przybladł lekko i szepnął:

– O Boże! więc to pani?

Lecz gdy wreszcie z owego zamącenia, zanurzenia, względnie spadania, z głębokości bezkształtnych mroków wyłonią się w czystej jasności wiosennego przedpołudnia krzyżyki zakopiańskiego cmentarza i bezosobowe cienie kilkunastu ludzi, i jeszcze może gwizd wilgi, lecz bezgłośny, wówczas nową falą bezkształtnych mroków ogarnięty i słysząc w dalszym planie muzykę oraz pogłos tanecznego szumu – w szczupłych rysach siwiejącej kobiety, która, nie zdając sobie zapewne sprawy, iż dokonała tak chaotycznego poruszenia zastygłych obszarów czasu, więc wpatrując się w tę twarz, nie odnajdzie w niej śladów intymnego powinowactwa z twarzą młodej dziewczyny, która – – —

– Cóż za spotkanie! – powie – tyle lat, prawie całe życie. Więc to pani jest tą młodą dziewczyną, która przyjechała z bratem na pogrzeb Elżbiety?

– Trzydzieści cztery lata.

– Trzydzieści cztery – powtórzy.

– Dzisiaj akurat przypada rocznica śmierci Elżuni.

– Tak – powie – pani brata, pana Edka, widuję od czasu do czasu, ale myśmy się rzeczywiście trzydzieści cztery lata nie widzieli.

– Raz się spotkaliśmy podczas okupacji, pamięta pan?

– Tak, oczywiście – odpowie szybko, lecz zbyt gorliwie, aby Raszewska nie zdała sobie sprawy, że mówi nieprawdę.

Mimo to ponowi próbę, jakby chcąc zatrzeć przykre uczucie, że Nagórski, wbrew wspomnieniom, jakie o nim przechowała, sprawia wrażenie człowieka oschłego i nieszczerego:

– Umówiliśmy się na spotkanie, obiecałam panu przynieść fotografię Elżuni.

– Oczywiście! – teraz akcent ulgi zabrzmiał w głosie Nagórskiego – umówiliśmy się w „Znachorze” na Boduena, ale pani nie przyszła.

– Więc jednak pan sobie przypominał! rzeczywiście nie przyszłam, ale to nie z mojej winy, mieliśmy właśnie z mężem duże kłopoty, Stefan musiał się ukrywać, musieliśmy zmienić mieszkanie.

Prawdopodobnie dopiero teraz Nagórski uświadomił sobie, kim jest mąż Celiny, i aby zatrzeć cień, który mu przemknie po twarzy, albo może się odbije w wyrazie oczu, powie pośpiesznie:

– To był czterdziesty pierwszy?

– Drugi, jesień.

– Pamiętam, padał deszcz, ale miałem parasol i pod parasolem szliśmy placem Wareckim w stronę Świętokrzyskiej. A wie pani, że po Elżbiecie nie mam żadnej pamiątki, ani jednej fotografii, listu, niczego.

– Ja też.

– Wydaje mi się, że moja pamięć byłaby sprawniejsza, gdyby mogła do czegoś z przeszłości zachowanego przylgnąć, doszedłem już do wieku, kiedy się ma poza sobą więcej czasu przeszłego aniżeli przyszłego przed sobą. I czasem ogarnia mnie przerażenie, że tak niewiele z tej przeszłości pozostaje żywego, rany się zasklepiają, potem nawet świadomość blizn zanika, zacierają się twarze, głuchną głosy, czy wie pani, że już nie potrafiłbym wywołać w sobie głosu Elżbiety, nigdy już go nie usłyszę, i wielu innych głosów, a powstają poza tym przestrzenie tak doszczętnie puste i martwe, jakby ich w ogóle nigdy nie było.

– Może to znaczy, że nie zdarzyło się wówczas nic naprawdę ważnego?

– Myśli pani? Czy ja wiem? Pamiętam, kiedy odwiozłem Elżbietę do Zakopanego i potem po kilku dniach wróciłem do Warszawy, żyłem prawie wyłącznie czekaniem na jej listy, raz, chyba tydzień, a może i dłużej nie miałem żadnej wiadomości, byłem unieruchomiony w domu, chory, grypa, angina, nie pamiętam dokładnie co, z pewnością nic ważnego się w tym tygodniu nie stało, ale to był tydzień męczarni, najokropniejszych myśli, przypuszczeń, domysłów, leków, nieskończenie długie godziny prócz tych rannych, kiedy zbliżała się pora, kiedy przychodził listonosz, więc parę godzin nadziei, wtedy to było na pewno ważne, jedynie ważne, a po trzydziestu kilku latach, co się z tych dni da wycisnąć? mglistą świadomość, że się coś takiego przeżyło, nic więcej.

I być może tym momencie zblednie i serce w nim zamrze, a z pewnością tak się stanie, jeśli wyobrazi sobie (a tak o to nietrudno), że Nike leży w tej chwili w ramionach nieznanego mężczyzny, i nie będzie musiał przymknąć oczu, aby tuż obok, w dręczącym zbliżeniu ujrzeć jej twarz bezwstydnie nagą, a też i boleśnie napiętą pod wpływem rozkoszy wnikałej w jej ciało otwarte uległe i pożądliwie, otwarte dla męskości, otwarte dla każdej męskości obiecującej brutalną i długą rozkosz, więc może podejmie wysiłek, aby tak podstępnie zaatakowanej wyobraźni nadać inny bieg, rozpustną uległość Nike przeobrażając w miłosne oddanie, a męskości przypadkowej ofiarowując kształt własnej?

– To smutne, co pan mówi – powie Celina Raszevska, przypuszczając, że zmętnienie oczu Nagórskiego wynika z zamyślenia się nad przeszłością – ale chyba nie zawsze i nie ze wszystkim tak bywa. Jednak wiele z przeszłości zostaje, dobrego i złego. Po tylu latach można się już zdobyć na szczerość, wie pan, że był okres, kiedy ja pana bardzo nie lubiłam?

Więc Nagórski, jeszcze w intymnym zbliżeniu z Nike, spyta z akcentem roztargnienia:

– Mnie?

– Wydawało mi się, że to przez pana Elżunia oddaliła się od nas, od domu, to znaczy od rodziców i ode mnie, bo Edward właściwie się nie liczył, odkąd pamiętam, zawsze miał osobne życie. A Elżunia, zanim pana poznała, była czuła, serdeczna, bardzo często przychodziła. Potem wszystko się zmieniło, pan tylko dla niej istniał, nikogo poza panem nie widziała.

– Ja też – powie Nagórski kruchym cieniem przeszłości.

– Wiem, ale wtedy, kiedy pana jeszcze nie znałam, myślałam o panu tylko jak o człowieku, który mi zabrał najbliższą istotę. Pan jest pisarzem, pan na pewno potrafi zrozumieć, co mogła wówczas przeżywać taka naiwna i głupiutka dziewczyna.

– Rozumiem, ale naprawdę myśli pani, że pisarz musi rozumieć więcej niż inni?

– Ależ tak! Gdyby nie rozumiał więcej, po cóż by pisał?

– Czasem może dlatego, żeby powiedzieć, że nie rozumie. Ale w tym wypadku, oczywiście, doskonale rozumiem, że mogła pani czuć do mnie niechęć, nawet nienawiść.

– Tylko do momentu, kiedy pana poznałam. Pan wtedy, przez te trzy dni po pogrzebie Elżuni, był dla mnie bardzo dobry, bardzo wiele się przez te trzy dni nauczyłam i zrozumiałam, takich rzeczy się nie zapomina. I właściwie to chciałam panu powiedzieć.

Niestety, Nagórski, wartościową i z odległej przeszłości nadaną przesyłką obdarowany, z pewnością nie będzie mógł odgadnąć, na czym rzeczywista cenność owego daru polega. Trzy dni? Chyba sobie przypomni, że istotnie, mała Celinka została w Zakopanem po pogrzebie Elżbiety, lecz czy był to dzień, trzy lub więcej i czym ten nieokreślony czas był wypełniony – tego chyba nie

skleci. Natomiast w Celinie ten odległy czas zachowa swoje kształty nieomal pierwotne, a nawet wraz z pośpiesznym nawarstwianiem się niełatwych lat późniejszych, pamięć, podobnie jak mrok gęstniejący wyodrębnia i zaostrza blask migocącego w głębi światła, przyda owym trzem dniom kwietniowym szczególnej przejrzystości, owym trzem dniom najpiękniejszej tatrzańskiej wiosny (w istocie tylko jeden dzień był słoneczny, ten ostatni, dwóm pierwszym, przy chwilowych tylko rozjaśnieniach, towarzyszyło niebo pochmurne, drobne deszcze i mżawki, zacierające zarysy gór), kiedy we dwoje, każde na swój sposób osierocone, odbywali długie spacerunki pod regle i w głąb pustych o tej porze dolinek, i ten obcy, prawie znieawidzony człowiek stawał się jej coraz bliższy, gdy szedł obok i mimo swych dwudziestu pięciu lat sprawiał wrażenie prawie jej rówieśnika, tak młodzieńczo wyglądał, szybkie i trochę nerwowe kroki uważnie dostosowując do jej drobnych i niepewnych, bo wychowanych w mieście i tylko z miejską ulicą oswojonych, i jak brat siostrze albo przyjaciel przyjacielowi zwierzał się z najbardziej osobistych przeżyć, i to, co mówił, sprawiało, że sąd, jaki sobie o nim wyrobiła, powoli się zacierał i rozpadał i na jego miejsce zarysowywał się obraz człowieka zupełnie nowego i nieprzeczuwanego, zwłaszcza, gdy w długich monologach, jakby myślał głośno, opowiadał dzieje miłości z Elżunią, wcale nie tak egoistycznie szczęśliwej, jak sądziła, miłości burzliwej i ciemnej, wciąż rozdieranej gwałtownymi rozstaniem, lecz związanej wzajemną niemożnością rozstania, obustronnie zaborczej i zatrutej zazdrością, i nawet w chwilach pełnego pojednania, gdy wszystkie podejrzenia i oskarżenia ustępowały, zaciemnionej śmiercią, która powoli, lecz nieustępliwie dojrzywała w płucach Elżuni, więc mówił na tych długich spacerach do Kuźnic, do Doliny Białego i Strażyskiej, mówił o wszystkich cierpieniach rzeczywistych i urojonych, a przede wszystkim mówił, bo wciąż do tego powracał, mówił o pewnej swojej winie, może niechcianej i nieświadomej, lecz jednak winie niezaprzeczalnej, bowiem u samych początków ich miłości jedno jego kłamstwo sprawiło, iż rozrosło się ono później w Elżbiecie jak złośliwa pleśń, rozwinęło się w nieustanną podejrzliwość, podsycaną jego zdrowiem i jej chorobą, w podejrzliwość maniacką i uporczywą, w momentach nasilenia przeobrażającą się w stany halucynacyjnych urojeń, których gorączkowe czary, wspomagane rzeczywistą gorączką ciała, odmieniały rzeczywistość, stwarzając nową podstępna i zdradliwa, przeczącą wszelkiej wierności – – —

Ten motyw kłamstwa, trującego i rozkładającego miłość, był przed wojną moją obsesją i wielokrotnie powracał w utworach, których nie dokończyłem i po których ślad nie pozostał, przepadły bowiem po Powstaniu, kiedy przed opuszczeniem Warszawy w połowie września zakopałem je wraz ze wszystkimi moimi papierami i pamiątkami w ogródku przy domu na Bielanach. Myślę, że i teraz ten motyw jeszcze we mnie żyje. Gdyby wygasł i nic już dla mnie nie znaczył, nie napisałbym tego epitafium dla G. B., nieżyjącego od trzydziestu prawie lat. I niemal wszyscy bliscy świadkowie tej pradawnej historii nie żyją, wszyscy prócz Ewy O. i Marysi B., które znają ją zresztą z lat późniejszych, kiedy choroba umysłowa poczęła zaciemniać i zniekształcać udęczonego umysł G., doprowadzając go wreszcie do koszarnej śmierci w okolicach Powsina, pod kołami wąskotorowej kolejki dojazdowej, w miejscu, koło którego później wielokrotnie przejeżdżałem, znajduje się ono bowiem tuż przy szosie wilanowskiej, prowadzącej do Obór. Wtedy, jesienią roku 1941 (a może na przedwiośnie roku następnego?), gdy w przeddzień śmierci G. zjawił się u mnie niespodziewanie przed samą godziną policyjną, nie chce mi się o tym pisać. Może kiedyś później?

Być może, chcąc przerwać przedłużające się milczenie, Celina Raszewska powie:

– Byłam wtedy bardzo młoda, zupełnie niedoświadczona i naiwnie sobie wyobrażałam, że miłość musi być jednym, wielkim i niekończącym się szczęściem.

Na to Nagórski:

– Gdyby tak miało być, w takim razie nigdy naprawdę młody nie byłem.

I kto wie, czy nie pomyśli: może młodość dlatego tak mnie urzeka i dlatego młodości szukam, iż łudzę się, że w niej znajdę...

Celina Raszewska:

– Pan przecież wciąż jest młody.

– Trochę zmęczony.

– Młodość chyba wcale nie znaczy to samo, co wiara. Wiara może być naiwna, jak moja kiedyś w wyidealizowaną miłość, albo...

– Albo?

– Młodość to jest przede wszystkim potrzeba poszukiwania, nie sądzi pan?

– Nadzieja?

– Chyba tak.

– Mało jej dokoła.

– Nie, nie, niech pan tak nie mówi, właśnie pan tak mówić i myśleć nie powinien. Ludziom potrzebna jest nadzieja.

– Ba! wiele rzeczy ludziom jest potrzebne.

– Panie Adamie, czy jedno rozczarowanie, nawet najboleśniejsze, może przekreślić wszystko?

– Czytam właśnie od kilku dni, pani Celino, pasjonującą monografię Richarda Friedenthala o Goethem. Na niedługo przed wybuchem Rewolucji Francuskiej, w liście do mistycyzującego pisarza i pastora, Lavatera, napisał Goethe: „pod naszym moralnym i politycznym światem ciągną się podziemne korytarze, piwnice i kloaki”.

Wtedy Celina Raszewska powie po chwili nieco ciszej:

– Wielu ludzi, panie Adamie, zdaje sobie z tego sprawę.

I może się zdarzyć, że w tym ściszeniu głosu albo w towarzyszącym mu wyrazie oczu czy poruszeniu warg Adam Nagórski odnajdzie nagle twarz młodziutkiej Celinki, nawet jej drobną sylwetkę, tak wzruszająco podobną wówczas do sylwetki Elżbiety, i może jeszcze strzep ciężkich drewnianych kłoców, przerzuconych ponad białym i bucącym w dole potokiem, także zarys twarzy Elżbiety zamajaczy, być może, w ciasnej przestrzeni, aby szybko jak oddech, jak lot światła zniknąć, wówczas Celinę Raszewską z pewnością poruszy, również jakby z tamtego czasu tu nagle przeniesiony, ciepły i serdeczny akcent, jaki zabrzmiał w jego głosie, gdy powie:

– Droga pani Celinko, moje życie całkiem inaczej się układało niż życie pani i wielu pani bliskich i znajomych, moje zaangażowanie, jak się to określa, także w pewnym okresie miało charakter nieco inny, to była tylko jedna z moich życiowych racji albo po prostu ról podejmowanych i porzucanych, może więc i nie mam prawa mierzyć cudzych doświadczeń miarą własnych, wydaje mi się jednak, że od najcięższych rozczarowań stokroć trudniejsze i wyniszczające człowieka jest poczucie bezsilności.

I to byłoby chyba wszystko, co z okazji tak niespodziewanego spotkania po trzydziestu kilku latach i w sytuacji tak pod każdym względem odmiennej będą sobie mieli do powiedzenia, bowiem oboje zdadzą sobie z pewnością w tym momencie sprawę, na jak zawile i śliskie tory zaprowadzić by ich musiał dalej w tym duchu prowadzony dialog, może ona jeszcze powie:

– Takim ludziom, jak pan, nie wolno mówić o bezsilności. Pan może nawet nie zdaje sobie sprawy, panie Adamie, jak wielu ma pan przyjaciół.

On natomiast, cokolwiek ona powie, bo to już będzie bez znaczenia, może zechce bezsilności obywatelskiej przeciwstawić żywotność towarzyską, mówiąc coś w tym rodzaju:

– No, i widzi pani, droga pani Celino, w jak bardzo inne aniżeli przez trzydziestu laty zabrnęliśmy tematy! Ciekawe, o czym będziemy rozmawiać przy spotkaniu następnym, o miłości czy o Polsce?

Wówczas ona, wiedząc, że nawet przy najłagodniejszym rozwoju choroby pracowicie wyniszczającej jej wewnętrzną pozostał jej nie więcej niż rok życia i uświadomiwszy sobie naraz, że najpewniej nigdy tego jedynego człowieka, którego raz pokochawszy, pokochała na całe życie, nigdy nie zobaczy, powie z uśmiechem:

– Pewnie o jednym i drugim. Jak dzisiaj!

Nie wydaje się bowiem, aby nawet w sytuacji tak wyjątkowej udzieliła sobie zuchwałego przyzwolenia i mogła powiedzieć, co następuje:

– Powiedziałam, panie Adamie, że wtedy, w Zakopanem, dużo się dzięki panu nauczyłam i wiele panu zawdzięczam. Nauczył mnie pan trudnego rozumienia miłości i całe życie, choć tylko na własny wyłącznie użytek, pozostałam temu rozumieniu wierna. Nieraz, w różnych okolicznościach myślałam, w jaki sposób i czym mogłabym się panu za ten wielki dar odwdziaczyć. Może to zabrzmieć banalnie, a nawet nieco śmiesznie w ustach starzejącej się kobiety, lecz kiedy słuchałam teraz pana mówiącego z takim smutkiem i goryczą, pomyślałam sobie, jak bardzo byłabym szczęśliwa, gdyby było w mojej mocy tyle panu ofiarować rozumienia nadziei, ile pan mi dał rozumienia miłości. Niestety, nie mam panu nic do dania, czuję się równie bezsilna, jak pan, a może jeszcze słabsza, bo mniej pragnęłam i mniej umiałam wziąć z życia niż pan i dlatego straciłam więcej.

Że jednak to wyznanie nigdy nie zostanie wypowiedziane, pozostając na zawsze niespełnionym urojeniem wśród gier również spełnienia lub niespełnienia oczekujących, należy ze względu na okoliczności – – – – –

W tym mało prawdopodobnym wyznaniu Celiny Raszewskiej (zresztą w tym, co mówi poprzednio) nie został uwzględniony fakt, iż Celina już zna od wczorajszego wieczoru esej swego syna o *Ostatniej godzinie* Nagórskiego, posiada więc świadomość, że uczucie jej, choć ukształtowane w Antku w sferze literackiego urzeczenia, doczekało się niejako kontynuacji, pamiętać, żeby ten moment uwypuklić w części II. Wydaje się, że Celina Raszewska, już zorientowana w tak bardzo osobistym stosunku Antka do twórczości Nagórskiego, wspominałaby w rozmowie o synu, raczej nie dlatego, żeby się nim chwalić, lecz żeby Nagórskiemu zrobić przyjemność. Natomiast Nagórski może nawet nie wiedzieć, że te czka, którą pod jego nieobecność (w południe, kiedy ma się odbyć ślub cywilny Konrada i Moniki) doręczył Urszuli Jaskólskiej nieznajomy chłopiec, zawiera esej młodego Raszewskiego, nie miałby bowiem, najprawdopodobniej, czasu, aby do pakietu zajrzeć.

Chyba nie wprowadzać tego wątku do dialogu Raszewska-Nagórski. Niepotrzebne komplikacje.

— — — więc tak się też najpewniej stanie, iż jeden z kelnerów, przywołany przez prezesową Panek, zbiegnie na dół w kuchenne rejony, podległe władzy oraz kunsztom mistrza Wiktora Kubickiego, i z korytarza otwierającego się na pomieszczenie, gdzie przy dużym stole posiłki będą sfoferzy, zawoła:

– Kierowca pana prezesa Panka proszony jest do samochodu!

Wówczas Wacek Gawlik niechętnie odburknie:

– Dobra, dobra, zaraz idę.

I do kolegów:

– Człowiek nawet zjeść spokojnie nie może przez takiego zasrańca.

– Wszedł na orbitę twój stary.

Na to Gawlik z akcentem pogardy:

– Stara mu pewnie kazała zjeżdżać do chałupy, żeby się nie kompromitował w dobrym towarzystwie, to ćwok, gdzie jemu na takie salony?

Natomiast Pan Młody do Panny Młodej, ponieważ znajdują się obok, w rozległej kuchni, zeszedli przed chwilą oboje, aby osobiście podziękować mistrzowi Kubickiemu za najwyższą doskonałość jego sztuki kulinarnej:

– Słyszałaś?

Monika do mistrza Kubickiego, który zakończy wprawdzie na dzisiaj pracę, lecz że po dokonanych trudach nie lubi zbyt szybko opuszczać terenu swych suwerennych poczynań, będzie właśnie odpoczywać, spokojnie pałac papierosa, jeszcze w obrzędowym kitlu i czepku:

– Nie wiem doprawdy, jak panu dziękować, wszystko było tak oszałamiające, więcej niż wspaniałe! Zgrabne i dowcipne!

Konrad Keller:

– Zdaje się, twoi rodzice wyjeżdżają.

Monika:

– To co?

– Wypadałoby ich pożegnać.

– Czy tak? Zawsze mi się wydawało, że skoro ktoś z gości chce przyjęcie opuścić, to albo czyni to dyskretnie, albo sam szuka gospodarzy, żeby się pożegnać, nie odwrotnie. Nie mam racji, panie Kubicki?

Na to mistrz:

– To zależy, proszę łaskawej pani. Księżna Róża Sulemirska z Białego Potoku, u której pracowałem w Rzymie po pierwszej wojnie, kiedy gościła u siebie osobistości spokrewnione z domami panującymi, znaczy książąt krwi, to chociaż sama bardzo wysoko urodzona i z Burbonami spokrewniona, zawsze osobiście takie osoby odprowadzała aż do drzwi wejściowych.

Keller:

– Widzisz, mistrz Kubicki lepiej od ciebie zna wielkoświatowy *savoir vivre*.

– Wielkoświatowy!

– Ostatecznie twój papa jest prezesem w randze ministra i był ambasadorem.

– Ale nie księciem krwi, a to chyba jest pewna różnica, czy nie tak, panie Kubicki?

Mistrz Kubicki:

– A owszem, owszem, różnica jest.

– Przepraszam – na to Keller – w naszym ustroju tytuł ambasadora albo ministra odpowiada mniej więcej randze księcia krwi, a w każdym razie księcia. Nie sądzi pan, mistrzu?

– I tak, i nie, proszę łaskawego pana. Minister, owszem, wysokie stanowisko, ambasador też, nie powiem, ale ministrem, łaskawy panie, można być i potem przestać, a jak się kto księciem urodził, to trudno, księciem umiera.

– Rozumiem! – wykrzyknie Keller, ujawniając swoją słynną, bo jemu tylko właściwą akcentację – przekonał mnie pan, mistrzu. Moniko, nie pójdziemy żegnać i odprowadzać do drzwi twoich rodziców. A panu, mistrzu, składając wszystkie należne dzięki, chcielibyśmy się chociaż skromnym drobiazgiem odwdziaczyć za chwile niezapomnianych doznań sztuki kulinarnej, jakie stały się udziałem i naszym, i naszych gości dzięki pańskiemu nieporównywalnemu artyzmowi. Słyszeliśmy, że ceni pan sobie szlachetny trunek zwany koniakiem, będziemy więc szczęśliwi, moja żona i ja, jeżeli przyjmie pan od nas na pamiątkę tę skromną butelczynę.

– A dziękuję, bardzo dziękuję łaskawym państwu. Napoleon, owszem, znam, wysoka marka, a koniak w ogóle trunek bogaty. Książę Białozierski-Biełosielski z rodziny Rurykowiczów, pracowałem u niego w Petersburgu jeszcze przed pierwszą wojną, zawsze kiedy się obudził rano, kazał podawać filiżankę mocnej kawy i kieliszek koniaku, mawiał przy tym: jak zaczniesz dzień od czarnej kawy i kieliszka koniaku, to go skończysz, nie obawiając się następnych. Dziękuję łaskawym państwu, owszem, zawsze sobie ceniłem i cenię dobry koniak, kilka lat temu świętej pamięci pan Cocteau, tak mu do smaku przypadł mój sposób przyrządzania sandacza, że i tutaj nie mógł się dość nachwalić, i potem z Francji przysłał mi trzy butelki Martela, kulturalny pan, znał się na wykwintnej kuchni.

– Słyszeliśmy coś o tym słynnym sandaczu – powie niechybnie Monika, której w swoim czasie opowiadał był o przyjęciu dla Cocteau w Jabłonnie Stefan Raszewski.

– O, to bogate danie – uśmiechnie się mistrz Kubicki – pełne finezji!

– Niech pan nam opowie, mistrzu, jak się to robi? – Monika dziewczęco złoży obie dłonie, jak do modlitwy – umieramy z ciekawości, to musi być szalenie dowcipne!

– Z pewnością – dołączy się i Pan Młody, choć bez szczególniejszych gestów, świadomy autonomicznych zalet swego głosu – będziemy szczęśliwi, jeśli zechce pan nas, profanów, wprowadzić bodaj na moment w tajemnice swojej sztuki. Wiemy, że przepis, to jeszcze nie wszystko, że i w

sferach służących radościom oczu, a przede wszystkim subtelnym uciechom smaku i powonienia, o efekcie końcowym decyduje sprawność duchowa, element inwencji, nowości, natchnienia...

– Konrad! – zniecierpliwi się prawdopodobnie Panna Młoda.

– Przepraszam, już się zamieniam w słuch.

Mistrz Kubicki:

– To jest danie, jak państwu wspomniałem, bogate i pełne finezji. Bierze się sandacza i wycina z niego długie wąskie paski mięsa. Następnie paski zwija się w ruloniki i układa na masło, po czym wkłada się je pod parę i polewa białym winem. Resztę ryby, po usunięciu ości, przeciera się w maszynce, a następnie przez jedwabne sito. Tak otrzymaną masę rozciera się ze śmietanką, aż powstanie puch. Do puchu dodaje się masła rakowego. Bierze się włoski makaron, i tnie na mniejsze kawałki. Tymi kawałkami wykłada się garnek po bokach i na spodzie, przyklejając makaron, aby się trzymał ścianek. Do środka wkłada się przygotowaną masę i ugniata po bokach, w środku zostawiając otwór. Do środka wsypuje się szyki radowe i pieczarki, po czym zakleja się otwór, wszystko razem znów idzie pod parę. Następnie wyjmuje się tę konstrukcję, która znajduje się jakby w koszyku z makaronem – i kładzie na półmisku. Naokoło okłada się rulonikami z sandacza i szykami rakowymi, smaruje ją masłem rakowym i polewa rakowym sosem. To wszystko!

– Fantastyczne! – zwołała Monika, dla podkreślenia stopnia podziwu kładąc mocny i przeciągle śpiewny akcent na pierwszą sylabę – tego się słucha, jak najpiękniejszej poezji.

Natomiast Konrad Keller tak najprawdopodobniej sformułuje swoje wrażenie:

– Ja też jestem wstrząśnięty. Dziękujemy, mistrzu. Szkoda tylko, że moja żona, nawet gdyby się jej przydarzyła podobna okazja, nie mogłaby nawiązać intymniejszego kontaktu z tym arcydziełem.

– Ja? A to dlaczego?

– Nie znosisz raków.

– Kto ci to powiedział?

– Jesteś uczulona na raki. Moja żona, mistrzu, ma dyspozycje alergiczne.

– A owszem, owszem, to się zdarza. Siostrzeniec księżnej Róży Sulemirskiej, Gucio, nie mógł dotknąć śledzia, a ambasador włoski w Paryżu, Toracci, po ananasie dostawał pokrzywki.

– Właśnie! – na to Keller – moją żonę po rakach wysypuje.

– No wiesz! – odpowie Monika, chyba z trudem hamując wściekłość – raz mi się zdarzyło, to niczego nie dowodzi.

– Jednak wstręt ci pozostał, przynajmniej tak kiedyś twierdziłaś.

– Och, zaraz wstręt! Ty zawsze niemożliwie przesadzasz! Poza tym wcale nie jestem pewna, czy te raki były wtedy całkiem świeże.

Mistrz Kubicki:

– O, raki nieświeże, to bardzo niebezpieczne danie.

Monika:

– W każdym razie jestem przekonana, że raki i to pod każdą postacią przez pana, mistrzu, przyrządzone, nie tylko nie mogłyby mi zaszkodzić, ale i na pewno musiałyby mi smakować. Pan jest prawdziwym czarodziejem, drogi mistrzu.

I skoro po ceremonii pożegnania, dzięki wspaniałości ruchu, z jakim poda staremu kucharzowi (rocznik 1885) dłoń do pocałowania, coś w rodzaju wykrzyknika kończącego długie i misternie zbudowane zdanie, opuści kuchenne pomieszczenie, jednak zostanie zmuszona do przedefilowania pod uważnymi spojrzeniami kilkunastu szoferów, więc przejdzie pod tymi ciężkimi spojrzeniami młodych przeważnie mężczyzn, doskonale piękna i równie doskonale nieosiągalna, z głową może nie dumnie, lecz w każdym razie śmiało wzniesioną, co i do wyeksponowania smukłej szyi przyczyni i olśniewające kształty wydekoltowanych ramion uwypukli, skoro się już zatem dokona owa defilada, wprawdzie krótka, lecz w treści i w formie mocna.

– Ale dupa! – tak chyba powie półgłosem i z akcentem szczerego podziwu młody kierowca prezesa Formińskiego.

– Nie dla ciebie – odpowie drugi z Komitetu Centralnego.

– Założmy się?

– Przymknij się, Rysiek – powie trzeci i nie jest wykluczone, że tym trzecim będzie kierowca Stefana Raszewskiego. – Ty myślisz, że każda jest kurwa.

– A może nie? Jak babka to lubi, to musi być kurwa, a że ona lubi, starczy spojrzeć.

Wtedy kierowca Raszewskiego rozważnie:

– Widzisz, Rysiek, ty jesteś młody i sprawa wcale nie tak stoi, jak ty sobie wyobrazasz.

– Do mnie nie masz po co trzymać chińskiej mowy – na to Rysiek – u mnie ta sprawa stoi, jak rakietka, tylko twój, stary, stoi chudo i babskiej dupy ideologicznie nie czuje.

Więc, gdy Monika, oczywiście nieświadoma kontrowersji spowodowanych swoją kobiecością, znajdzie się na przyciasnych schodach wiodących na salony, skąd dobiegać będzie muzyka oraz pogłos tanecznego falowania – zatrzyma się prawdopodobnie w połowie schodów, dzięki czemu Pan Młody, zachowując w tej powrotnej drodze z kuchennych rejonów skromny, choć nie nadmierny dystans, znajdzie się w stosunku do Panny Młodej o dwa, lub trzy stopnie niżej, zatem w sytuacji, w której ona, już ku niemu całą swoją pięknnością zwrócona, spokojna, prawie anielska, choć i cokolwiek wyniosła – w oczywisty sposób będzie nad nim górować, kto wie, czy tak całkiem nieświadomie stwarzając sytuację często w ostatnich czasach eksponowaną w zachodnich filmach, cóż bowiem prostszego, a zarazem i wizualnie przekonującego nad wykorzystanie konstrukcji schodów dla wywyższenia elementu kobiecego kosztem upokorzenia męskiego?, więc powie:

– Byłeś niebywale zgrabny i oszałamiająco dowcipny.

A on z pewnością jak najbardziej świadomy wszystkich rozlicznych kombinacji wynikających na schodach:

– A ty piękna i czarująco inteligentna. Jak zawsze.

– Jeżeli myślisz, że mało wybrednymi złośliwościami uda ci się zepsuć mi ten wieczór, to muszę cię zapewnić, że jesteś w błędzie.

– Ale chyba nie popełnię błędu, jeżeli powiem, że czujesz się szczęśliwa?

– Raczej popełnisz.

– Niemożliwe, Moniko, nie czujesz się szczęśliwa? Dzisiaj?

– Usatysfakcjonowana.

– Ach tak? To by oznaczało, że nasze intymne doznania nieco się rozmięją.

– Nieco?

– Ja osobiście czuję się szczęśliwy, ale bynajmniej nieusatysfakcjonowany.

– Szczęśliwy z powodu?

– Że jesteś moją żoną, kochanie.

– A nieusatysfakcjonowany?

– Przyczyna ta sama.

I chociaż Monika sama ten dialog sprowokuje, chyba w tym momencie, jakkolwiek konstrukcyjną specyfikę schodów będzie mogła zaliczyć na swoją korzyść, zbraknie jej riposty dość zgrabnej i dowcipnej, lecz że to będzie moment, to nie ulega wątpliwości, moment nie dłuższy od oddechu, wie bowiem, a raczej intuicyjnie posiada rozeznanie, że skoro się zabrnę w sytuację sztuczną, a też i niebezpiecznie podszytą ryzykownymi podtekstami, należy szybko taktykę zmienić i sztuczności przeciwstawić atakującą naturalność. Tak zatem, zarówno swoją sylwetkę (ekspozycja schodów okaże się w tym wypadku raczej utrudniona), jak i brzmienie głosu nasilając pożywną szczerością powie:

– Konrad, możesz mi szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie, ale naprawdę szczerze i uczciwie?

Pan Młody oczywiście wyrazi pełną w tym względzie gotowość, choć nie jest wykluczone, że z wielu racji wygodniej mu to będzie uczynić w konwencji dotychczasowej:

– Szczerze na pewno, ale uczciwie? To konieczne?

Jednak Monika mężnie sprostą ciemnym wirom, jakie nią niewątpliwie szarpną, uciszy owe dumne żywioły, domagając się pod nieobecność morderczego sztyletu co najmniej spoliczkowania wybrańca, i powie:

– Dlaczego ty się właściwie ze mną ożeniłeś?

I oto zgodnie z intuicyjnym rozpoznaniem Moniki naturalność rzeczywiście zatriumfuje nad sztuczną, lojalna pryncypialność pokona pozę, lecz również na moment nie dłuższy od oddechu, a w najgorszym dla Konrada rozstrzygnięciu – z dołączeniem wydechu. Pan Młody, jakkolwiek czujnością jak rycerską zbroją osłonięty, albo współcześnie: jak bokser na ringu czujnie wewnętrznie skupiony wobec poczynąń przeciwnika, tego ciosu nie przewidzi, o ścierwo! – pomyśli niechybnie i chociaż ani drgnie, ani blaskiem swych ciemnych i wilgotnych oczu nie umknie na stronę, przecież w koniuszkach uszu poczuje wzbierające ciepło, o ścierwo! – chyba jeszcze raz pomyśli i aby zyskać na czasie, spyta:

– Mam powiedzieć szczerze i uczciwie?

– Tak – na to ona i tylko tyle, bowiem w sekundzie ciszy, jaka po tym stwierdzeniu zapadnie, zrezygnuje z dodania: żądam tego.

Zatem Panu Młodemu chyba tylko naturalność pozostanie i rzeknie:

– Nie wiem.

I na miłość boską, ktoś się w tym momencie powinien pojawić na tych nieszczęsnych schodach, kładąc kres żenująco bezwstydnemu dialogowi nowożeńców, nie może to być, niestety, jak w teatrze chór komentujący wydarzenie przy pomocy harmonijnie uporządkowanych strof, ani Goniec przybywający z pola bitwy z ważnymi wiadomościami, i także nie żadna z głównych person rozgrywanego na salonach przedstawienia, trudno bowiem nawet wśród tak rozlicznych możliwości, jakie przechernie w swych rozluźnionych przestrzeniach przechowuje czas przyszły niedokonany, wyobrazić sobie, że tu i teraz objawi się w swym kształcie cielesnym Stefan Raszewski, Nagórski, mama Pankowa, czy choćby Eryk Wanert albo dyrektor Otockiego, nie! to prawie wykluczone, po cóż by mieli złączyć po tych schodach prowadzących w kuchenne rejony?, jakkolwiek trzeba stwierdzić, że wśród tych chwiejnych projekcji w przyszłość, wprawdzie nie nazbyt odległą, jednak w przyszłość, więc wśród tych chwiejnych i wieloznacznych zatarł się właśnie tu i teraz obiektywny układ pałacowych pomieszczeń, a przede wszystkim fakt, że schody, na których w drodze powrotnej z pielgrzymki hołdowniczej do mistrza Kubickiego znajdują się Pan Młody oraz Panam Młoda, owszem, rzeczywiście wiodą do kuchennych rejonów, lecz również tylko nimi się posługując można się z salonów przedostać do baru w owej zabytkowej piwnicy ze starymi freskami Antonia Tarelli, gdzie – jak to już zostało zaprojektowane – bawić się będzie młoda generacja przy fachowej obsłudze pana Edka Kubiaka (rodzonego brata Celiny Raszewskiej, tego, co to „zawsze miał osobne życie” i lokajował – choć nie tylko – Karolowi Wanertowi) zatem nie tylko któryś z kelnerów mógłby się na tych niefortunnych schodach zjawić, może to być i ktoś z weselników śpieszących ku świeżym źródłom życia, lub odwrotnie: ktoś z podziemi baru nagle spenetrowania salonów, czyli świata dojrzałości spragniony, wybór zatem bogaty, jakby powiedział sędziwy kuchmistrz, lecz i wybór konieczny, jeśli ów słowny pojedynek nowożeńców ma się nie przeciągać, wiodąc zbyt daleko w gąszcze, w chaszczę ryzykownych podtekstów, a zatem? niech by się może Ariel na schodach zjawił, oczywiście Marek Kuran, wydaje się bowiem, że jeśli ktokolwiek z tych w barze zechciałby przekornie nawiedzić salony, to właśnie ruchliwy i przedsiębiorczy autor *Leukocytów*, *Korytarzy i Akromegalii*, z pewnością Ksawery Panek będzie go usiłował zatrzymać, lecz jego próby osiągną najpewniej efekt odwrotny, może nawet z owych sprzeczności pomiędzy zakochanym i pozwalającym się adorować wyniknąć w półmrocznym korytarzyku krótka szarpanina, może również okazja do ponowienia wyznań oraz próba pocałunku, a może, jeśli się sytuacja dramatycznie zageści, zakłęcia i błagania w pozycji klęczącej wraz z całowaniem nieco wulgarnie ukształtowanych rąk adorowanego, lecz jakkolwiek owa scena przebiegnie – Ksawery Panek sromotnie, jak zwykle, przegra, natomiast Ariel z błyszczącymi oczami i krawatem z lekka przekrzywionym wkroczy na schody akurat w tym

momencie, gdy z ust Konrada padnie krótkie i akcentem szczerości oraz uczciwości podbudowane: „nie wiem!”.

– A ja wiem! – wykrzyknie młody poeta.

Nietrudno przewidzieć, że uczyni to w samą porę, rozładowując napiętą do ostateczności sytuację, a równocześnie w sposób niezamierzony stwarzając całkiem nowy układ inscenizacyjny z Panną Młodą, jak posąg piękności u szczytu, z Panem Młodym we fraku, nad którego czernią tym wyraziściej zaznaczy się nasilająca czerwień uszu i z samym sobą, duszkiem, którego krawat będzie co prawda nieco przekrzywiony, ładne oczy trochę nazbyt bezczelne, choć i umykające na bok, lecz cała aparycja schludna i miła, ujmująca chłopięcą młodością. I być może nie tyle właściwa mu skłonność do póż i zgryw, ile raczej instynkt kompozycji podszeptnie pomyśli, aby majestatycznej dumie reprezentującej szczytowy niejako element tej konfiguracji przeciwstawić tu, w dole, pierwiastek pokory, zatem pierwiastek, którego sens istotny najplastyczniej wyraziłaby postawa klęcząca, a może i świeże reminiscencje ze sceny, która mogła się dopiero co rozegrać w korytarzu, wpłyną na decyzję warszawskiego Ariela z roku 1969, dość, że Marek Kuran istotnie klęknie na schodach i gdy kształtną głowę, znajdującą się mniej więcej na poziomie dolnych partii frakowych spodni Pana Młodego, podniesie ku wyższym rejonom znakomitego aktora, wówczas – trudno! – sympatie ku harmonijnej kompozycji będzie musiał wzbogacić, rozbudować i przyozdobić, I powie żarliwie:

– Konrad, ty jesteś największy aktor, a ja jestem największy poeta!

Po czym rzeczowo stwierdzi:

– Ale uszy trzeba ci obciąć.

– Koniecznie? – spyta łagodnie Keller.

– Mówię ci, Konrad, ty jesteś największy aktor, a ja największy poeta. Tylko uszy trzeba ci obciąć.

Wówczas, cóż się wówczas może stać? Chyba jednak posągowe piękno u szczytu tej konfiguracji zamanifestuje swą żywą obecność i na krótkich falach wysokiego śmiechu nada następujący komunikat:

– Och, Marek, jesteś cudowny, zrób to, błagam cię, to będzie szalenie dowcipne!

Po czym, mimo długiej i obcistej sukni, wykona na stromych wysokościach zadziwiająco zręczny piruet i kiedy za moment ta sama nieporównywalna zwinność stóp uniesie ją ku sferom, skąd wciąż dobiegać będzie muzyka oraz pogłos tanecznego falowania, pozostawi po sobie tu w dole wrażenie, jakby nagle wniebowstąpiła, chociaż sama z pewnością by wołała, aby to odejście i zniknięcie skojarzyło się raczej z dramatycznym majestatem Lady Makbet, wchodzącej po schodach zamkowej baszty.

A osamotnieni: mężczyzna i chłopiec?

– Zepsuła zabawę – zmartwi się Keller.

Marek Kuran podniesie się z klęczek i starannie strzepnie ze spodni kurz.

– Solistka! – powie z akcentem litościwej pogardy – twoja żona, Konrad, interesuje się tylko sobą, a mnie to nie interesuje.

– Ja też się tylko sobą interesuję.

– Tobie wolno, bo ty jesteś wielki skurwysyn. Pochwal się, że jesteś.

– Przeważnie.

– Zawsze!

– Jeśli ci na tym zależy.

– Nie mendź, mnie na niczym nie zależy, ja bym się najchętniej położył jak dolina i spał.

– A góry?

– Mogą mnie pierdolić. Albo ja góry, mnie wszystko jedno. Bo ja, Konrad, skurwysynie, jestem krótkowidz, rozumiesz?

– Ty?

– Podwójny, również na umyśle, tylko na ten drugi defekt nie mogę sobie, kurwa, dobrać szkieł, rozumiesz!

– Domyślam się.

– Łzesz, Konrad, gównno się domyślisz. Skurwysyn jesteś, ale mnie nie przyłapiesz, bo ja jestem skurwysyn większy. Cześć!

I pewnie się moment zawaha, czy na tym wyprawy w świat dojrzałości nie zakończyć i nie wrócić do baru, jednak ciekawość rozlicznych możliwości oczekujących go na salonach chyba mu każe ku tamtym sferom podążyć, co też i uczyni, z pewną wszakże ociężałością wchodząc po schodach, nawet nieco przygarbiony, więc też jego kolejne zniknięcie nie będzie miało nic z wniebowstąpienia, co Keller ze swego punktu obserwacyjnego z pewnością odnotuje, lecz bez komentarzy, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa prawie natychmiast powinien się zjawić Ksawery Panek i wówczas pomiędzy szwagrami taki się wywiąże dialog:

– Widziałeś Marka?

– Jak najbardziej.

– Dawno?

– Właśnie odfrunął.

– Na górę?

– Dokładnie.

– Bardzo pijany?

– Nieee, nie robił wrażenia. Może leciutko.

– A co mówił?

– Był bardzo miły.

– Oczywiście! jak chce, potrafi być miły i dobrze wychowany.

– Ba! któż z nas zawsze chce być miły i dobrze wychowany?

– Boję się, że narozrabia.

A ponieważ szwagier nie znajdzie dość szybko kojącego pocieszenia, Ksawery Panek wyjmie z kieszonki smokinga białą chusteczkę i przetrze zwilgotniałe czoło.

– O Boże! żeby się to już wszystko skończyło.

Wszystko co? Weselne przyjęcie, niewolnicza miłość, rzeczywistość polska? Lecz Konrad Keller nie należy do tych, którzy lubią dotykać ran. Zamilczy więc dyskretnie.

A Ksawery:

– Idziesz na górę?

– Byliśmy z Moniką podziękować mistrzowi Kubickiemu, dużego formatu kucharz, prawda?

I pomyśl, on ma osiemdziesiąt sześć lat!

– Najchętniej bym się zalał.

– I spał jak dolina?

Z pewnością Ksawery się ocknie ze swojej dręczącej, jak senna zmora turbacji.

– Kto ci to powiedział?

– To wszystko przez pogodę, Ksawery. Gdyby była normalna wiosna...

– Kto ci powiedział: spał jak dolina?

– Ksawery, Ksawery! – powie Konrad Keller, wchodząc na wyższy stopień ciasnych i krętych schodów – wszystko byłoby inaczej, gdyby była wiosna, ciepło, bzy...

– Bzdura!

– Oczywiście – roześmieje się Pan Młody.

I gdy obaj znajdują się w blasku sali, gdzie pod ogromną kopułą, ucharakteryzowaną na niebo usiane gwiazdami, tańczyć będzie kilka par, trochę samotnych i zagubionych wśród niewspółmiernie rozległej przestrzeni, a w dalszej perspektywie rzeźbiście oświetlonych salonów zarysują się grupki poszczególnych gości, Ksawery Panek, mrużąc oczy oślepięte jasnością, poszuka sylwetki Marka Kurana, skoro zaś jej nie odnajdzie, jeszcze mocniej oczy przymruży i powie z akcentem pogardy:

– Małpi cyrk!

Chyba Pan Młody nie podejmie wątku, dla samego siebie zachowując ocenę sytuacji.

Natomiast usunięty karnie z Warszawskiego Uniwersytetu eks-asystent katedry historii filozofii współczesnej, uczuje wzmogoną potrzebę humanistycznego porozumienia:

– Tylko moi starzy mogli wpaść na pomysł, żeby urządzić coś takiego, oni plus moja siostrzyczka. Wybacz, Konrad, intencje mojej miłej rodziny doceniam, ale nie mogę pojąć, dlaczego ty się zgodziłeś na podobną szopkę.

Prawdopodobnie Pan Młody, wyzywając się humanistycznie w innej konwencji, ucieknie się do uniku:

– Czy nie przesadzasz? Ostatecznie to są wszystko przyjaciele, koledzy, znajomi, stale się widzimy, tyle, że dzisiaj wszyscy są akurat razem.

– Właśnie!

– A poza tym, gdzie znajdziesz w Warszawie mieszkanie z metrażem, który by mógł pomieścić tylu ludzi?

– Słusznie, kliniki psychiatryczne i więzienia też są przepełnione. Spójrz tylko! gdyby ciała tych ludzi były ukształtowane na podobieństwo ich życia, myśli i pragnień, to byśmy ujrzeli potwory, strzygi i maskary stokroć bardziej przerażające i ohydne od tych z Boscha i Goyi. Nas nie wyłączając.

– To uprzejmie z twojej strony.

– Przepraszam cię, tu wszyscy są chorzy, jedni na cynizm, tępą głupotę albo po prostu na nikczemność, a inni dali się wrobić, pozwolili, żeby im spreparowano pokraczne garby, żalosne grymasy, wykrzywione ryje, tu się w cztery oczy bełkocze albo skomli, drwi, szydzi, plotkuje i obmawia, zgnojone uciechy lokai i niewolników, śmichy-chichy kastratów, to jest nasza polska szczerłość, odwaga, fantazja i ukochanie swobody, ale za to sprawnie i bezwstydnie zaczyna się kłamać, gdy liczba oczu i uszu wzrasta, tu już nie ma żadnych konfliktów, żadnej zadry w brzuchu, kiedy się kłamie i co innego myśli na użytek własny, i co innego publicznie deklaruje. Konrad, to jest najokropniejsze, że tutaj prawie wszyscy stają się coraz gorsi, wzrasta oświata, podnosi się poziom cywilizacyjny i upowszechnienie tzw. wartości – kulturalnych, budujemy się, ludzie są chłonni, żywi, inteligentni i uwrażliwieni, otwarci na tysiąc zagadnień i z tym wszystkim stajemy się coraz gorsi. Adam powtarza przy każdej okazji, że w Polsce ludzie się kończą przedwcześnie i nie ma u nas znakomitych starców, naprawdę wciąż żywych i twórczych, że polską starość można tylko na piedestale ustawić i czcić w charakterze narodowego bóstwa, gdy już jest skamieniałe, wystygłe i nie ma obawy, aby się pewnego dnia nagle ocknęło, tak chyba rzeczywiście jest, ale sam nie wiem, czy to i w ogóle wszystko inne wynika z naszej pokręconej historii, czy też po prostu już tacy jesteśmy, urodzeni i ukształtowani na krótki oddech, efektowne, lecz szybko wygasające eksplozje, rozumiesz? nie to, że historia, ta przez duże H, gniecie nas, wysysa i wypacza, a my jesteśmy ofiarami i osiągnęlibyśmy niebotyczne szczyty, gdyby nie to albo tamto, sam nie wiem, ale wydaje mi się coraz częściej, że to wcale nie historyczne fatum wpędza nas w głupie sytuacje, w jałowość, nudę, beznadziejność, w owe mętne pustkowia, gdzie diabeł mówi dobranoc i gdzie tyle wysiłków, zamierzeń, planów i nadziei przypomina górę, która urodziła mysz, lecz my sami nie potrafimy historii tworzyć i społeczeństwa rozumnie kształtować, bo wszystko – inteligencja, wrażliwość, fantazja, uzdolnienia – wszystko wydaje się w nas wspaniałe, żywe i ponad przeciętną miarę bujne – tylko że tego jest mało, rozpaczliwie, zawstydzająco mało, starcza tego na błysk, na zryw, stumetrówkę, olśniewający wyczyn, błyskotliwą improwizację, a potem klops, braknie paliwa, wulkany wygasają, źródła się kurczą, ziemia jałowuje, najpiękniejsze drzewa próchnieją albo się je bezmyślnie ścina, i tak pokolenie po pokoleniu zaczyna się w tym kraju brawurowo, bohatersko, fajerwerki, pioruny i błyskawice, wielkie zapowiedzi i nadzieje, a potem „wiek męski, wiek kłęski”, bezcenne energie już się wyczerpały, były diamenty, został popiół, „ostał ci się ino sznur”, tyle że potem trzeba żyć, natura nie udziela ludziom owej wspaniałomyślnej i litościwej łaskawości, dzięki której efemerydy pustynne, spełniwszy swój przyśpieszony byt roślinny, umierają i giną, ludzie muszą

żyć, zresztą chcą żyć bez względu na to, czy mają ku temu dostateczne racje i zasoby, wydaje mi się nawet, że tylko wewnętrzne bogactwo pozwala ludziom godzić się na śmierć albo śmiercią płacić, nędzarze kurczowo życia się trzymają, chcą się urządzać, stabilizować, podnosić stopę życiową – bawić się, ubierać, kochać, rozmnażać, kupować auta, lodówki, telewizory, adaptery, magnetofony i motocykle, wspinać się po śliskich szczeblach kariery, rozkazywać, reprezentować, choć już w głowach pusto i ciemno, i dwa razy dwa jest pięć...

I chyba zmęczony tym trochę nazbyt gwałtownym potokiem słów (jeśli takie lub w podobnym duchu utrzymane kwestie rozpowszechnia Ksawery Panek w swojej kawalerce na Mokotowskiej wobec młodzieżowego audytorium – Stefan Raszewski, odpowiedzialny przed Biurem Politycznym za odcinek kultury i ideologii, czyż nie musiał, powodowany starym koleżeństwem, ostrzec ojca?), niepokojąco chaotycznych, jak na utalentowanego adepta filozofii, chyba poczuje się zmuszony do ponownego sięgnięcia po białą chusteczkę i przetarcia wilgotnego czoła, a nie jest też i wykluczone, że w tym właśnie momencie, gdy delikatną, o długich, kobiecych palcach dłoni podniesie do czoła, łagodząc tym ruchem nazbyt dla swych wrażliwych oczu ostry blask kryształowych żyrandoli – dostrzeże gdzieś w głębi wdzięczną sylwetkę Ariela, i wówczas zblednie, dłoni mu zadrży, serce mocniej zabije, a Polska, jak stary, wyleniały orzeł, ciężko znad skalnego urwiska podrywający się do lotu, wyfrunie mu z głowy. Będąc jednak pewny, że i szwagier dostrzeże Marka Kurana, bowiem oczadzeni miłością nie tylko sami widzą świat w zarysach zniekształconych, lecz i bliźnich w magiczny krąg tego szaleństwa muszą wciągać, więc tak przejęty nagłym odnalezieniem Ariela, będzie przekonany, że musiało się ono stać udziałem również Konrada, zatem opanuje pierwszy odruch, aby pobiec ku wybranemu natychmiast, realizując w ten sposób starożytną potrzebę połączenia się z drugą swą połową stanowiącą niegdyś wespół z nim, przed okrutnym odcięciem, jednolity żywioł, stłumi zatem to metafizyczne wzruszenie i wciąż z białą chusteczką przy czole i uwrażliwionymi oczyma związany z wiadomym dalszym planem powie:

– Wiesz, co powiedział Jan Kazimierz, kiedy po abdykacji dowiedział się o elekcji Michała Wiśniowieckiego? „Dlaczego wybrali tę beczkę piwa?” I rzeczywiście, wybrali najgorszego. Churchill miał rację, kiedy napisał, że Polacy są „najdzielniejsi spośród dzielnych, ale zbyt często prowadzeni przez najnikczemniejszych z nikczemnych”.

Być może Keller, akurat dostrzegłszy Monikę rozmawiającą ze Stefanem Raszewskim na progu tzw. pokoju ze schodami (garnitur czeczotowy z kanapą, stołem, fotelami i krzesłami, intarsjowany ciemnym drzewem, Polska około 1820; świecznik empirowy, drewniany, złożony, Polska około 1810; kopia obrazu Januarego Suchodolskiego – *ks. Józef Poniatowski, skaczący na koniu w nurty Elstery*), zaryzykuje i z zachowaniem wszelkich ostrożności wkroczy na tę śliską ścieżkę:

– Bywają rządy narzucone.

– Owszem – na to Ksawery – tylko najpierw trzeba doprowadzić do sytuacji, w której rządy mogą być narzucone. Kto winien? Zawsze wolę powiedzieć: ja! Konrad, my jako społeczeństwo jesteśmy czymś w rodzaju skały, której zbrakło nagle lepiszcza, wiesz, to jest rodzaj skalnego spoiwa, dlatego stajemy się coraz gorsi. A zresztą po co to wszystko? To tylko gadanie, słowa, słowa, i tak nic nie zmienimy. Ty masz sytuację trochę inną.

– W sensie?

– Konrad, Konrad, taki inteligentny i chyba nic nie rozumiesz albo zrozumieć nie chcesz. Nawet nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że gdy wchodzisz na scenę albo się pojawiaasz na ekranie czy w telewizji, od razu zaczynasz wytwarzać pomiędzy zbiorowością widzów owo zanikające lepiszcze. Władza nieudolna i dyktatury mają absolutną rację, że w stosunku do sztuki są podejrzliwi.

I gdy wraz z tym mało odkrywczym stwierdzeniem odejmie dłoni od czoła (i tak zbyt długo wykonywać będzie te manipulacje, świadczące o zmęczeniu i nerwowym wyczerpaniu) i białą chusteczkę z powrotem umieści w kieszonce smokinga, a potem, już pod drażniącym blaskiem świateł, niespokojnie wzrokiem podąży w wiadomym kierunku – chyba tak się stanie, że ruchliwy

Ariel znikanie z pola jego widzenia i wówczas Ksawery poczuje się tak śmiertelnie znużony, iż zaproponuje szwagrowi:

– Napijemy się?

– Chętnie, ale może za chwilę – odpowie Keller – nie zapominaj, że gram rolę gospodarza, tekst mam wprawdzie nie najlepszy, mimo to nie chciałbym, aby to była moja rola najgorsza, całkiem uniemożliwiająca wytwarzanie się społecznego lepszycza.

Na progu pokoju ze schodami Stefan Raszewski:

– Nie miałem jaszczce okazji złożyć pani moich najlepszych życzeń. Cieszę się, że mogę to uczynić teraz.

Trudno wobec dwuznacznej sytuacji apodyktycznie zdecydować, co Panna Młoda odpowie i jaki kierunek zechce rozmowie nadać, czy zachowa się konwencjonalnie, pamiętając wszakże, że życzenia składa nie tylko przyjaciel ojca, lecz również osobistość w pewnym sensie oficjalna, zajmująca w hierarchii partyjnej wysokie stanowisko, czy zatem swoją kwestię utrzyma na płaszczyźnie czysto towarzyskiej z uwzględnieniem okoliczności oraz personaliów, a z pominięciem wszelkich akcentów natury osobistej, zamykając w ten sposób nieodległą przeszłość niejako ostatecznie, a i z drugiej strony dając do zrozumienia, że co było – nie powróci, czy też odwoła się do aluzyjnej gry, aby dać temu bezwzględnie męskiemu żywiołowi szansę nawiązania intymniejszego dialogu, bowiem, najprawdopodobniej, po świeżych emocjach figuralnej sceny na schodach, skoro pewnie natychmiast podejdzie do niej Stefan Raszewski, nie zdąży sobie uświadomić, że w jakiegokolwiek manierze skwitowałaby uprzejme życzenia eks-kochanka, on i tak pokieruje rozmowę, jak zechce. Przecież biorąc pod uwagę charakter Panny Młodej, a również przebieg rozmowy z Panem Młodym uwzględniając, wreszcie i inne, może jeszcze mgliste, a może i nie tak bardzo mgliste plany życiowe oblubienicy włączając do ogólnego podsumowania elementów istniejących, nie popełni się chyba wobec tajemnic czasu przyszłego szczególniejszego nadużycia, jeśli się podejmie pewne ryzyko i na życzeniową deklarację Raszewskiego zostanie Monice podrzucone pytanie:

– Zna pan pewne przysłowie?

– Zależy jakie?

– Kto przychodzi ostatni...

– Ten zjada ostatki?

– Ten jest piękny i gładki!

Po tak błyskotliwej intradzie Monika z pewnością zwycięsko wytrzyma uważne, choć bynajmniej nie natarczywe spojrzenie Raszewskiego. On zaś po chwili napiętego milczenia:

– Nie znam się na przysłowiacz, ale pani się pomyliła.

– Doprawdy?

– Kto zjada ostatni, ten jest piękny i gładki.

– Rzeczywiście, ma pan rację! Ale to właściwie na to samo wychodzi, sens podobny.

– Niezupełnie. Zjadać ostatki potrafi byle dureń. A przyjść ostatnim...

– Znaczą zwyciężyć?

– Zależy **kto** przychodzi ostatni. I **kiedy**.

– Mówi pan jak polityk.

– Na razie jak mężczyzna.

Znów chyba nastanie moment ciszy. Lecz gdyby się zdarzyło (a dlaczego miałoby się nie zdarzyć?), że dyrektor Teatru Stołecznego i Eryk Wanert znaleźliby się gdzieś nieopodal, Monika z pewnością by to zauważyła i zawołała w ich stronę:

– Halo, chłopcy! Jak się bawicie?

A skoro chłopcy podejda, na progu pokoju ze schodami utworzy się grupa – natychmiast przez wiele osób dostrzeżona, szybkimi komentarzami podstemplowana i podana dalej.

Monika:

– Jak wam leci?

– Świetnie – odpowie dyrektor Otockki – pracowaliśmy.

Po czym wewnętrznym i chyba automatycznie działającym magnetyzmem poruszony zwróci się ku Raszewskiemu:

– Kolega Wanert przedstawił mi właśnie, towarzyszu Raszewski, swoją koncepcję *Makbeta*. Wydaje mi się bardzo interesująca i odkrywczą.

Raszewski, który w ubiegłym roku ostro skrytykował ostatni film Wanerta *Zagubieni* i sprawił, że to wybitne dzieło znakomitego reżysera nie weszło na ekrany, teraz, jak się zdaje, słowem ani spojrzeniem nie zachęci dyrektora Teatru Stołecznego do dalszych wyjaśnień. Natomiast niewątpliwie uczyni to Monika:

– Szalenie dowcipni jesteście! Dlaczego mnie nie było przy tej rozmowie, zdaje się, że i ja jestem w tej historii zainteresowana?

– Wybacz, Moniczko – na to Otockki – ale rozmowa po prostu się zaimprovizowała. Wiecie oczywiście, towarzyszu Raszewski, że kolega Wanert ma u mnie robić *Makbeta*?

– Słyszałem – odpowie krótko Raszewski.

Otockki:

– To bardzo obecnie typowe zjawisko, że wybitnych filmowców pociąga i interesuje teatr. Kazan i Bergman zaczęli co prawda od teatru, ale Visconti, Peter Brook...

Wanert:

– Peter Brook...

– Oczywiście! – Otockki wyminie łatwo i tę mieliznę – ale zjawisko jest typowe. Jestem jak najdalszy od niedoceniań filmu, ale mimo wszystko teatr pozostanie teatrem, teatr daje artyście inne możliwości, przede wszystkim bezpośredni kontakt z widzem, a to z punktu widzenia psychologii twórczej...

Wanert:

– Nie wiem, czy w moim wypadku można mówić o psychologii twórczej, poprzez moje filmy też mam kontakt z widzem. A jeżeli teraz chcę coś robić dla teatru, to po prostu dlatego, że w filmie nie mam na razie nic do roboty.

Po tym mało samokrytycznym i nieprzemyślanym do końca stwierdzeniu Wanerta sytuacja mogłaby się stać cokolwiek drastyczna, gdyby dyrektor Otockki dzięki swemu wewnętrznemu magnetyzmowi nie zareagował bezbłędnie. Całym ogromnym i ciężkim ciałem zwrócony ku swemu biegunowi, przecież Monice przekazuje niniejsze oznajmienie:

– Wiesz, Monika, Eryk uważa, że pani Makbet powinna być blondynką.

– Nie! – wykrzyknie Monika – chcecie mi zmienić upierzenie? To straszne! Jak ja będę wyglądać w jasnej peruce?

– Cudownie! – uspokoi ją Otockki, wciąż jak igła busoli, owej przewodniczki zbłąkanych, ustawiony właściwie. – Nic się nie martw, nowe perspektywy otworzą się przed tobą, jak się zmienisz w blondynkę.

Lecz Monika nazbyt jest sobą, aby tak łatwo zaakceptować zmianę kolorytu.

– Nie, to koszmarnie! Eryk, nie możesz mi tego zrobić, naprawdę uważasz, że to konieczne?

– Bardzo wskazane – odpowie grzecznie Wanert. – To wynika po prostu z tego, jak ja widzę postać Lady Makbet.

Chyba jednak Stefan Raszewski uzna za wskazane zaznaczyć, że jest.

– Mam nadzieję, panie Wanert, że na tekście szekspirowskim nie zamierza pan dokonać równie ryzykownych zabiegów, jak na włosach naszej utalentowanej artystki?

Otockki:

– Mogę was zapewnić, towarzyszu Raszewski...

Lecz Wanert mu przerwie:

– Reżyserowanie zawsze jest pewnego rodzaju zabiegiem.

Raszewski:

– Słusznie, zależy tylko, czemu, względnie komu, podobny zabieg służy. W ostatnich latach dokonywano u nas na tekstach Szekspira i nie tylko Szekspira różnych zabiegów, niektóre były nawet bardzo efektowne, a ich wymowa ideowa i polityczna budziła poważne zastrzeżenia. Wszelkie próby tak zwanej aktualizacji Szekspira, próby odczytywania problemów historycznie odległych, jakby dotyczyły naszej współczesności i naszych konfliktów są obiektywnie błędne, niezgodne z właściwym, naukowym rozpoznaniem rzeczywistości, a wykorzystywane bywają przede wszystkim przez naszych wrogów.

– Niestety, tak jest – westchnie Otocki.

– Oczywiście, rozwoju twórczości nie można pobudzać przy pomocy rozkazu, twórczość nie toleruje podejścia formalno-biurokratycznego, drobiazgowej kurateli i reglamentacji. Owocny rozwój nauki, literatury i sztuki wymaga występowania różnych szkół i kierunków, różnych stylów i rodzajów współzawodniczących między sobą, ale jednocześnie złączonych jednością ideową i światopoglądową.

– No, dobrze! – powie Monika, nagle w naiwne dziewczątko przeobrażona. – Ja jestem tylko aktorką i nie znam się na polityce, ale, powiedzcie, tylko, błagam, poważnie, czy dla jedności ideowej i światopoglądowej konieczne jest, żebym grała Lady Makbet z utlenionymi włosami? Dlaczego się śmiejecie? Okropni jesteście! Gdyby o coś podobnego spytał Konrad, to byście cmokali z zachwytu, jaki on jest intelektualista, natychmiast chwytający istotę każdego problemu, nowoczesny, już sama nie wiem co. A jak pytam ja, to myślicie, że jestem idiotka i śmiejecie się.

Chyba jednak w tym momencie Owocki, korzystając ze swoich ojcowskich niejako uprawnień, jako starszy pan oraz dyrektor, obejmie Monikę i ojcowski pocałunek złoży na jej czole.

– Cudowna jesteś, Moniczko!

Monika nadąsana, jak mała dziewczynka:

– Czy ten pocałunek ma oznaczać przyznanie się do winy?

Otocki:

– Więcej, podziw i zachwyt.

I do Raszewskiego:

– Mogę was, towarzyszu Raszewski, zapewnić całym moim doświadczeniem teatralnym, że pani Monika Panek w roli jasnowłosej Lady Makbet będzie jedną z największych rewelacji artystycznych dwudziestopięciolecia.

Potem, gdy znów będą sami i jeden krok Raszewskiego do tyłu sprawi, że znajdą się oboje wewnątrz pokoju – Monika:

– Myśli pan, że on to serio powiedział?

Zamiast odpowiedzi Panna Młoda poczuje na szyi gorący oddech, a gdy spojrzy, na swego partnera – dostrzeże w jego pociemniałych oczach aż nadto dobrze znany poblask. Więc chyba się jednak złęknie i szepnie:

– Uważaj, widać nas.

– Nie wymkniesz mi się – powie.

– Patrz na nas.

– Nie wymkniesz mi się – powtórzy głosem nieco schrypniętym.

I nie jest wykluczone, że plecami do sali, zasłaniając w ten sposób Monikę, chwyci jej rękę i mocno w przegubie ściśnie.

Wówczas ona:

– Puść, będę miała siniak.

– Jutro o szóstej, tam, gdzie zawsze, tak?

– Nie wiem.

– Kłamiesz, dobrze wiesz, że przyjdiesz, bo też tego chcesz. Chcesz?

– Może.

– Nie może, na pewno. Tak?

Wiedząc, że to **tak** powie – zmusi się jednak, aby ten moment jeszcze odwlec, lecz to, czego będzie pragnąć, okaże się w niej silniejsze. I dopiero, gdy powie: **tak** – usłyszy je.

Wówczas Raszewski puści jej rękę i cokolwiek się cofnie.

– No, widzisz! Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Po co to wszystko zrobiłaś, idiotko! Bardzo prawdopodobne, że odpowie słowami męża:

– Nie wiem.

Lecz w przeciwieństwie do niej samej z figuralnej sceny, on uzna tę wypowiedź za wysoce zadowalającą, przywoła bowiem przechodzącego kelnera i do gabinetu, który dawniej był sypialnią brata królewskiego, Księcia Prymasa, każe podać butelkę szampana.

Ponieważ dyrektor Otocki opuści wraz z Wanertem pokój ze schodkami w krzepiącym przeświadczeniu, że Raszewski, akceptując Monikę w roli dziewczęcej i jasnowłosej Lady Makbet, udziela tym samym swego *placet* również i sztuce, a przede wszystkim kontrowersyjnej osobowości Wanerta, a jemu samemu ze względów prestiżowych szczególnie będzie zależeć, aby sławny reżyser filmowy sprezentował<sup>35</sup> swój debiut teatralny właśnie w Teatrze Stołecznym za jego dyrektury, nieobdarzanej, jak dotąd, w środowiskach artystycznych sympatią i poparciem – pochyli swoje ogromne ciało ku drobnemu Erykowi i kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu, spyta konfidencjonalnie:

– Napijesz się?

Co zabrzmi, jakby chciał powiedzieć: musisz przyznać, że jestem porządny chłop.

– Chyba nie – odpowie najpewniej Wanert – mam dość.

Na to Otocki:

– To ja się napiję.

I pociągnie go ku najbliższemu bufetowi.

– Może jednak? Jedną whisky?

Jeśli Wanert dojrzy w tym momencie w głębi sali wysmukłą, wciąż jeszcze, mimo siwiejących włosów młodzieńczą sylwetkę Adama Nagórskiego, z pewnością przygryzie nerwowo dolną wargę, ponieważ widok pisarza odświeży w nim jeszcze niezasklepioną ranę: ostateczne przed paroma miesiącami odrzucenie scenariusza według ostatniej powieści Nagórskiego *Ostatnia godzina* – już od kilku lat marzył, aby ten film nakręcić i choć ów długi i wielopłaszczyznowy monolog umierającego Leonarda stawiał przed nim, jako reżyserem, trudności, przekraczające niemal wszystkie możliwości ekranizacyjne, wiedział, posiadał pewność, choć niepozbawioną dreszczy niepokoju, że nakręciłby film naprawdę wielki.

– No? – skusi jeszcze raz Otocki. – Może jednak?

Wanert przestanie na moment przygryzać wargę i odpowie:

– Niech będzie.

– No widzisz! – ucieszy się Otocki. – Z wodą?

– Wszystko jedno.

Potem Otocki:

– Zdrowie twego *Makbeta*, Eryk!

Wanert bez entuzjazmu podniesie szklanke, natomiast Otocki wypróżni zawartość swojej łąpczywie, jakby to był orzeźwiający tonik.

– To prawda, że Raszewski zatrzymał twoich *Zagubionych*?

– Prawda.

– Rozmawiałeś z nim?

– Rozmawiałem.

– Kiedy?

---

<sup>35</sup> sprezentować – tu: zaprezentować. [przypis edytorski]

- Dawno, jeszcze w październiku.
- No, moment nie był najlepszy. Czechosłowacja, Zjazd Partii...
- A znasz taki moment, który byłby dla nich dobry?

Otocki raczej uchylił się od odpowiedzi i aby zastąpić niewypowiedzianą kwestię pożyteczną treścią, zażąda od kelnera czuwającego przy bufecie jeszcze jednej whisky.

Szybko i sprawnie obsłużony, wróci do przerwanej rozmowy:

- I co ci powiedział?
- Mniej więcej to samo, co oni zwykle mówią, kiedy ma być na nie. Peryferyjne problemy, nietypowe, pesymizm, jednostronny, subiektywny obraz rzeczywistości, niedostrzeganie głównego nurtu historii, potem krótki wykład o podziale świata, o toczącej się walce i potrzebie zaangażowania po stronie postępu i wolności, no, co jeszcze? Przecież ty to dobrze znasz.

– Nie martw się, stary, Raszewski nie jest najgorszy.

– Możliwe. Byłaby to nawet pewna pociecha, gdyby ci najgorsi byli odrobinę lepsi.

– Raszewski nie jest przede wszystkim głupi facet, tylko musi dbać o linię Partii. A ciebie w gruncie rzeczy bardzo ceni, wiem to na pewno.

Wanert wstrząśnie kostkami lodu.

– Wolałbym, żeby i mnie mniej cenił, i o linię Partii mniej dbał.

– Myślisz, że to od niego zależy?

– Wiem, że nie od niego, ale, wybaczone, mnie już od tego wszystkiego mdli. U nas są winni tylko ci, którzy robią rzeczy naprawdę wartościowe i usiłują coś zmienić na lepsze. A reszta? Sami niewinni!

– Nie irytuj się, szkoda nerwów, i tak nic nie zmienisz.

– Wiem – odpowie Wanert i chyba tym razem wypije swoją whisky do dna.

Może pomyśli: nic nie zmienię i dlatego, że tak myślę, nigdy nie zrobię nic wielkiego.

A Otocki naraz:

– Poczekaj, Eryk, coś ty przed chwilą powiedział?

– Że wiem, że nic nie zmienię. Niestety!

– Nie, nie to, przed tym! Że wolałbyś, żeby Raszewski mniej cię cenił i mniej dbał o linię Partii. Powiedziałeś tak?

– Możliwe.

– Człowieku! Przecież gdyby on rzeczywiście mniej dbał o linię Partii, ciebie musiałby cenić jeszcze wyżej. Napijesz się?

Wanert, przygryzając dolną wargę, potrząśnie głową. I gdy dostrzeże nieopodal znajomą twarz, powie szybko:

– Przepraszam cię, muszę się z kimś przywitać.

Porzucony tak nagle Otocki podąży wzrokiem za odchodzącym i z pewnością od razu się zorientuje, że Wanert zmierza ku Romanowi Gorbatemu, który samotnie będzie stać pod ścianą, tuż obok popiersia z białego marmuru przedstawiającego ks. Józefa Poniatowskiego. Stwierdziwszy to, Otocki szybko odwróci głowę i zajmie się swoją whisky, po czym bardziej niż zazwyczaj ocieżyły, z obwisłą twarzą i nazbyt długimi rękoma kołysząc jak wiosłami, odejdzie w przeciwną stronę, a ponieważ poczuje się cokolwiek pijany, więc z przesadną starannością będzie nawiązywać swymi ogromnymi stopami kontakt z posadzką.

Zatem Eryk Wanert przywita się z Gorbatym.

– Jak się masz, Roman? Dawno się nie widzieliśmy.

Być może pierwszym odruchem Gorbatego byłaby odpowiedź: nie szukałeś mnie, lecz z pewnością nie powie tego, może tylko jego niebieskie, bardzo słowiańskie oczy lekko pociemnieją i nerwowym ruchem lewej dłoni odgarnie z czoła niesformą grzywę ciemnych, prawie granatowych włosów, pewnie powie:

– Nigdzie nie bywam.

Chwilę będą prawdopodobnie milczeć, obaj trochę zakłopotani, bo rany, jakie zadaje ludziom zdeprawowana władza, czynią niekiedy jednostkę równie osamotnioną i cokolwiek wstydliwą, jak osamotnionym i wstydliwym staje się człowiek, gdy jego organizm zatrucha i rozkłada śmiertelna choroba.

Wreszcie Gorbaty, znów odgarniając włosy z czoła, spyta:

- Kręcisz co?
- Mam robić *Makbeta* w Stołecznym.

Gorbaty ożywi się:

- Z Konradem?
- Oczywiście.
- A Lady Makbet?
- Pewnie Monika.

Gorbaty skrzywi się.

- To gorzej.
- Wiem.

I znów zamilkną. Wreszcie Wanert:

- A ty, Roman?
- Ja? Jem, trawię, chodzę na długie spacerzy, czytam kryminały.
- To prawda, że chcesz wyjechać?
- Moja żona i syn chcą.
- A ty?
- Nie wiem. To znaczy wiem, ja wyjechać nie chcę, ale chyba będę musiał.

I po chwili:

– Zrozum, człowieku, bez teatru nie potrafię żyć, muszę mieć scenę, aktorów, dekoracje, światła, tylko to jedno umiem robić, bez tego staję się suchy i drętwy, jak patyk. Przecież mam czterdzieści pięć lat, najlepszy wiek, mam siebie dobrowolnie skazać na wegetację? Jeszcze rok, dwa takiego życia, jak ten rok ostatni, i będę trupem.

- Może się coś zmieni – powie Wanert bez przekonania.
- Wierzysz w to?
- Nie – odpowie Wanert.

Gorbaty:

- Miałem ostatnio kilka propozycji, z Oslo, z Kolonii.
- I co?

– Nic, dano mi wyraźnie do zrozumienia, że owszem, mogę wyjechać, ale tylko na papierach emigracyjnych.

Chyba tylko moment alkoholowego zamroczenia sprawi, że Ksawery Panek, poszukujący na salonach swego Ariela, nie wycofa się roztropnie, gdy w nadziei odnalezienia drogocennej zguby przekroczy próg dawnej sypialni brata królewskiego, Księcia Prymasa. Poza tym, gdyby wiedział, że z pociemniałego obrazu na ścianie spoglądają na niego oczy książęcego protoplasty, nie powiedziałby prawdopodobnie: przepraszam, czy nie przeszkadzam?, jakkolwiek – nie należy tego drobiazgu zbagatelizować – w głosie jego zabrzmiał akcent ironiczny, nawet impertynencki, jak gdyby duchy dawnych panów tego domostwa, nie mogąc jawnie zalegalizować potomka z nieprawego łoża, zrodzonego z manikiurzystki od „Ewarysta”, córki drobnego sklepikarza z ulicy Zielnej, chociaż w ten sposób, zasilając pańską intonację głosu, pragnęły go wspomóc. Oczywiście, bez odwoływania się do źródeł tak mglistych, można wytłumaczyć arogancki ton Ksawerego chwilowym, jak już wspomniano, zamroczeniem, ową zaczepnością tak często ujawnianą pod wpływem alkoholu przez ludzi delikatnych i wrażliwych, tak też niewątpliwie odczuwają to Monika i Stefan Raszewski, właśnie

dla spełnienia wiadomego toastu podnoszący do ust kieliszki z pieniającym się trunkiem. Wielki Boże! Gdzież tu miejsce na fluidy arystokratycznych przodków?

Monika spod portretu księcia Poniatowskiego:

– Czemu miałbyś przeszkadzać?

– Pytasz? Tu wszyscy przeszkadzają wszystkim.

Stosunki pomiędzy rodzeństwem nigdy nie były dobre, wzajemnie i szczerze sobą pogardzali, nawet z domieszką obopólnego obrzydzenia, więc może właśnie dlatego, uwzględniając szczególny charakter sytuacji, Monika zdecyduje się odegrać rolę kochającej siostry:

– Napijesz się z nami? – spyta z miłym uśmiechem.

A Stefan Raszewski, jakkolwiek z nieco innych powodów, z pewnością ją poprze i jak uprzejmy gospodarz naleje szampana do wolnego kieliszka, po czym – z własnym w ręce prawej, ten drugi poda dłonią lewą i z gościnnym gestem Ksaweremu.

– Prosimy – powie.

Na tak sielski, zgoła familiarny nastrój Ksawery Panek nie będzie, jak się zdaje, przygotowany. Stojącemu na progu, z wrogim i nienawistnym tłumem poza plecami, przestrzeń paru metrów lśniącego parkietu, jaka go będzie oddzielać od siostry i Raszewskiego (też szwagra?), wyda się naraz zbyt trudna, prawie niemożliwa do przebycia, poślizgnę się – pomyśli, i sięgnie do kieszonki smokinga, aby chustką przetrzeć zwilgotniałe czoło, lecz i ten zabieg – dla osób postronnych naturalnie niedbały – nie przyniesie mu ulgi. Boże – pomyśli – niechby zginął, na zawsze przepadł ten przeklęty chłopak, Boże, jakbym go chciał zobaczyć w trumnie, rozgrzanymi od potu oczyma patrzeć będzie na parę stojącą w niebezpiecznym oddaleniu przy czeczotowym stole, na te znane sylwetki, teraz groteskowo zniekształcone, z twarzami wydłużonymi jak pyski zwierząt i z rękoma ciężko zwisającymi wzdłuż nieforemnych ciał, i nagle, jakby ów obraz wydzielał ostrą woń amoniaku, otrzeźwieje, a przynajmniej wyda mu się, że wytrzeźwieiał.

– Wasze zdrowie! – powie, podnosząc kieliszek podany gospodarską dłonią Raszewskiego.

– Strasznie to zgrabnie z twojej strony, Ksawery – na to Monika. – Szkoda, że nie ma Konrada.

Ksawery:

– On wytwarza teraz społeczne lepszczce. Wasze zdrowie!

Raszewski trochę nieopatrnie, a może i świadomie, żeby wilka wywołać z lasu:

– Co wytwarza?

– Społeczne lepszczce.

Monika:

– Co to jest? Coś do jedzenia?

– Wyłącznie – na to Ksawery. – Niestety, dzięki trudnościom obiektywnym jest to produkt bardzo rzadki i trudny do nabycia. A wie pan, co to jest kamptokornia?

Tym razem Stefan Raszewski zachowa chyba postawę wyczekującą, może co najwyżej ostrzegawczy chłód pojawi się w jego oczach i uprzejmy rodzinny uśmiech zniknie z twarzy, co sprawi, że mimo fizycznej bliskości spojrzenie jego ogarniać będzie Ksawerego uważnie i czujnie, lecz z dystansu bardzo odległego. Wówczas Ksawery, może znów za wstawiennictwem opiekuńczych przodków, poczuje w sobie dreszcz siły, jaki musi odczuwać pogromca w obliczu niebezpiecznego drapieżnika. Jednym haustem, po polsku, wypróżni kieliszek i trzymając go w dłoni, jak buławę, powie:

– *Kamptes* znaczy po grecku krzywy, zgięty, a *kormos*: kadłub, tułów.

Raszewski:

– Domyślałem się, że chodzi o terminologię naukową związaną ze schorzeniem kręgosłupa.

Ponieważ słowo kręgosłup skojarzy się w umyśle Moniki z kręgosłupem ideowym, szybko zareaguje:

– Mam nadzieję, że nie będziecie mówić o polityce. Ostatecznie, to jest **moje** wesele.

Ksawery:

– Wszystko jest polityczne, moja droga, twoje wesele też.

– Bravo! – zawoła Raszewski. – Widzę, że młodszy adepci filozofii zaczynają rozumować prawidłowo. Więc co z tą, jak powiedziałeś? Kampto...

– Kamptokormia. Czytałem niedawno w jednym ze specjalistycznych pism angielskich, że wśród młodych rekrutów amerykańskich, powołanych do wojska i przed wysłaniem do Wietnamu szkolonych w bazie lotniczej w Lackland, w Teksasie, zanotowano w ostatnich miesiącach kilkanaście wypadków szczególnego schorzenia. Dotknięci nim skarżą się na potworne bóle kręgosłupa, nie mogą się wyprostować i poruszają się jak małpy, o tak!

Wciąż z kieliszkiem zegnij się i z wzrokiem wbitym w lustrzaną posadzkę, kołysząc opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, a również trochę podekscytowany wizją młodych, półnagich żołnierzy, zademonstruj, jak chodzą owi amerykańscy rekruci. Niewykluczone, że i rysy twarzy się mu wykrzywią, jakby naprawdę straszliwie cierpiał.

– Przestań! – wykrzyknie Monika. – To okropne. Biedni chłopcy.

Raszewski:

– Nie dziwiłbym się, gdyby symulowali.

– Ba! – na to Ksawery, już w pozycji normalnej. – To byłoby proste. Ale oni wcale nie symulują. Wszystkie możliwe testy i zastrzyki na prawdomówność wykluczają symulację.

– Więc są chorzy?

– Zależy, co się przez chorobę rozumie. Kręgosłupy mają zupełnie normalne, tyle tylko, że się nie mogą wyprostować i naprawdę cierpią.

Chyba w eks-sypialni Księcia Prymasa zalegnie cisza, więc bardzo wyraźnie dotrze „Sto lat”, zaintonowane chóralnie fałszywymi głosami kilku mężczyzn w którejś z odległych sal.

Ksawery z błyszczącymi oczami:

– Jedynie pozycja leżąca, czy horyzontalna, jak by powiedział pan Settembrini, przynosi im pewną ulgę, natomiast, gdy któryś z tych młodych rekrutów zostaje z wojska zwolniony, jego cierpienia i w ogóle wszelkie objawy chorobowe znikają. Ciekawe, prawda? Pan by, oczywiście, wolał, żeby to była symulacja?

Raszewski:

– Jeśli cię interesuje, co ja bym w tym wypadku wolał, to ci odpowiem: wolałbym, żeby żaden żołnierz na świecie nie musiał ani choroby symulować, ani w chorobę urojoną uciekać. Jasne?

Monika:

– Przestańcie! Już nie mogę tego słuchać, chcecie mnie, zdaje się, zmusić, żebym zaczęła chodzić jak małpa?

Ksawery:

– Nie krępuj się, ostatecznie jesteś na **swoim** weselu. A pana nigdy nie boli kręgosłup?

Raszewski:

– Raczej plecy, zwłaszcza przy zmianach pogody.

Ksawery:

– Reumatyzm?

Raszewski:

– Właśnie.

Być może Monice się przypomni: skąd to masz? – pyta, gdy pod palcami, muskającymi barczystą nagość męskich pleców, wyczuje chropawę zgrubienie skóry, on: co?, ona: strasznie tego dużo, on: hitlerowcy nie oszczędzali amunicji, ona: byłeś ranny?, on: gdyby nie twój ojciec nie leżałbym przy tobie, tylko zupełnie gdzie indziej i od dawna, ona po chwili: żartujesz, on: dźwigał mnie na plecach nieprzytomnego kilka kilometrów, ona: nie? nie mogę sobie wyobrazić, żeby mego papę stać było na coś podobnego, on: byłem wtedy szczupły, tego też pewnie nie możesz sobie wyobrazić, ona: nie muszę, jesteś cudowny!

Natomiast Ksawery, czując, że sytuacja rozplywa się w nijakiej (oportunistycznej?) ugodowości, jeszcze raz pozwoli się zagarnąć natarczywej, nieomal zmysłowej potrzebie wychylenia się. Należy zatem szampana do kieliszka i powie:

– Przy tego rodzaju dolegliwościach reumatycznych wiatry wschodnie bywają szczególnie dokuczliwe, prawda?

Lecz tu, nim Raszewski zdąży odpowiedzieć, wyręczy go Panna Młoda:

– Wstydź się – powie, odwołując się do najniższych, prawie kontraltowych rejestrów swego głosu, a delikatnie perlowa karnacja jej twarzy lekko pociemnieje. – On jest prawdziwym mężczyzną.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Wolał cię zbyć reumatyzmem niż się chwalić, że całe plecy ma w bliznach po wojennych ranach. Oceń to, jak uważasz za właściwe.

– Ach tak? – Ksawery na to. – Jesteś doskonale zorientowana w topografii pleców pana Raszewskiego.

– Owszem, jestem! – Monika lekko odeprze atak. – Papa nie raz opowiadał, jak kilka kilometrów niósł pana Raszewskiego na plecach nieprzytomnego.

– To naprawdę niepotrzebne, Moniko – odezwie się Raszewski.

Monika gwałtownie:

– Owszem, bardzo potrzebne, nie pozwolę, aby było...

Lecz dalsze jej słowa przytnie głośny, trochę histeryczny śmiech Ksawerego. Będzie to tego rodzaju śmiech, którego nie sposób pohamować, chwytą bowiem człowieka nagle i wbrew jego woli, wylewa się z piersi i z brzucha, jak gęsty krwotok, ciśnie się lepkiem strumieniem do krtani i podobny nawiedzeniu, opętaniu lub atakowi epilepsji musi swoją ofiarą potrząsnąć i targać, od samego początku obcy wesołości, natarczywy, bełkotliwy, dręczący. Tak więc Ksawery podobnym śmiechem przyłapany, odruchowo uwolni się od zawadzającego w tej sytuacji kieliszka, odstawi go na stolik, a sam zachłystując się spienionym chichotem przejdzie chwiejnie kilka kroków po niepewnej linii przypominającej pętlę, niezdarnie przy tym, jakby się opędzał przed rojem złośliwych szerszeni, wymachując rękoma... okropność, i jaki wstyd!

Na szczęście zarówno Monika, jak Raszewski będą milczeć, trochę zaskoczeni, a pewnie i stropieni tą nieprzyzwoitą manifestacją byłego starszego asystenta przy katedrze historii filozofii współczesnej. Więc z braku nowych bodźców zewnętrznych zgaśnie najpewniej śmiech Ksawerego równie nagle, jak się był nagle objawił. Spostrzeże wówczas Ksawery, iż zgotował sobie sytuację nieomal tak drastyczną, jakby się naraz, w tym oto historycznym gabinecie, pokazał na golasa. Coś podobnego zachrobocze prawdopodobnie w jego umęczonej głowie. Przybierze zatem – tak można przypuścić – wiadomą pozycję i kołyszac rękoma opuszczonymi wzdłuż zgiętego ciała, spojrzy spode łba na stojącą nieruchomo w głębi parę i wystęka bełkotliwie:

– Przepraszam.

Po czym, ciężko poruszając stopami wykona zniekształconym ciałem pełny obrót i zgięty, kołyszac się prawidłowo wedle objawów kamptokormii, z twarzą wykrzywioną cierpieniem opuści miejsce swoich ryzykownych przedsięwzięć.

## wieczorem

Po całym dniu pracy, bez zmęczenia i znudzenia, dobrnąłem do 77 strony maszynopisu. Wciąż pada śnieg, lecz temperatura cały dzień utrzymuje się w okolicach zera, więc skrzyżowanie ulic, które widzę z okna mego pokoju, tonie w kałużach i w błocie, leje się z dachów, z okiennych parapetów i z balkonów.

Pod wieczór przyszedł Zygmunt, który, jak mi się wydaje, z zainteresowaniem słuchał, kiedy po kolacji czytałem mu duże fragmenty *Dziennika*. Potem trochę notatek w związku z pewnym projektem na przyszłość oraz lektura opowiadań Jerzego Gieraltowskiego *Wakacje kata*, debiut, jak na prozę, dość późny (autor ur. w 1931), lecz dojrzały i interesujący.

Matka i syn. Chwila niezupełnie zrozumiałej szczerości Adama Nagórskiego.

Na piątkowym koncercie Haliny Ferens-Czaplickiej:

...kiedy wyprostowana, z dostojnie siwą głową, drobna i wzruszająco krucha w wieczorowej sukni z czarnego aksamitu i z zalotnie staroświecką aksamitką na szyi kroczyła przez rozległy hall Filharmonii prawie dziewczęcymi krokami u boku swego znakomitego syna, krokami chyba nie nazbyt odmiennymi od tych, którymi niegdyś, bardzo, bardzo niegdyś obdarowywała Ofelię, Rozalinę i Nore, i w pewnym momencie w oczach jej, na co dzień już starczo wyblakłych, zapalił się naraz prawie ten sam gorący, wibrujący blask, który w pradawnych czasach, bo jeszcze w pierwszych latach stulecia, przysparzał jej, słynnej Kellerce, ulubienicy Warszawy, tyle hołd ów i uwielbień –

— — — —

Ów gorący i wibrujący blask oczu z pewnością będzie odmładzać starszą panią również i na weselnym przyjęciu siostrzeńca, który na skutek zawitych procesów dziedziczenia nie od rodziców, lecz od ciotki otrzymał urodę oczu oraz bogactwo talentu, więc że ten blask spojrzenia ogarnie Adama, gdy ten wśród poruszeń i zamąceń czasu przyszłego podejdzie do matki, prezentującej tę samą wdzięcznie staroświecką toaletę, co wczoraj na koncercie – to prawie pewne. I, być może, Adam Nagórski podobnie jak wczoraj także się uśmiechnie.

– Przepraszam cię, mamó – powie – chciałem ci zadać jedno pytanie.

– Nawet dwa! – ona odpowie i w jej głosie zadrga zadziwiająco czysta, prawie dziewczęca nuta, jakby ona sama, jednak mimo blasku wilgotnych oczu – staruszka, przeistoczywszy się nagle w młodziankę Mirandę, miała zawołać: „O cudzie! Jak wiele wspaniałych istot! Jak piękna jest ludzkość! Nowy, wspaniały świat z takimi ludźmi!”

Kto wie, czy ta perlita nutka w głosie matki nie podrażni syna.

– Nigdy cię o to nie pytałem, sam doprawdy ale wiem, skąd mi to przyszło do głowy właśnie teraz, musisz jednak przyznać, że ani ja tobie, ani, co ważniejsze, również i ty mnie, nigdyśmy sobie nie utrudniali życia nadmierną ilością pytań.

– Gniewasz się?

– Chyba już za późno na gniew.

– Wiem, o co ci chodzi. Gniewasz się, że wypitałem dwa kieliszki koniaku. Jeden młody aktor mi dotrzymał towarzystwa, nie pamiętam już, jak się nazywa, ale bardzo sympatyczny.

– Łukasz Halicki?

– Możliwe. Zapewniam cię, że te dwa koniaki nic a nic mi nie zaszkodzą, świetnie się czuję.

– Więc aż dwa wypijałeś?

– Dwa! – odpowie z akcentem dziewczęcego tryumfu. – A gdybym cię teraz poprosiła o trochę szampana?

– Oczywiście, już ci służę.

I skoro niebawem wróci z dwoma kieliszkami:

– Twoje zdrowie, mamó, bardzo ładnie wyglądasz.

- Naprawdę?
- Z pewnością zbierasz same komplementa?
- Przesadzasz, jak zawsze.
- Trudno, mam, to mój zawód. Ale wracam do mego pytania. Dlaczego ty właściwie porzuciłaś scenę?
  - Nie rozumiem – odpowie – jaką scenę?
  - Teatr. Dlaczego przestałaś grać?
  - Ach, to! No, wiesz, zabawne pytanie.
  - Po raz pierwszy ci je zadaję, nigdy nie pytałem.
  - Chciałbyś, żeby matka znakomitego pisarza była starą, emerytowaną aktorką?
  - Mam nadzieję, że kiedy rzucałaś teatr, tej ewentualności nie brałaś pod uwagę? Nie było mnie jeszcze na świecie.
  - To co z tego?
  - Ojciec żądał, żebyś rzuciła scenę?
  - Grzegorz? Ależ, Adam...
  - Mam, ja mówię o ojcu, a nie o panu Sołtanie.
  - Przepraszam, oczywiście, ale tak dziwnie pytasz, nie rozumiem, o co ci chodzi?
  - Spytałem, czy ojciec żądał, żebyś rzuciła scenę, co w tym dziwnego?
  - Bo tak pytasz, jakbyś miała do mnie pretensję, tylko o co?
  - Ależ o nic, mam, po prostu pytam, po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach, dlaczego przestałaś grać, byłaś młoda, piękna, sławna.
  - Ale gdybym nie wyszła za twojego ojca za męża, ciebie by nie było.
  - Rozumiem – powie wówczas, ostatecznie tracąc panowanie nad hamulcami wewnętrznymi, ponieważ zaczniesz tę rozmowę tylko w tym celu (choć niekoniecznie w pełni tego świadomy), aby w pewnym momencie uległa ją poddać karkołomnemu skrętowi – rzuciłaś teatr i zostałam panią rejentową, żebym ja się mógł zjawić na świecie, przewidziałaś prawdopodobnie nawet moją przyszłość, a może duch któregoś z wieszczów wystukał ojcu spodeczkiem moją przyszłość? W każdym razie potem, oczywiście, wyszłaś drugi raz za męża, żebym nie był sierotą bez tatusia, potem oddałaś mnie na wiele lat do internatu, żebym otrzymał odpowiednie kształcenie i wyrobił sobie charakter, wszystko teraz rozumiem... że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy! Rozumiem teraz, dlaczego porzuciłaś teatr.
- I gdy wreszcie zamilknie (wszelkie komentowanie jego odczuć w tym momencie byłoby chyba zbędne) – chwila upłynie, zanim starsza pani udzieli swemu dziwaczному synowi repliki następującej:
  - Dobrze, mogę wrócić do domu, i to zaraz, jeśli sobie tego życzysz, wiesz dobrze, że nikomu, zwłaszcza tobie, nie lubię przeszkadzać.
  - Ależ mam, wcale mi nie przeszkadzasz, przyznaję, niepotrzebnie się uniosłem...
  - Nie zauważyłam, żebyś się uniosł. Może nie zawsze rozumiem, co mówisz, trudno, nie dorosłam do twojego poziomu, ale intencję czuję doskonale. Odprowadź mnie do szatni, dalej sobie sama poradzę, mogę wrócić autobusem.
  - Mam, przecież to nie ma sensu!
  - Ja chcę być w domu.
  - Posłuchaj, pozwól sobie wytłumaczyć.
  - Nie ma nic do tłumaczenia, dzieci i stare kobiety powinny o tej porze spać. Nie fatyguj się, Konrad mi pomoże – dojrzy bowiem siostrzeńca, akurat nieopodal przechodzącego, i przywoła go lekkim ruchem ręki jeszcze smukłej, choć zniekształconej daleko posuniętym artretyzmem.
- A skoro Konrad Keller natychmiast podejdzie do matki i syna, starsza pani powie:
  - Cieszę się, że cię widzę, Konradku, pożegnaj ode mnie swoją śliczną żonę...
  - Cioteczka chce już nas opuścić? Dlaczego, dziecinna pora.

– Właśnie powiedziałam Adamowi, że dzieci i stare kobiety powinny już iść spać. Było pięknie, uroczo, strasznie ci za wszystko dziękuję, ale wszystko ma swój koniec. Bądź tylko tak dobry i odprowadź mnie do szatni, bo Adam jest bardzo zajęty.

– Mamo! – powie znakomity syn.

Ona wciąż tylko do Konrada:

– I jeszcze ten kieliszek weź, kochanie, dobrze? Zachciało się starej szampana, ale straciłam ochotę. Nie tylko starość bywa egoistyczna.

– Źle się cioteczka czuje?

– Ależ nie, dlaczego? Powiedz mi, Konradku, tylko szczerze, tobie i twojej żonie moja obecność chyba nie przeszkadzała?

– Cioteczko!

Prawdopodobnie Adam Nagórski pośpieszy w tym momencie z wyjaśnieniem:

– Mama sobie wyobraziła, że mnie przeszkadza, rozumiesz?

– Nie do końca.

Adam:

– Ja też!

Wówczas Konrad Keller blaskiem swych ciemnych i wilgotnych oczu obdarzy kuzyna, potem ciotkę i powie z akcentem ulgi:

– Już zrozumiałem. Nareszcie czuję, że jestem w rodzinie.

Tymczasem Marek Kuran, wbrew obawom Ksawerego, krążyć będzie po salonach w charakterze skromnego i dobrze wychowanego młodego człowieka. Nawet przekrzywiony krawat doprowadzi do porządku, gdy mijając weneckie lustro w sali pod niebiańską kopułą dostrzeże ten nonszalancki drobiazg, malowniczy na tle dwuznacznych półmroków zadymionej piwnicy, lecz całkiem, jak uzna, nie na miejscu tutaj, w świecie dojrzałości i w pełnym blasku ośmiu ogromnych, kryształowych świeczników, będących, niestety, tylko współczesnymi kopiami polskich świeczników z XVIII wieku. Chyba też i włosy nadto potargane przyglądzi swymi cokolwiek wulgarnymi dłońmi, dbając przecież, by pozostawić im młodzieńczą niedbałość. Wkrótce jednak, gdy dokona pobieżnego przeglądu sal, uświadomi sobie, iż większość obecnych jest mu nieznana, wszędzie, poza nielicznymi nazwiskami, napotykać będzie obce twarze, nie wiadomo do kogo należące, poczuje się więc zagubiony, wyobcowany i niedoceniony, i ten posmak goryczy, zrazu łagodnie smętny, prawie liryczny, wnet w nim stężeje i sprawi, że chłopięca twarz Ariela zblednie i grymas złości ją zespeczi.

Z głębi sali, przy stole z mizernymi i nieporządnie rozbabranymi resztkami arcydzieł mistrza Kubickiego – Halina Ferens-Czaplicka, Adam Nagórski i Eryk Wanert. Skoro oczy Ariela bardziej niż zazwyczaj umykające na boki dostrzegą tę trójkę... och, tak! z pewnością Ariel dozna olśnienia: podejść do nich teraz, zaraz, zręcznie wciągnąć w rozmowę, a potem, potem? – rozpracować, rozbabrać, ośmieszyć ich wszystkich i zgnoić całą trójkę, a przede wszystkim tę podstarzałą babkę, to kurwiszcze zadbane i wypielegnowane jak kurwa dolarowa (nie będzie zorientowany, kim jest towarzysząca mężczyznom kobieta, grunt, że z nimi jest na ty). Nie będzie oczywiście wiedział, co ma uczynić, aby cel osiągnąć, zawsze jednak wie w podobnych okolicznościach, że to musi wyniknąć w odpowiednim momencie samo, równie spontanicznie, jak nieuchronnie. I **to** musi być takie, jakim być powinno. Więc głębiej odetchnie i o wydech dłuższą chwilę się oprze, aby wzorem bokserów zaczynających rundę rozluźnić napięcie mięśni, koniuszkiem języka zwilży wyschnięte wargi, ku weneckiemu lustru (bo w tych jałowych wędrówkach po salonach wróci do miejsca startu) spojrzy, sprawdzi siebie uważnie i niejako ostatecznie, chłopięcy uśmiech wywoła i już gotowy, już tylko poszukujący wzrokiem najdogodniejszej drogi, którą powinien przebyć, aby kosztem najmniejszego wysiłku dotrzeć do znakomitych przyjaciół – nie wykona tej przedwstępnej, jakże łatwej akcji, strach go naraz obleci, lęk, że może nie sprostać tercetowi z jedyną kurewską niewiadomą, zaplatać się i samemu zbłąźnić, nim tamtych zdąży na błaznów

przerobić. Przez moment, znów zwilżając koniuszkiem języka wargi, pewnie pożałuje, że tercet nie jest kwartetem, a tym czwartym Ksawery, przy nim i w atakowaniu czułby się mocniej i w razie potknięcia bezpieczniej. Gdzież się ten złamany chuj podziewa? – pomyśli, całkiem nieświadomy ostatnich przedsięwzięć Ksawerego w gabinecie ze schodami. I nową falą lirycznej samotności ogarnięty cofnie się pod ścianę, na chłodny skraj wysokiego okna, odsłaniającego w ośnieżonej głębi półksiężycowej poświaty widmowy pejzaż nagiej i martwej wiosny-niewiosny, obcy straszny świat, obcy straszni ludzie, przed którymi, aby całkiem nie stracić twarzy, trzeba twarz skrywać poza maski i grymasy, parszywe knajpy, wódka, wódka, kac, bełkoty i kwiki, głupie, wredne dziwki, zdebilali przyjaciele, świńskie ryła redaktorów srających ze strachu w kolorowe portki kupione na ciuchach albo przywiezione ze służbowej delegacji na Zachód, i ci wyżej, ważniejsi, którym w nosach musi ciągle gównem śmierdzieć, pływacy, zawsze pływacy, nawet przy żarciu i pierdoleniu pływacy w mętnej wodzie, tłuste tyłki wycierające wnętrza mercedesów i wołg, zawistni grafomani z kontami wzdętymi jak brzuchy topielców, wapniaki, sprzedajne, wyorderowane i utytułowane kurwy zawsze gotowe usłudzić dupę podstawić, gnój, gnój, kupa gnoju... i gdy prawie do łez wzruszony tym ogromnym, metafizycznym żalem spojrzy wedle swego obyczaju na boki – z odległości nie większej aniżeli cztery, pięć kroków dostrzeże starszą, dość obfitych kształtów kobietę, siedzącą tuż pod ścianą, w fotelu ze złoceniami, Ludwik XVI (produkt francuski z końca XIX wieku). W jedwabnej sukni koloru bordo, cokolwiek ryzykownie wydekoltowanej, wyprostowana obyczajnie, lecz również jakby oklapła w sobie i sflaczała, z nogami wylewającymi się spod przykusego skraju toalety nadmiarem mięsa bladego i zdradzającego skłonności do opuchliny, patrzeć będzie przed siebie ciemnymi oczami, kiedyś prawdopodobnie ognistymi i uwodzicielskimi, teraz przesadnie natarczywą wypukłością wyzierającymi z twarzy, której bujny ciężar bezpiecznie, choć z pewnym wysiłkiem wtopiony w przykrótką szyję skojarzy się Arielowi trochę z królową Wiktoria, a trochę z wymagowanym biustem podstarzałej i zmęczonej Hery, gdy opuściwszy grono bogów, wesoło się zabawiających przy biesiadnym stole, usiadła samotnie na stronie, uznojona, och! jak bardzo uznojona wystawnym życiem, niewiernością męża, kłótniami w rodzinie, a nade wszystko młodością zwycięskich rywalek, więc oczywiście także młodością Ganimedesa, a tutaj, w tej zaszranym Jabłonie, któż by miał prawo uznać siebie za chłopca porwanego przez boskiego orła? Leonardo też coś pieprzył o orle – przypomni mu się w związku z ostatnią książką Nagórskiego. Tak więc, dopiero wyplątawszy się z tych bujnych skojarzeń, Ariel-Ganimedes uświadomi sobie, że ma przed sobą prezesową Zofię Panek. Teściowa – pomyśli prawie czule.

I gdy do samotnie na uboczu siedzącej podejdzie, ukłoni się jak licealista profesorce.

– Przepraszam, nie przeszkadzam pani?

W jakich rejonach Zofia Panek będzie w tym momencie przebywać? Chyba w odległych, lecz na pewno własnych, bo choć ludziom postronnym będzie się mogło zdawać, iż z dobrowolnego oddalenia nieprzerwanie bierze udział w życiu towarzyskim, jednocząc się z gośćmi wyprostowaną czujnie kibicią oraz cokolwiek nazbyt wypukłymi oczami – sympatyczny i wyraźnie nieśmiały głos, który tuż obok niej zabrzmiał, zaskoczy ją i zamąci owe niewiadome, własne afery.

– Ależ nie, oczywiście – odpowie z akcentem całkiem innym aniżeli ten, do którego przywykła w odległych czasach, gdy była ambasadorową w Hadze, w każdym razie nieco dziwnie brzmiący w jej przywiedłych i uszminkowanych wargach tak przecież oddalonych od czasów, gdy popijały były mleko z rodzicielskiego sklepiku przy ulicy Zielnej; tam gdzie teraz stoi Pałac Kultury.

A Ariel przypomniał sobie, że tytuł ambasadora jest dożywotni:

– Pozwoli pani ambasadorowa, że się przedstawię. Jestem Marek Kuran.

W jakiejś mierze prezesowa Panek powinna poczuć wdzięczność dla nieznajomego młodzieńca, bowiem zwrot „pani ambasadorowo”, na podobieństwo nadawczego systemu radiowo-radarowego, sprowadzi ją natychmiast z mętnych przestrzeni, przywracając miejsce na ziemi, w tym momencie posadzkę pałacową pod nieco obrzmiałymi nogami i kopułę niebiańską wysoko ponad głową.

– Bardzo mi miło – powie, podając młodemu człowiekowi rękę.

Oczywiście Kuran z szacunkiem należnym osobom najwyższym pochyli się i na tłustej, obficie w pierścionki przystrojonej dłoni złoży nieśmiały pocałunek. Jednocześnie jego ładne oczy umkną niespokojnie na bok, natychmiast jednak przywróci im wyraz szczerzej młodzieńczości, a lekkie opuszczenie powiek, uwydatniając długość jego dziewczęcych rzęs, uczyni go tak wzruszająco niewinnym, iż Zofia Panek z pewnością życzliwie się uśmiechnie.

Wówczas Kuran:

– Już od dawna marzyłem, żeby być pani przedstawionym, pani ambasadorowo. Wiele razy prosiłem o ten zaszczyt Ksawerego.

– To pan zna Ksawerego?

– O tak! To jest mój w pewnym sensie mistrz, bardzo wiele mu zawdzięczam. Bo muszę pani wyznać, pani ambasadorowo, że miałem strasznie trudne dzieciństwo, mój ojciec zginął w Powstaniu, kiedy ja się jeszcze nie urodziłem, a moja matka umarła przy porodzie i wychowałem się w sierocińcu. Zawsze mi bardzo brakowało i nadal brakuje matki.

– Biedne dziecko – szepnie wzruszona kobieta – pan jest jeszcze strasznie młody.

– W stosunku do matki zawsze się jest dzieckiem, pani ambasadorowo. I gdyby pani raczyła, gdyby pani zechciała, nie, naprawdę nie mam odwagi, ale trudno, powiem, bo mi to już od dawna leży na sercu, a pani jest na pewno dobra i mądra, więc pani może mnie zrozumie. Chciałem panią prosić, bardzo, bardzo panią prosić, żeby pani i teraz, i na przyszłość pozwoliła mi mówić do siebie: mamo, mamusi...

Chyba Zofia Panek lekko się zmiesza.

– Ależ moje dziecko... – powie niezdarnie.

Wówczas Marek Kuran podniesie rzęsy, jego oczy błysną niebezpiecznie.

– Dlaczego ależ? Mam prawo mówić do pani: mamusi, bo w pewnym sensie mam prawo do tytułu pani synowej, przepraszam, źle się wyraziłem ja jestem pani zięciem, pani ambasadorowo, bo to ja, trzeba pani wiedzieć, Ksawerego pierdołę, on jest w łóżku za kobietę, a ja go, proszę mamusi, pierdołę, on w łóżku wyłącznie lubi, żeby go chędożył chłopak z dużym kutasem, Ksawery mówi, że ja wam bardzo dobrego, pojęcia mamusia nie ma, jaka to jest kurwa ten Ksawery, ciekawy jestem, czy w młodości mamusia też tak lubiła...

Lecz mimo wzrastającego podniecenia, chyba zdania nie dokończy, ekscytujący dreszcz, który w miarę przyśpieszenia słów będzie go wypełniać coraz bardziej się zagęszczającym mrokiem, nagle w nim zastygnie, i wówczas Marek Kuran, rzuciwszy na boki spod opuszczonych rzęs szybkie, spłoszone spojrzenie, cofnie się krok do tyłu, coś może jeszcze wymamrocze, lecz w każdym razie coś bardzo niewyraźnego, i w tym samym momencie, najzupełniej pewien, że za chwilę, za sekundę stanie się jakaś rzecz nieprzewidziana i okropna, choć nie zdąży zdać sobie sprawy, na czym ta nieprzewidziana okropność będzie polegać, wiedząc jednak, że w tym, co się stanie, nie wolno mu wziąć udziału – więc zniknie, po prostu zniknie, nieomal dosłownie roztopi się w powietrzu, jakby naprawdę był Arielem-Ganimedesem i posiadał boską umiejętność dematerializowania się.

A ledwie się to nadprzyrodzone zniknięcie, a raczej ulotnienie młodego poety dokona – Zofia Panek, całkiem nieświadoma, co się wokół niej dzieje, jedynie pod wrażeniem zalewającej ją ciemności, jakby się ogromna kopuła, ucharakteryzowana na niebo z gwiazdami rozpekła i poprzez otwartą wysoko w górze przepaść łać począł ciężki pomrok, gasząc światła kryształowych żyrandoli i w miarę obsuwania się zmętniałych ciemności wypełniając przestrzeń złowrogim szumem, któremu natychmiast zawtóruje szum wzrastający w jej skroniach, wtedy zdjeta przerażeniem, unieruchomiona w wielkim fotelu imitującym styl Ludwika XVI, wypełniając cały jego obfity obszar swoim ciałem opiętym jedwabną i nazbyt wydekoltowaną suknią koloru bordo, z nogami wyprężonymi, więc jeszcze natarczywiej wylewającymi się spod przykusego skraju toalety, a z twarzą posiniałą i z zamkniętymi powiekami, głowę sztywno oparłszy o sztywną i złoconą poręcz fotela, wtedy Zofia Panek zacznie krzyczeć, jej obnażona szyja nabrzmieje, uszmkowane wargi zaokrągłą

się i z jej porażonych wnętrzości wydobywać się będzie przez ten obramowany krwawą czerwienią otwór, niby z jamy prowadzącej z głębi piekieł, wrzask przenikliwy i jednostajny, przerażający krzyk *ex profundis* – – – – cisza się nagle stanie na sali, zespół „La Da Co” urwie w połowie taktu, potem ci, którzy znajdują się najbliżej, podbiegną do krzyczącej, także zaraz potem i inni z przyległych salonów – więc już zbiegowisko, tłum wylękniony i bezradny, zanim Pan Młody – – – – —

I chyba niech ten krzyk Zofii Panek, ten krzyk w pełnym świetle kryształowych żyrandoli i pod kopułą z gwiazdami, niech to wycie, ten wrzask szalony przerażenia i wołania o pomoc – – – – niech ten krzyk wyzwolonego nieszczęścia zakończy chwiejną wędrówkę wśród zawiłych labiryntów czasu przyszłego niedokonanego, chyba już nic tu po nas, moglibyśmy tak błędzić w nieskończoność, naprawdę, chyba nic tu po nas, zaplątanych w czasie przyszłym, penetrującej ciekawości stało się zadość i to tak dalece, że zazdrosne życie poczyna już nas wzywać – – – – oto poprzez krzyk prezesowej Panek przebija się (więc z czasu teraźniejszego) dźwięk strojonych instrumentów, także pogwar publiczności wypełniającej szczelnie salę Filharmonii, za moment ucichnie strojenie instrumentów, cisza stanie się na sali, a ogromna wrzawa oklasków wypełni ją wówczas dopiero, gdy w głębi ukaze się Halina Ferens-Czaplicka – – – – —

—

## **sobota, 4 kwietnia**

Czy istotnie „penetrującej ciekawości stało się zadość”? Nie jestem tego pewien. Raczej odnoszę wrażenie, że wyczerpała się moja wyobraźnia penetrująca czas przyszły. Lecz równocześnie muszę się zgodzić, że jeśli w samej zasadzie zamysłu istnieje nieograniczona prawie mnogość sytuacji, takie bowiem możliwości posiada czas przyszły – nie sposób podobnego zamysłu pokazać w kształcie skończonym. Skoro zatem sam zamysł zakłada niemożność skończenia – po co, stwarzając coraz to nowe i nowe sytuacje udawać, że się w ten sposób osiąga niedokończenie mniejsze albo się przybliża ku skończeniu?

## poniedziałek, 6 kwietnia

Wczoraj, zbyt niechętny wszystkiemu, co napisałem, nie miałem odwagi zabrać się do lektury części II, dzień zupełnie jałowy i jak zawsze przy takim nastroju o wiele za długi.

Dzisiaj w nastroju nie lepszym, na siłę zabieram się do pracy. Na dworze wiosennie, widać jeszcze gdzieś płachetki śniegu pozostałe po ostatnich śnieżycach, szybko jednak na słońcu zanikają. W wyjątkowo wczesnej rannej poczcie egzemplarz węgierskiego wydania *Idzie skacząc po górach* oraz list z Agencji Autorskiej z zawiadomieniem, iż Radio Japońskie chce w swoim programie słuchowisko oparte na *Wielkim Tygodniu*.

Trochę mnie ta nieoczekiwana propozycja rozbawiła, bo i groteskowe, i nieco żałosne jest zestawienie faktów: utwór tak bardzo związany z okupacyjną Warszawą i z walkami w getcie w 1943 roku rozpowszechniany będzie w egzotycznej Japonii (z jakimi aktorami? japońskimi? w roli Ireny Lilien aktora japońska?), podczas gdy tu, na miejscu, nie zgodzono się pod koniec lata 1967, aby na podstawie gotowego już scenariusza (napisaliśmy scenariusz razem z Andrzejem Żuławskim) i w kooperacji z producentem zachodnio-niemieckim Andrzejem Wajdą nakręcił *Wielki Tydzień* dla telewizji w związku z przypadającą na rok następny dwudziestą piątą rocznicą powstania w warszawskim getcie. O ile wiem, żadne konkretne argumenty nie zostały wówczas Wajdzie zakomunikowane. Dość częsty mechanizm cenzury: anonimowość instancji decydującej o zakazie oraz staranne unikanie podania motywacji. Do tej pory pojęcia np. nie mam, kto i dlaczego sprzeciwił się wydaniu mojej *Apelacji*, jedyny argument negatywny, jaki do mnie dotarł, zawarty był w liście z wydawnictwa „Czytelnik” (z dn. 28 XII 1967) informujący mnie, iż „uprzejmie zawiadamiany, że złożonej nam powieści pt. *Apelacja*. (ca 5 ark. aut), nie możemy uznać za wykonanie umowy nr 625/59 ustalonej na 15 ark. aut.”. To wszystko. W wypadkach ingerencji z zewnątrz A. M., który przed kilkoma laty był przez dłuższy czas sekretarzem jednego z tygodników kulturalno-literackich, zwykł był przy podobnych okazjach mówić w redakcji: zadzwoniło i powiedziało. W miazdze, jaką jest publiczne życie w Polsce, pełno duchów i zjaw, strzyg równie bezkształtnych i anonimowych, jak **oni**, którymi zasłaniają się nieraz w niezręcznych dla siebie sytuacjach nawet ministrowie. Wszechobecne działanie magii, zaczarowani ludzie, zaczarowany świat.

## Część 2. Prolog

Na piątkowy koncert symfoniczny w Filharmonii, 18 kwietnia 1969 roku, wszystkie bilety zostały wyprzedane, a wejściówek, o które przede wszystkim się dobijała młodzież szkół muzycznych, wydał sekretariat Filharmonii nie mniej niż z okazji gościnnych występów Rubinsteina, Richtera albo Kleckiego. Program nie zapowiadał sensacji muzycznych. Orkiestra Filharmonii pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego miała wykonać symfonię g-mol, K.V. 183 Mozarta oraz drugą suitę z *Daphnis i Chloe* Ravela. Ale po wtorkowym recitalu był to drugi i zarazem ostatni występ Haliny Ferens-Czaplickiej. Wielka śpiewaczka, występująca w kraju po raz pierwszy od swego debiutu w *Carmen* w roku 1939, miała śpiewać *Lament Ariadny* Monteverdiego, arię z drugiego aktu *Orfeusza* Glucka oraz *Pieśni wędrowca* Mahlera.

Na poranną próbę, zgodnie z życzeniem śpiewaczki, nikogo na salę nie wpuszczono. Halina Ferens nie była w dobrej formie głosowej. Wyglądała poza tym na zmęczoną i jakby trochę zagubioną na tle orkiestry i wobec pustej widowni, Markowski, chociaż udawał dobry humor, z niepokojem myślał o koncercie wieczornym.

Zaraz po próbie Halina Ferens powróciła w towarzystwie Aimo Immonena do „Europejskiego” i zamknęła się w swoim apartamencie, zlecając młodemu akompaniatorowi zawiadomić recepcję, iż żadnych telefonów nie będzie przyjmować. Immonen, w czarnych dżinsach welwetowych i w zgniłozielonym golfie, nie zdążył jeszcze zrzucić kożucha. Dość przestronny salon, przylegający do sypialni, przypominał wnętrze kwaciarni, tak gęsto go wypełniały wielkie kosze oraz liczne wazon z kwiatami ciętymi. Halina Ferens przeszła do sypialni, lecz po chwili, już bez futra, stanęła we drzwiach.

– Zdaje się, że cię prosiłam, żebyś zszedł do recepcji? Nie chcę żadnych telefonów, żadnych!

– Po co mam schodzić? – powiedział, uważnie się jej przyglądając – mogę stąd zadzwonić.

– Nie! – zawoła z akcentem zaciętej stanowczości, jakby nie prośbą Orfeusza, którą przed godziną śpiewała, była przepelniona, lecz nagle wcieliła się w kształt Furii, owych cieni budzących grozę, które wrogim i wielokrotnym „nie” zagrażają Orfeuszowi drogę do piekieł. – Chcę być sama.

Aimo rzucił kożuch na najbliższy fotel i podszedłszy do telefonicznego aparatu podniósł słuchawkę.

– *Reception? Here's Aimo Immonen. Yes... Mrs. Ferens wishes her apartament to be not connected with any telephones... Yes... Without exceptions... no incoming calls... Thank you*<sup>36</sup>.

I do Haliny:

– Załatwione, będziesz miała spokój.

– Powiedziałam, że chcę być sama.

Podszedł do niej i obiema dłońmi ujął delikatnie jej łokcie.

– Połóż się, *darling*<sup>37</sup> – powiedział miękko – ja się tylko ogolę i wezmę prysznic.

Chwilę milczała, nie usiłując jednak uwolnić ramion. Jasny, gęsty zarost pokrywał jego policzki i brodę, pod oczami miał sińce.

– Musisz wieczorem pięknie wyglądać i pięknie śpiewać.

Potrząsnęła głową.

– Tak – powiedział, lekko ją do siebie przyciągając.

– Nie ma cudów!

– Ja zrobię ten cud – powiedział tuż przy jej twarzy – po to mnie masz.

---

<sup>36</sup> *Reception? Here's Aimo Immonen. Yes... Mrs. Ferens wishes her apartament to be not connected with any telephones... Yes... Without exceptions... no incoming calls... Thank you* (ang.) – Recepcja? Tu Aimo Immonen. Tak. Pani Ferens życzy sobie, aby nie łączyć żadnych telefonów do jej apartamentu. Tak. Bez wyjątku. Żadnych połączeń przychodzących. Dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *darling* (ang.) – kochanie. [przypis edytorski]

Słynna śpiewaczka, jakby się znalazła na estradzie wobec szczelnie wypełnionej widowni, nagle, trochę niecierpliwym gestem cofnęła głowę do tyłu.

– Co robiłeś w nocy?

Uśmiechnął się.

– Gniewasz się?

– Piłeś?

– Na dole, w barze. Do czwartej, może nawet dłużej.

– A potem?

– Nie chciałem cię budzić, zresztą byłem pijany.

– Masz sińce pod oczami.

– Z niewyspania.

– Kłamiesz.

– Z nikim, *darling*, nie spałem. Ale przyznaję, dużo kobiet, a także mężczyźni miało na mnie ochotę. Twój Aimó cieszył się wielkim powodzeniem.

– Nie lubię, jak mówisz o sobie w ten sposób.

– Wolalabyś, żeby nikt na mnie nie spojrział?

– Czasem sama nie wiem, co bym wolała. Na próbie byłam okropna.

– Wieczorem będziesz wspaniała.

– Jestem zmęczona, Aimó.

– Połóż się, a ja tylko skoczę do siebie po maszynkę do golenia. Przy mnie zapomnisz o zmęczeniu. Potem każemy podać lunch tu, na górę.

– Nie mam apetytu.

– Będziesz miała, zobaczysz! Potem będziemy odpoczywać, ściemni się, na dworze będzie śnieg, wiatr i zimno, a nam będzie ciepło i zacisznie, i będziemy się kochać, kochać i jeszcze raz kochać, a potem wypoczęta i piękna zabierzesz się do swojej *grande toilette*<sup>38</sup>... jaką suknię włożysz?

– Pojęcia nie mam. Może tę wielką, czarną?

– Cudownie w niej wyglądasz! Więc zrobisz swoją *grande toilette*, ja się przez ten czas też przebiorę, ale szybko, żeby ci towarzyszyć przy ostatnich pociągnięciach pędzla, i potem zejdziemy na dół, podjazd jest tutaj tak dobrze urządzony, że gdy będziesz wsiadała do auta, nie muśnie cię ani jedno skrzydełko wiatru, ani kropelka śniegu na ciebie nie spadnie, po drodze dasz mi monetę, a ja, jak zawsze, wyskoczę z auta, żeby w twoim imieniu i na intencję twego powodzenia wrzucić pieniądze do puszeki kościelnej... w Warszawie jest dużo kościołów.

– Możemy przejechać koło św. Krzyża, tam jest serce Chopina.

– Wspaniale! Więc zrobię, co do mnie należy, podrzucę monetę św. Antoniemu, wrócę do ciebie, a potem? Potem będzie twój wielki wieczór, będziesz śpiewała najpiękniej w świecie, prześcigniesz samą siebie, będziesz dla mnie śpiewała, tak?

Gdy to mówił, kołysząc ją w ramionach, przyglądała się z wzrastającym wzruszeniem jego jasnej i młodej, choć trochę zmęczonej twarzy, a ponieważ pod sam koniec poczuła się przez moment małą i bezbronną dziewczynką, znów odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała cokolwiek ironicznie:

– Opowiedziałeś ładną bajkę, Aimó.

Potem, gdy już była w łóżku i jej ciało jeszcze nie zdążyło rozgrzać chłodnej i nieco sztywnej pościeli, a w sypialni, po zsunięciu zasłon panował półmrok i leżała na wznak, z jaśniejszym w głębi od półcienia dokoła prostokątem drzwi otwartych do salonu, skąd wraz z matową poświatą pochmurnego dnia napływał aromat kwiatów, róż przede wszystkim i goździków, wówczas, poprzez odgłosy dobiegające z niezamkniętej łazienki, więc najpierw poprzez jednostajne brzęczenie elektrycznej maszynki do golenia, a potem poprzez szum silnego natrysku błądziła niespokojnie dokoła samej siebie, stojącej przed godziną na estradzie Filharmonii i aż nadto dobrze słyszącej

---

<sup>38</sup> *grande toilette* (fr.) – wspaniała toaleta (tj. strój na wyjątkowe okazje). [przypis edytorski]

własny głos, z trudem wydobywający się z krtani i bez blasku, płasko się przebijający przez nazbyt dla niego gęsty akompaniament orkiestry, dreszcz nią wstrząsnął, więc podciągnęła kołdrę, aby okryć nagie ramiona i wtedy nagle, jakby tym ruchem udzieliła hotelowej kołdrze lotności czarodziejskiego dywanu, znalazła się w małej i zadymionej salce pewnego nocnego lokalu w Paryżu, przy obskurnej uliczce des Canettes, sinawy od dymu półmrok rozświetlały nieliczne lampy, okryte ciężkimi, ciemnoczerwonymi abażurami, w tej tandetnej kolorystycznie scenerii jasne włosy młodego pianisty, który przygrywał na fortepianie, nie patrząc na klawiaturę, sprawiały wrażenie pokrytych patyną starego złota, a młodzieńcza twarz pod tym ciężkim hełmem, oglądana z daleka i prawie *en face*<sup>39</sup>, twarz mężczyzny z północy, blada, o rysach dość grubo ciosanych, z rozchylonymi wargami i oczyma półprzymkniętymi zdawała się swoją egzotyczną obecnością wywoływać z zamierzchłych czasów twarz barbarzyńskiego gladiatora, oczekującego śmierci lub ułaskawiającego gestu cezara, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to, co pianista gra, to są swobodnie i kapryśnie, jakby do atmosfery lokalu przystosowane, wariacje wysnute z jej ulubionej *Pieśni wędrowca*

---

<sup>39</sup> *en face* (fr.) – twarzą na wprost. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.